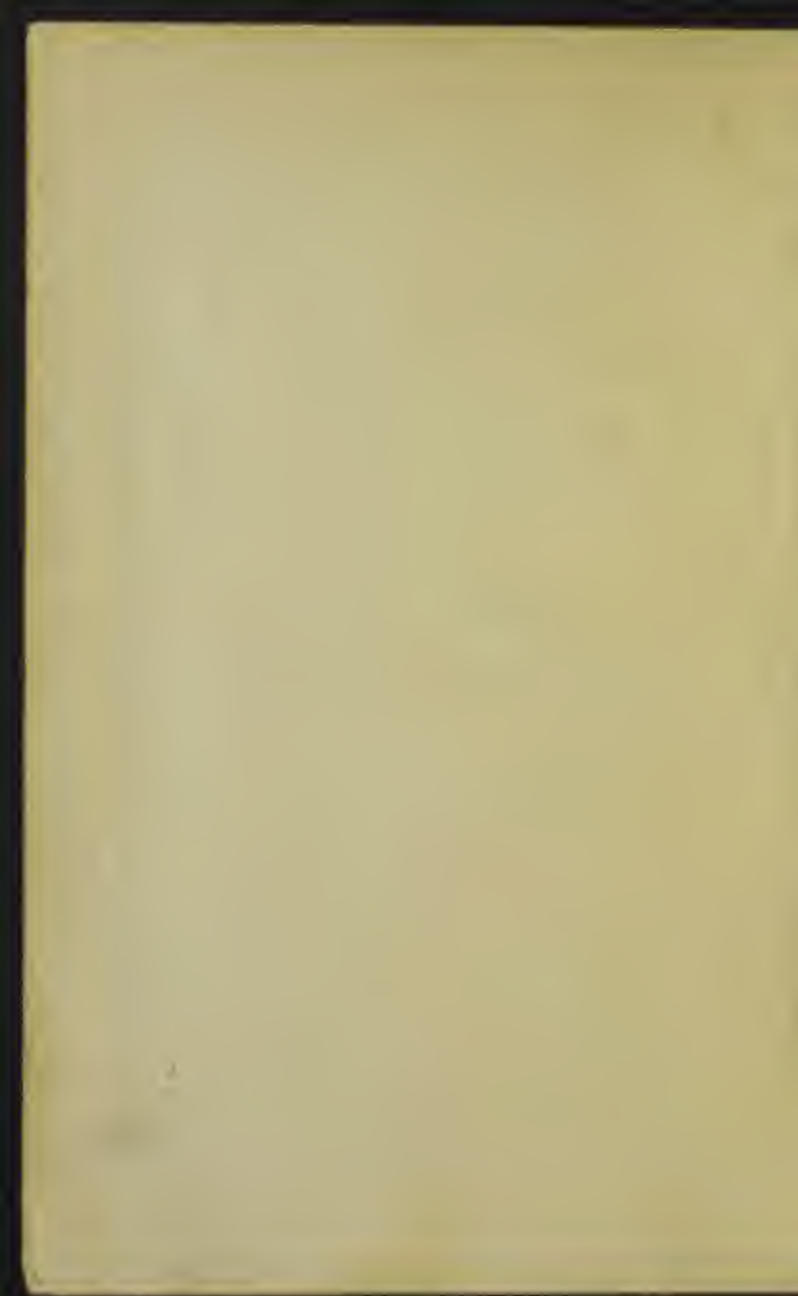


JAK SIĘ PAN PAWEŁ ŻENIŁ.



JAK SIĘ PAN PAWEŁ ŻENIŁ
i
JAK SIĘ OŻENIŁ.

POWIEŚĆ

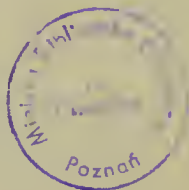
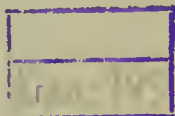
J. I. Kraszewskiego.

Nakład i własność wydawców.

WARSZAWA.
Gebethner i Wolff.

KRAKÓW.
G. Gebethner i Sp.

1878.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Sp.

1068 1 24

Pan Paweł Mondygierd, o ile było wiadomo, pono już starą rodzinę swą sam jeden na świecie reprezentował. Powtarzał to często, że na pogrzebie dawnym obyczajem, tarczę z dwiema rybami białemi w polu czerwonym, przy trumnie każe roztrzaskać.

Pomimo to, pocziwe z kośćmi człeczysko za młodu nie potrafiło się ożenić, w średnim wieku zwątpiło o sobie, a gdy się ta powieść zaczyna, już podłysiawszy i choć krzepko się trzymając, ale czterdziestówkę przeszedłszy, wszelkię się wyrzekł nadziei pójścia do ołtarza.

Człek był wyśmiewity, ale tak go Bóg stworzył, iż się całe życie gniewał, perzył, dąsał, szukał do ludzi pretensyi i choć go poszanować było trzeba, żyć z nim nie było podobna.

Mieszkał Pan Paweł we wsi swęj dziedzicznęj, resztce dawnych majątności familii, Kozłowiczach w Pińszczyźnie, obłany często wodami tak, że do niego dojechać było trudno, gospodarował, ludzi swych mustrował, narzekał ciągle, czasem do Piń-

ska robiąc wycieczki, nieznacznie starzejąc i kwasiąc coraz bardziej.

Chociaż zawsze prawie i do każdego się o coś musiał ucześcić, a wszelką rozmowę kończył sporem, bez ludzi jednak żyć nie mógł i szczególna rzecz, sąsiedzi go lubili. Gderał правда, burezał, ale pomagał chętnie, a w złym razie do niego szli jak w dym.

W domu u niego mimo tych krzyków, jakie wyprawiał, nikt się nie lękał, a dworscy do niego przywiązani byli tak, że życieby zań dać każdy był gotów.

Stary kawaler nudziarz, nie mając co robić, w Kozłewiczach u siebie zaprowadził porządek, ład, regulamin taki, że mu się wydziwić nie mogli sąsiedzi.

Nie było tam parady wielkiej, ale czystość i staranie widać było w każdym kątku.

Dwór był na wzgórzu, bo na wiosnę, gdy wody wylewały, na nizinach jak jedno morze stało, oparkaniony częstokołem, w którym ani jednej szczapy nie brakło, ni jedna nie była wychylona i zwichnięta, dziedziniec utrzymany jak ogród, choć i do gospodarskich prowadził budowli; obsadził p. Paweł agrestem i malinami. Za dworem sad, w nim lipy, uliczki i kwatery — uciecha było patrzeć jak ślicznie wyglądały. Zajrzeć było można gdzie chcieć, do chlewów nawet, do stajen, nigdzie nieporządku i zaniedbania nie znalazłeś.

Pilnował tego sam gospodarz, a w końcu służba już tak przywykła do jego wymagań, że machinalnie spełniała, co raz było przykazane. Ale dosyć było porzuconej na dróżynie trzaski, ażeby pan Paweł śledztwo prowadził i całym zatrząsł dworem. Nielicznych miał przy sobie ludzi i to po większej części starych, bo ntrzymywał, że dzieci śmiecie wszędzie nanoszą, a młodzież spokojnie nigdy nie usiedzi. Gumnienny razem zastępował ekonoma, rejestra się zapisywały na kalendarzach nie sadząc się na buchalteryę, przy osobie pana od dawna był Kasper tego wieku co pan, jak on nieżonaty i nieprzyjaciel niewias^t. Ten żyjąc z Mondygierdem we w-zystkiem przejął mowę jego i obyczaje i był ciekawym egzemplarzem schowtóra.

Zdaleka gdy Kasper gderał, można było przysiądz, że sam dziedzic osobiście łaje. Miał jego zacięcia, przekleństwa, niekiedy głos nawet podobny.

W kuchni gospodarzyła niemłoda kobieta, miłcząca, zadumana i cały dzień szepecząca jakieś modlitewki. Pomiedzy nią a Kasprem trwała trzydziestoletnia wojna. Pod rozkazami jój dwie niemłode i jaknajbrzydsze dziewczęta ze wsi, chodziły około krów i drobiu.

Jednego wieczora letniego, gdy pan Paweł poszedł był w pole do kóp, bo czas żniw był właśnie, Kasper siedział na ławce w ganku, gdy od strony wsi, w której o téj godzinie mało kto w domu był, usłyszał wrzawę niezwykłą.

Widocznie coś się tam stać musiało? Kasper ucha nastawił, nie mógł odgadnąć.

Nie był do tego stopnia ciekawym, ażeby wygodne siedzenie w cieniu opuścił dla przekonania się co to być mogło.

Hałas doszedł pewnie i na folwark do stariej Maryny, która ukazała się we drzwiach, nastawiła ucha, jakiś czas słuchała, potem zwolna wróciła na ławę. W takiej wiosce, jak Kozłowicze, wypadki nadzwyczajne rzadko się bardzo trafiają. Droga wiodąca ztąd brzegiem rzeki mało jest uczęszczaną, przepływu obcych ludzi nie ma prawie. Kasper łamał głowę nad odgadnięciem, co to być mogło, gdy kobieta niemłoda, po wiejsku ubrana, coś trzymając na ręku, weszła przez wrota od wsi w dziedziniec i prawie w téjże chwili wracający z pola pan Paweł nkazał się w rogu domu.

Kasper zobaczywszy go zwolna podniósł się z ławy.

I ów i pan Mondygierd patrzyli na idącą spieszonym krokiem kobietę, która zawiniątko jakieś brudne miała na rękach, a twarzą okazywała nadzwyczajne poruszenie.

Zobaczywszy pana Pawła, idąca pospieszyła ku niemu, do ziemi się prawie kłaniając. Była tak zdyszana i pomieszana, że musiała tchnąć, nim zaczęła mówić. Tymczasem dziedzic zmarszczony patrzył na nią z wyrazem gniewnym, jakby się gotował wybuchnąć.

— Proszę jaśnie pana — odezwała się kobieta — co tu poczynać! to cale nieszczęście! Jeszcze tego u nas nigdy nie bywało!

Podniosła trzymane w ręku zawiniątko, w którym z pod płacht wyglądała twarz dziecięcia, czarnemi oczyma ciekawie rozglądającego się po nieznanym świecie.

— A toż co jest! — krzyknął p. Paweł.

U boku jego już stał Kasper.

— Co to jest? będziesz ty mi gadala? pytam co to jest? — wołał zawczasu się burząc stary kawaler.

— Nieszczęście proszę pana — poczęła krzykliwym głosem stara kobieta. — Około południa zwlekła się kobieta i Bóg ją święty wiedzieć raczy zkad, pod karczmę siadła odpoczywać. Słyszę się wody napila i próbowała jeść chleb, który w torbie miała, potem się położyła, oto tego robaka mając przy sobie — i jak legła, tak już nie wstała.

Pan Paweł za głowę się chwycił.

— Co? umarła! Gotowe śledztwo! — krzyknął ręce łamiąc i podskakując do kobiety.

Ażeby ją — chciał kłać już, ale pomiarkował może, iż umarłych się przeklinać nie godzi.

— Jakże było można pozwolić włóczędze się tam pod karczmą rozgaszczać! Otóż masz! oto macie! Tego tylko brakło! Posyłajże po śledztwo, trupa trzeba we wsi trzymać. A bodajże to.

Kobieta stała, słuchając.

— Dziecko żywe! co z tém robakiem robić!

— Z tym robakiem! — porwał się pan Paweł — a niech go sobie bierze sąd, karczmarz, niech się dzieje z nim co chce, a mnie co do tego! a mnie co!

Nieś go sobie, bierz. precz ruszaj, żeby mi tu nie powstał.

Okrutnie się uniósł pan Paweł. Kasper głowę gładził, kobieta oniemiała.

— Mówię ci ruszaj mi z tém paskudztwem ztąd pókiś cała! Ani znać, ani wiedzieć nie chcę.

Kobieta słuchając nie zdawała się bynajmniej hałasować tego brać do serca, patrzyła spokojnie na dziecko.

— U mnie w chacie swoich pięciorko, ja go nie wezmę — rzekła — to do dworu należy.

— Do dworu! jeszcze czego brakło! — krzyczał pan Paweł — żeby mi tu z całego świata znosili bachory, żeby mi tu szpital podrzutków u siebie zakładał. A! niedoczekanie! przychodzą mi tu umyślnie umierać pod moim nosem, żeby mi ja...

Zaperzył się strasznie.

— Mówię ci, Nastka — dodał — nieś, rzuć go w Szczarę, połóż na gościńcu! niech go sobie wilcy jedzą... Ja będę jeszcze na szyję brał ten brud cudzy!! Fora mi ztąd, ruszaj...

Kobieta nie zważając na rozkazy, obejrzała się, jakby szukała miejsca, gdzie dziecko złożyć, bo wcale nie myślała go zabierać z sobą.

Kasper to postrzegł i pogroził.

— Ja go tu przyniosłam — zawołała — boć trudno przy trupie zostawić i gdzie świnie chodzą. Nie chcę mieć na sumieniu duszy niewinnój, a no do mnie to nie należy. Kiedy pan chce, niechaj każe potém wyrzucić, czy jak tam postanowi.

Zakręciła się stara Naścia, płachtą uznozione czoło otarła i ani patrząc na p. Pawła, zawiniątko tuż pod ścianą, niemal u nóg jego ziożyła.

Paweł woła: — Ani mi się waź! — gdy Naścia pokłoniwszy mu się nisko, już się miała ku wrotom. Kasper i pan osłupieli.

Mondygierd w téj chwili przez jakąś ciekawość srogi swój wzrok zwrócił na dziecko, które niewiadomo jakim cudem, zamiast rozplakać się do téj chmurnej twarzy, uśmiechnęło się do niój. Uśmiech ten dziecięcy jak przykuł p. Pawła do ziemi. Kasper stojący za nim patrzył téż — milczeli.

Rzecz się stała niepojęta. Mondygierd ramionami zachnął.

— Biegnijże do Maryny — krzyknął na Kaspę — cóż stoisz wyrapiwszy oczy... Co? idź i niech tymczasem dziecko weźmie. Może głodne, gotowe zdechnąć.

P. Paweł stał i ciągle patrzył na dziecinę, która mu się uśmiechała: stał jak wmurowany, przelękły, nie mogąc się ruszyć, sam nie wiedział, co się z nim działo.

Człowiekiem czułym nie był wcale, czasem łązy w nim śmiech obudzały, dzieci nie cierpiał, a teraz

tu ten śmiech sieroty, który jakaś moc anielska wywołała na usta, aby złamać gniew i ubłagać go, czynił na nim wrażenie takie, że mu ciarki chodziły po skórze. Zdawało mu się, że coś z innego świata doń przemówiło.

Mruczał jednak jakby z nałogu.

— Jeszcze czego! żebraki, włóczęgi, może cygany, bo lichy wie nawet czy to chrzczone, czy ślubne. będą mi dzieci podrzucać. Mało to darmo-
zjadów u mnie. Karm tylko a dawaj... Ale! Zapewnie.

Nadeszła przywołana przez Kaspra Maryna, mrucząc i stanęła nad dzieckiem, ręce krzyżując.

— No! cóż stoisz! widzisz... dziecko, weź, napój! niech z głodu nie zdycha! oddam do sądu, niech sobie biorą... Ja z gościńców wszystkiego śmiecia zbierać i żywić nie mam obowiązku...

Stara przyklęła nad dzieciną i przypatrzwszy się jój powoli, podniosła z ziemi. Niewieście serce jój, choć zeschłe, uderzyło miłosierdziem — przytulila je do siebie i z wolna wpatrując się w bladą twarzyczkę, pociągnęła do kuchni.

Pan Paweł, który miał iść do dworu, odwrócił się i oczyma poszedł za Maryną i dzieciną.

Mruczał coś, ale go już nie było można zrozumieć. Kasper jeszcze stał przy nim.

— Czegoż ty tu stoisz jak kolek? nie masz rozumu czy co? — poczał z gniewem. — Idźże do kuchni, rozwinać dziecko, opatrzyć, może przy

niém co jest... znak jaki, coś! A niech Maryna mu mleka da...

Namyslił się jeszcze nieco i jak stał, wprost na wieś ruszył.

Tu, że wieczór już był i ludzie z pola powracali, wszystko co żyło skupiało się pod karczmą, gdzie leżał trup zmarłej kobiety. Gwar, ścisk, wrzawa była ogromna. Im rzadsze tu bywały wypadki nadzwyczajne, tém większe czyniły wrażenie. Starzy wlekli się o kiju, dzieci z całej wsi kupami cisnęły się widząc starszych tak zajętych czémś i zaniepokojonych.

Na widok pana ucichło zaraz, głowy się poodkrywały, wieśniacy się rozsypywać zaczęli i pan Mondygierd milcząc wszedł do koła, wśród którego pod ścianą karczmy leżała umarła kobieta. Tuż przy niej kij i torba prawie próżna rzucone były.

Twarz zmarłej wymizerowana. blada. z oczyma zapadłemi, nie była stara jeszcze, choć wiek jój trudno było odgadnąć; nędzna odzież oszarpana i brudna dowodziła ubóstwa wielkiego. Była to kobieta wiejska, choć niektóre części ubrania zszarzanego, mogły zluźbę we dworze oznaczać. Nikt nie śmiał zwłok dotykać nawet, ani około nich szukać czegoś, coby mogło świadczyć kto była.

Karczmarz opowiadał, że nie zachodziła nawet do izby i położyła się, przywlekłszy, pod ścianę. Chciał ją ztąd odpędzić, ale nie zdawała się go ani słyszeć, ani rozumieć, tak, że w końcu nahałaso-

wawszy odszedł, a gdy później zajrzał znowu, zobaczył ją jakby uśpioną. Nie rychło pod wieczór wójt chciał ją rozbudzić i rozmówić się, ale już zastał nieżywą.

P. Paweł słuchał opowiadania nadąsany. Przy najlepszej chęci uczepienia się do kogoś i szukania winy, nie było sposobu łajać nikogo, oprócz arendarza.

W téjże chwili wójt konnego miał wyprowadzić pana assessora i straż postawić przy ciele, aby nikt go tknąć nie śmiał. Domysłowi, że to być mogła cyganka, sprzeciwiała się i twarz niemająca cery ani rysów znanych powszechnie włóczęgów, i włosy jasne na głowie i strój, a wreszcie obyczaj tych ludzi, którzy zawsze gromadkami się snują.

Rozporządziwszy tu wszystko, pan Paweł, nagderawszy na różne stare grzechy za tych, których podobrodze spotykał, poszedł do dworu ciągle coś mrużąc do siebie.

Wszystkiém w Kozłowieczach rządził zegar: nadchodziła godzina wieczery, stół był nakryty, faszka ze starką stała na nim, Kasper czekał tylko ukazania się pana, aby wazkę kaszki z mlekiem nieść z kuchni. Mondygierd jednak zamiast wprost do dworu, zawrócił do folwarku.

Była to rzecz niesłychana.

Tu stara Maryna i dwie dziewczki stały nad dzieckiem, które leżało rozpowite na stole, rzucało

nogami i dawało się poić mlekiem. Chłopak był zdrow i silny, jakby całe życie wyszał z matki....

— Cóż się gagicie! głupie! — zakrzyczał od progu p. Paweł. — Nigdyście dziecka nie widziały? Cóż osobliwego!

Dziewczyny pochowały się po kątach, a stary spojrzął zdala na dziecko.

— Chłopiec? — spytał.

— I taki zdrow jak byk! — zamruczała Maryna. — Na szyi miał krzyżyk prosty mosiężny. Chłopskie dziecko...

— Chłopskie nie chłopskie — odparł p. Paweł — człowiecze zawsze. Dopóki sąd nie zjedzie i nie odda go się, niech nie będzie głodne. Rozumiesz. Jużci tam która niańką była, to powinna wiedzieć, jak się z niem obejść. A to skaranie Boże! jeszcze mi tego kołtuna było potrzeba. Że też nigdy spokoju! Nie to, to owo, zawsze lichocóż przyniesie... A no gościniec do mnie nie należy, niech sobie assesor bierze... a mnie co do tego!

Wieczera zeszła na rozmaitych pytaniach zadawanych Kasprowi i na łajaniu. We dworze do późna dziecko owe spać nie dało, nie mogli się o niem nagadać, ani go napatrzyć. Jedna z dziewcząt w niedostatku kołyski wzięła go huścić na rękę i uspiła.

Nazajutrz dopiero z południa powołany assesor nadjechał wprost na miejsce obdukcji, dokąd i pan Paweł pospieszył. Przywiózł z sobą lekarza razem,

który nie znalazł żadnych innych znaków na ciele, prócz tych, jakie zwykle apopleksyi towarzyszą, a kobieta była nędzą wycieńczona, schorowana. znuzona drogą. W torbie, w odzieży, w łachmanach napróżno szukano śladu jakiegoś, papieru, znaku, pozwalającego się domyślać z kąd pochodziła. Nie było nic. Odzież pospolita nie różniła się od używanych w okolicy.

Śledztwo się toczyło, gdy p. Paweł zagadnął asesora co z dzieckiem zrobić.

— Waćpan bo go sobie zabieraj i odsyłaj do domu podrzutków, ja o niém ani znać ani wiedzieć nie chcę.

Urzędnik téż nie narzucał dziedzicowi sieroty, oświadczył tylko, że naprzód przeprowadzić musi korespondencyę, a później się zgłosi o nie.

— Oddaj pan gdzie do chaty tymczasowo — rzekł — to go niewiele będzie kosztować. Ja zabrać z sobą nie mogę.

— Tak! do chaty, licho wie komu — odezwał się p. Paweł — to zamorzą głodem i zginie z niechlujstwa...

Urzędnik ramionami ruszył.

— Tak czy owak, to się to zmarnuje — szepnął — na to nie ma rady. Kto się tém zechce zaopiekować!

Dla opatrzenia i opisu dziecka, udali się do dworu, a pan Paweł zaprowadził sam urzędnika do kuchni, gdzie ów znajda na rękn wczorajszej niańki

leżąc, wcale się nie zdawał swoją przyszłością zakłopotany. Patrzył śmiało i ręce wyciągał.

Mondygierd ramionami zżymał.

— A, żeby to na świecie było potrzebne, żeby miało rodziców, coby się nad niém rozpadali, toby pewnie cherlawe było i zdechlak... Ale że sierota i zawalidroga, to zdrów i ani go pięścią dobić. Tak jest na świecie, tak! jak Boga kocham...

Do dworu zaprosiwszy na przekąskę, p. Paweł dowiadywał się pilno, kiedy sobie zabiorą dziecko, bo się go chciał pozbyć co rychléj.

— Póki to tu będzie — rzekł — wszystka robota za nic, baby będą po całych dniach cackać się koło tego i dozoru nie będzie ani w drobiu ani przy bydłe.

Narzekañ było bez końca, uspokoił jednak ase-sor, iż się postara, aby dziecko zabrano wprędce.

Wypadek ten mały, miał na życie w Kozłowiczach wpływ daleko większy niż się było można spodziewać. Naprzód stara Maryna wzięła sierotę w opiekę, potem dziewczęta się nim bawiły, co gorzej, Kasper nie wyłaził z kuchni, a p. Paweł dwa razy na dzień chodził się naocznie przekonywać, że temu znajdzie się krzywda nie dzieje.

— Niech u mnie nie zdycha — mówił. — Sam zaglądać muszę, bo to u nas nikomu wierzyć nie można, z początku gotowe się rozpadać, a za dwa trzy dni głodem zamorzą! Czy ja ich nie znam.

Jednego wieczora przy kolacyi, gdy Kasper jak

zwykle z rękami na piersiach założonemi, stał milczący naprzeciw pana, odezwał się Mondygierd.

— Uważałeś ty, co to za dureń? Ile razy przyjdę, śmieje się do mnie?

— Kto? — zapytał Kasper.

— Kto? cóż z ciebie za ograniczony człek, kto? jeszcze się pyta? — rzekł p. Paweł. — Kto? któż ma być, ten znalazł.

— Bo on się do wszystkich śmieje, to taka natura! — zamruczał Kasper.

— A! nieprawda! nieprawda! do ciebie się nie śmieje — odparł Mondygierd — pytałem Maryny.

Kasper ramionami ruszył.

— Ot, żeby go sobie sąd zabrał — rzekł — bo w kuchni to nieprzyzwoita rzecz.

Paweł spojrzał.

— Cóż z ciebie za mędrzec, pilnujący przyzwoitości — odparł zwolna. — Cóż to dziecko komu szkodzi. Ja sam dzieci nie lubię, bo to śmiecie z tego, ani słowa, ale miłosierdzie trzeba mieć.

Spojrzał na Kaspra.

Ten nie zwykł był panu nigdy ustępować.

— Tak to panu podobało się dziś mówić — rzekł pod nosem — a dla tego dziecko pójdzie na podrutki, i tyle tego.

— Albo pójdzie, albo nie pójdzie! — zawołał niecierpliwie pan Paweł — rozumiesz? Zechcę to zostawię, zechcę to oddam, u mnie tu nikt kome-

derować nie ma prawa tylko ja... Pójdzie na pod-
rzutki! Zkądże to wiesz?

— Pan sam mówił.

— Mogę zrobić, jak mi fantazya podyktuje —
rzekł p. Paweł. — Co ty możesz o tém wiedzieć?
Na złość tym, co myślą, że oddam dziecko, mogę
zostawić.

— To niech pan zostawi — odparł Kasper,
poczynając zbierać ze stołu.

Mondygierd wstał, żegnając się.

— On mi będzie dyktował, co ja mam robić!
Jeszcze czego nie stało.

Kasper nie odpowiadał, skończyło się na tém.

Kilka tygodni upłynęło, o zabieraniu dziecka
mowy nie było, a chłopiec wybielał, wytłuszciał,
przyzwyczaił się do bab, które go pielęgnowały
i w oczach rósł.

Stary kawaler nałogowy we wszystkim, gdy
raz do kuchni zaczął chodzić, aby się przekonać,
że dziecku krzywdy nie robiono, nie opuścił dnia
jednego. Czasem, nie dosyć, że popatrzył, ale stał
zamysłony, chmurny, milczący, jak gdyby zagadkę
przyszłości tego biedaka chciał rozwiązać.

Dziecko jakimś instynktem śmiało mu się czę-
sto, a raz czy dwa ręce wyciągnęło kn niemu, tak,
że się aż cofnął i nasrożył.

— Ale bo to niewiedzieć co jest! — mruczał,
wychodząc — paskudztwo to się garnie, nie wie-
dząc dla czego. Aż mi... tfu!!! Można jak nie na-

wyknać. Człowiek się i do szczenięcia przyzwyczai. Na co mi ten kłopot! po co? do czego — niechby go sobie wzięli.

Prawie dwa miesiące upływało od wypadku owego, gdy Kasper jednego jesienno poranku przyszedł oznajmić, że kluczwójt przyjechał z papierami, i że dziecko mają podobno zabierać do sądu.

Pan Paweł, który kończył się ubierać, nadzwyczaj się poruszył.

— Gdzie? jaki kluczwójt? — zakrzyczał. — Niech pokaże papiery! Dwa miesiące znaku życia nie dawali, a teraz nagle — co! gdzie!

Popłoch nie mniejszy stał się między babami na folwarku, stara Maryna się rozbeczała. Tymczasem kluczwójt stał z papierami przed Mondgierdem, który je oczyma przebiegał i mruczał.

— Tak! — rzekł — teraz zabierają, a żeby było u mnie zmarło, to co?

Kluczwójt głową pokręcił.

— Dokądże go zawieziecie? jak! bez niańki, bez dozoru? Ale to nie może być. Dziecko do trzech dni nie dożyje.

Rzecz ta nie zdawała się zbyt mocno kluczwójta obchodzić.

Kasprowi poleciwszy, aby tego urzędnika w krendsie gościnnie podejmował, p. Paweł wysunął się na folwark. Po co? sam zdaje się nie wiedział.

Wstydził się sam przed sobą słabości, ale dziecka tego oddać — na dole i niedole niepewne —

okrutnie mu się nie chciało. Sam żądał, aby je od niego wzięto, a teraz żał mu go było.

— Powiedzą — myślał — i będą mieli rację, żem już stary, zaschły, bez serca, kiedy jednę tam biedną sierociny nie chcę nakarmić i zbywam się. Wiadomo, co to czeka w szpitalu!

Do słabości jednak przyznać się nie chciał.

— Słuchajno, Maryna — rzekł do staréj, która właśnie na rękę trzymając robaka, płakała po cichu — toć to jesień, już i chłodno! Dziecko nie tak bardzo mocne, jak je wezmą, to gegnie? he?

Stara potwierdzała jak najmocniéj.

— Ja gotam trzymać nie myślę, niech sobie bierą, na co mi ten ciężar. Licho wie, co za stworzenie, niech bierą... nie mam nic przeciwko temu, ale po ludzku... po ludzku. Jak dziecko się pokrzepi, podrośnie, odda, teraz je dać, to na stracenie. Gdyby cygańskie było, nie godzi się.

To powiedziawszy popatrzył na chłopca, zawrócił się i wyszedł, rozkazując do siebie przywołać kluczwójta. Wytłomaczył mu jak najdobieniéj, że chciałby się zbyć przybłędę, ale baby mówią, że nie wyżyje, bo nadto mały. Spisano więc rodzaj protokołu świadczący, że dziecko musi czasowo na miejscu pozostać.

W Kozłowiecach wszyscy, nie wyjmując Kaspra, byli temu radzi, ale nazajutrz przy obiedzie pan Paweł mówił do niego.

— Jak się bieda uczerpi, to się jój nie pozbyć,
Jak się pan Paweł żenił.

właśnie tak u nas z tém dzieckiem. Żeby sobie był je zabrał kluczwójt, pana Boga o to prosiłem. A no, nie. Maryna się zaklina, że słabowity, że nie wytrzyma. Kłamię, jako żywo, ja to wiem, ale nie chcę, aby mnie nazywano okrutnym. Gdyby go byli wzięli, nicby mu się nie stało.

Kasper ośmielił się bąknąć.

— A jakby kluczwójt wywiózł, panby sam żałował!

Odgadnięty pan Paweł zarumienił się mocno.

— Proszę ja ciebie, tylko ty mi nie mędruj, ty mi tu nie odgaduj co ja myślę! Ale! on mi tu będzie podpatrywał i przepowiadał? Ha? zkadże ci to ta mądrość! Znasz ty mnie?

— A juściż lat trzydzieści służę.

— Ja ci powiadam, że ty mnie i za pięćdziesiąt nie będziesz znał. Także mi mudrahel! Ja ciebie znam, żeś osieł był za młodu i takim samym umrzesz, a mnie ty na źdźbło nie znasz! Nie! nie prawda! Jabym żałował? kogo? co? bębna tego? znajdę, bachura tego śmierdzącego, co go na gościńcu ze śmiecia zdjęto.

Cóż to on mi jest?

Wstał od stołu zaperzony pan Paweł, tém bardziej, iż miał podejrzenie na Kaspra, że się z niego, zakrywając, uśmiechał.

Kłótnie te powszednie bynajmniej między nimi dobrej harmonii nie nadwierały. W godzinę potem byli znowu jak najlepší, a jeżeli się rozmowa prze-

ciągnęła, inaczej jak łajaniem skończyć się nie mogła. Jeżeli utarczka między starymi doszła do ostatecznego kresu, tak, że Kasper się poruszył i dał poznać, iż został dotkniętym, nieochybnie nazajutrz pod jakimś pozorem dostawał gratyfikację, podarek, jakiś balsam na zagojenie rany.

Po wyjeździe kluczwójta we dwa dni, p. Paweł nagle wpadł na myśl, iż dziecku imie nadać było potrzeba. Nie miał pewności jednak, czy było ochrzczone czy nie, choć krzyżyk na szyi zdawał się tego dowodzić. W tym przedmiocie postanowił się poradzić duchownego. Nie podobało mu się to, że kobiety samowolnie chłopca przezywały, nie wiedzieć dla czego Matwiejkiem.

Zakazał nawet, aby się nie ważono żadnego imienia mu nakładać, dopóki on téj kwestyi nie rozwiąże. Z narady z proboszczem wypadł chrzest warunkowy, a po namyśle p. Paweł dozwolił sierocie własne swoje dać imię.

Kasper się uśmiechał i ruszał ramionami, ale że we wszystkiém nawykł był pana naśladować, chodził do kuchni i po całych godzinach przesiedywał nad tym bębniem, który na tém skończył, że się go za wasy targać nauczył. Kasprowi aż łzy z ocz ciekły, ale się uśmiechał. Kluczwójta przez kilka miesięcy nie było ani słyhać, a Pawełek się sobie na folwarku chował w jaknajlepsze i krzywdą mu się nie działa.

Gdy wiosna nadeszła, a chłopak zaczął się po-

woli na nogi dźwigać, pan Paweł kilka razy zagadał coś o kluczwójcie, że zapomniał po dziecko przyjechać.

— Bo juści to paskudztwo trzeba raz oddać gdzieś i pozbyć się tego — mówił do Kaspra. Skończy się na tém, że gdy się to we dworze chować będzie, ludzie gotowi o tém Bóg wie co pleść, a tego ja nie chcę; nikt nie wie jak on się tu dostał, poczekawszy, zapomną i bajki z tego urosną.

Kasper zwyczajem swym stał z rękami na pierśsiach założonemi, nie mówił nic. Pan Mondygierd spojrział nań.

— Cóż bo znowu stoisz z gębą zamalowaną? — zawołał — toć mógłbyś się przecie odezwać, he? Trzeba oddać, a kluczwójt nie przyjeżdża. Żeby człowiek litości nie miał, toby na furę z babą wsadził i wprost do sądu odesłał. Niech sobie robią z tém co chcą, to do mnie nie nalaży. Co mi tam! a ta głupia Maryna plecie. że oto zęby się wyrzynają, bo ciągle jakieś zęby co raz nowe dostaje. Ja nie wiem póki to tego będzie? Raz to potrzeba przecie skończyć. Potém przyjdzie ospę szczepić i licho wie co, a tymczasem we dworze ciężar.

— Jakiż ciężar proszę pana? Kwarta mleka i trochę chleba? — mruknął Kasper.

— A dozór? — przerwał Paweł — te babska to jak swojego nie mają, cudzymby się po całych dniach bawiły; nic nie robią, tylko się nad tym smarkaczem rozpadają.

— No, to niech pan odeśle — przerwał Kasper — wola pańska.

— Tak! dobryś! — krzyknął Paweł — potem sąd nie sąd, będą trąbili, że nawet nad tym robakiem u nas litości nie było.

Już jak kogo pan Bóg pokarze — dodał — to ani się wywinać. Odesłać, źle, zostawić, jeszcze gorzej, ni wprzód, ni w zad. Kara Boska i po wszystkimu.

Westchnął.

Było takich pogadanek wiele. Nakoniec jednego dnia czerwcowego, Kasper zasepiony, pilno panu w oczy patrząc, zastąpił mu drogę w ganku, powracającemu z pola.

— Kluczwójt przyjechał — rzekł krótko.

Zmieszał się p. Paweł i własnego uczucia zawstydził.

— No, to cóż, że przyjechał? — spytał, udając, że nie rozumie. — To co?

— Po dziecko się zgłasza!

Mondygierd już się dąsał.

— To mu oddać, niech bierze! niech bierze. Chwała Bogu, że się zbęde. Wołaj go do mnie.

Wszedł p. Paweł do pierwszego pokoju i siadł na sofce; kwaśno mu było.

— Hm! po dziecko przyjechał! a kilka miesięcy pary nie puścili, jakby go na świecie nie było, teraz sobie nagle przypomnieli!

Kluczwójt, figura urzędowa, z ogromną blachą

na piersiach, człek dobrze wykarmiony, z policzkami rumianemi, poważny wielce, dający sobie tony wielkiego władzcy, ale znający się mimo to na grzeczności, wszedł, uklonił się i stanął w progu. Pan Mondygierd sapał siedząc.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór. Co to asindzij po dziecko przybyłeś?

— A juści, kiedy trzeba je zabrać, to teraz pora najlepsza — rzekł urzędnik.

— Pewnie, pewnie! — odezwał się Paweł — trafiłeś właśnie, że mu się jakieś zęby wyrzynają i dziecko chore. Toć trzeba Boga w sercu mieć, żeby je teraz brać!

No, i jak? bez baby go nie powieszysz, bo to się rozkrzyczy na śmierć, a ja baby teraz dać nie mogę ani na lekarstwo. U mnie w ogrodzie plewidło, roboty za katy, rąk mało, jeszcze kilka chorych leży.

— A cóż będzie? — zapytał kluczwójt.

— Co będzie? To ja się acana pytam, co będzie — zawołał Mondygierd. — Bierz, bierz, ja nie chronię, zbędę się tego pisku i smrodu z ochotą, ale będziesz odpowiedzialnym za dziecko jeżeli gęgnie, a że gęgnie, to bądź pewny, nie dowiesziesz go do stanowój kwatery.

Kluczwójt pokręcił głową.

— E! żeby zaś! — rzekł — nic mu się nie stanie.

— A no baby go rozpieściły — odparł pan Paweł. — Zwyczajnie jak nad sierotą litość miały i to się rozpaskudziło, ale mnie nie do tego, ja ręce umyвам.

W tém nagle coś sobie przypomniał p. Paweł i spytał.

— A poczęstowaliż waćpana? he? możebyś się co napił!

I począł wołać Kaspra, lając go.

— Czyż i to trzeba przypominać, ty stary niedołęgo! Dajże wódkę i zakąskę, rozumiesz! Gdzie twoja pamięć, wszystko trzeba samemu robić i każdą rzecz łopatą kłaść w głowę.

Przekąska już była gotowa i Kasper, nie wdając się w usprawiedliwienie, przyniósł ją. Pan Paweł chodził po izbie, ręce powkładawszy w kieszenie. Kasper znikł.

— Cóż będzie, proszę jaśnie pana? — zapytał kluczwójt.

Pan Paweł ramionami ruszył.

— Co ma być! — rzekł, stając przed urzędunkiem. — Serce ludzkie trzeba mieć! to darmo! Mnie ten znajda już kością w gardle siedzi, radbym go jednej godziny z rąk zdać, ale litość bierze.

Sięgnął pan Paweł niby od niechcienia do kieszeni i coś w rękę wcisnął kluczwójtowi.

— Żebyś się darmo nie fatygował — mruzczał cicho. — Niech już ten bęben przebędzie tu póki zębów wszystkich nie dostanie. Co robić! Co robić!

Kluczwójt się bynajmniej nie napierał chłopca i pan Paweł zawsze stękając na to, że go pan Bóg pokarał tym przybłędą, oznajmił, aby go do czasu na folwarku zostawiono. Narzekając także, kazał mu koszulę uszyć z płótna, które sam wydał pod pozorem, że mu się jakieś okrawki od czegoś zostały.

W kilka tygodni okazało się, że na folwarku ten smarkacz był przyczyną ogólnego opuszczania się dziewcząt w gospodarstwie i jawna była potrzeba wzięcia dlań z biedy dziewczyny, wyrostka, któraby go pilnowała.

— To zdaje się nie — mówił Mondygierd — a zaraz jedna gęba więcej na folwarku. I tak ziarno do ziarnka, a ten bęben już kosztuje... No, a dać go na ręce cudze, to przypadnie.

Kasper, gdy była o tém mowa, tylko ramionami ruszał.

Pod pozorem, że ludzie się opuszczają, gdy się na nich oka nie ma, pan Paweł raz i dwa codzień chodził do dziecka na folwark. Stał czasem nad niém zamyślony, trafiło się, że się uśmiechnął, raz mu przyniósł kawałek cukru, drugi raz sucharek, i przy wieczerzy tego dnia wygadał się przed Kasprem, że chłopiec będzie nie głupi.

— Z ócz mu patrzy już teraz — coś takiego, licho wie! No — i nieszpety wcale.

Prawdę powiedziawszy Pawełek choć nie zbyt brzydki, nadzwyczajnej piękności nie miał, ale —

uśmiechał się do Mondygierda — to go czyniło pięknym.

Wszyscy we dworze do dziecka się przywiązali, prawdopodobnie kluczwójt musiał się tego domysleć, przyjeżdżał więc regularnie dwa, trzy razy po dziecko i odjeżdżał ułagodzony, a przekonany, że właśnie w tym momencie oddać chłopca nie było podobieństwa, nie narażając jego życia.

Pawełek szczęśliwie się tak chowając pod pilnym dozorem samego dziedzica, dochodził już trzech lat i biegał około folwarku przy niańce, okazując wrodzony talent do wywijania kijem i do hałasowania, spoufalił się tak z panem Pawłem i Kasprem, że ich obu za poły porwał i gonił po dziedzińcu, gdy dnia jednego, raniuteńko, wpadł stary sługa do pana, jak przestraszony, blady, wzruszony i począł niezrozumiałego coś belkotać, w czém tyle tylko dojść było można, iż ktoś w nocy do karczmy zajechał, który się dopytywał o znalezione tu dziecko i lada chwilę miał nadejść do dworu.

Zerwał się p. Paweł wołając:

— Otóż tobie masz! tegom się zawsze lękał! byłem tego pewny! jak mi Bóg miły. Biedowaliśmy hodując to stworzenie, pielęgnowali, a teraz do gotowego chłopca, kiedy z niego pociecha być mogła, zjawi się ktoś i odbierze.

Któż to taki? co za jeden? jakim prawem? — burczał.

— Albo ja wiem, ubogi człek, wygląda na ekonoma, albo szlachcica z Sernik. ino go nie widać.

Pan Mondygierd wpadł prawie w pasyę.

— Zapewne! — zawołał — pierwszy lepszy teraz sobie będzie sierotę rewindykował! Z tego nie będzie nic! Nie dam. Jest mi powierzony od urzędu! Jakie dowody! Żadnych dowodów być nie może.

Burzył się chwilę, w końcu co najprędzej ubrawszy, przykazał Kasprowi, aby do dziecka nikomu obcemu ani się palcem nie dać dotknąć — i czekał w bawialnym pokoju. Kawy ranniej dopić nie mógł, tak był poruszony. Mruczał ciągle sam do siebie.

— Byłem tego pewny! A no. zobaczymy. zobaczymy!

W pół godziny może, wprowadzony przez Kaspra, wtoczył się do pokoju, mężczyzna średnich lat, słusznego wzrostu. z wąsem. ubrany jak oficyalista dworski w butach długich, twarzy męskiej, przystojny, smutny i widocznie mocno wzruszony.

Pan Mondygierd przyjął go od razu jak nieprzyjaciela na stopie wojennej, występując przeciw niemu.

— Kto acan jesteś? — zapytał sucho.

— Daniel Wydra, jaśnie panie — odparł dobywając drżącą ręką papierów związanych z za tataratki — oficyalista prywatny w dobrach ks. Lubeckich.

— Czego waćpan chcesz? — dodał surowo pan Paweł.

— Jasnie panie — łamiąc ręce, zawołał przybyły — przywłóknę się paść do nóg i dziękować mu za ocalenie mojego dziecka! mego jedyne go dziecięcia!

— Co! co! co! jakiego? gdzie? proszę się jaśniej wytłomaczyć.

Wydra tchnął mocno i począł opowiadać nadzwyczaj żywo.

— Proszę o chwilkę cierpliwości, niech pan raczy posłuchać, opowiem wszystko jak było. Bóg świadek duszy mojej, prawdę jak na spowiedzi, świętą prawdę.

Zmarszczył się pan Paweł.

— Słucham, ale do rzeczy, bo ja próżnych słów nie lubię.

— Na folwarku, w którym ekonomuję od lat dziesięciu, służyła dziewczyna, Marcysia. Pisarz prowentowy się w niej zakochał, tak, że nawet się miał z nią żenić. Dziewczyna była piękna i pocziwa, lubili ją wszyscy... ale rodzice Słomkowskiego żenić mu się z chłopką nie pozwalali. Bóg ich wie jak i gdzie, ale dosyć, że się pobrali. Słomkowski musiał ze swojemi zerwać, a że był do nich przywiązany, zachorzał z żalu, no, i umarł. Marcysia została jak palec sama na świecie z dzieckiem. Straciwszy męża, cała się w tego dzieciaka, można powiedzieć, wlała, nosiła się z nim dzień i noc,

chodząc, płacząc, a że nie miała prawie z czego żyć, tośmy ją na folwarku karmili.

Litość brała nad nieszczęśliwą.

Pan Paweł słuchał, ustami kręcąc.

— No, ale do rzeczy! — przerwał — cóż mnie tam po téj Marcysi!

— Ona była wszystkiego mojego nieszczęścia przyczyną — westchnął Wydra — ona! myśmy ją przytulili przez miłosierdzie.

Wydra rozplakał się. Łzy ocierał i czas jakiś mówić nie mógł.

— Do rzeczy — mruknął Mondygierd. — Zatem co?

— Nie wiadomo z czego i jak dziecko jój umarło — mówił przybyły. — Ledwieśmy je pochowali, gdy na drugi dzień zwaryowała. Całą noc siedziała na mogiłkach, śpiewając niby do snu dziecięciu, aż się ludziom serce krajało. Śmiała się, skakała, huśtała, jakby zabawiała jeszcze swojego chłopca, nie pamiętając, że go pogrzebała. Trzeba ją było wziąć gwałtem od grobu i to nie łatwo przyszło.

Ja i żona robiliśmy co mogli, aby ją do zmysłów przyprowadzić. Zdawało mi się czasami, jak się rozpłaczę, że oprzytomnieje. Gdzie tam, nagle skoczy i śpiewać zaczyna i prawi od rzeczy. Już nie wiedziała, że mąż nie żył, więc gada niby do niego, weźmie lada co i nosi jak dziecko, kołysze a śpiewa... U nas właśnie syneczek mały był w kołysce. Kilka razy nieprzytomna dorwała się do na-

szego dziecka, bo jój się zdawało, że to jój własne, żona odbierała, czasem na chwilkę, widząc, że nic złego nie robi mu, zostawiała go na jój rękach, aby nieszczęśliwa miała jakąś pociechę.

Już i nie wiedzieć, co z nią robić było. Wlokło się tak parę tygodni. Jednego dnia, jakoś myśmy się porozchodzili około gospodarstwa, a waryatka położyła się spać na wyżkach. Nasz chłopiec leżał w kołysce. Żona moja była na ogrodzie. Coś ją tknęło, że chłopca zostawiła samego, pobiegła — nie ma dziecka. Wnet się wszyscy rozpierzchli szukać waryatki, bo wiedzieli, że nikt inny nie mógł go wziąć, tylko ona.

A! panie! sądny to dzień był dla nas. Gdzie co było koni, ludzi, czółen, wszystkośmy pochwytali, goniąc jak komu na myśl przyszło...

Nigdzie ani śladu, waryatki nie znaleźliśmy. Żona moja o mało życiem tego nie przeplaciła, a o sobie ja już nie mówię.

Któż mógł zgadnąć, co ona z sobą i chłopcem zrobiła. Szcześciem się Bóg ulitował nad nami! Panie, ona tu u was pod karczmą zmarła! Wy macie moją sierotę! Czas, dni zgadzają się zupełnie, a i opis bobiety.

Mnie opatrność Boża jakoś na trop prowadziła — kluczwojt...

— A bodajby przepadł! — rzekł w duchu pan Paweł i zwrócił się z powagą wielką do Wydry.

— Mój panie — odezwał się — wszystko to

bardzo śliczne, czułe i wielką mam kompasję nad asindziejem, ale ja tu jednak żadnego nie widzę dowodu, żeby chłopiec, którego ja z gościńca kazałem wziąć przez miłosierdzie, miał być koniecznie jego synem, a ta żebraczka, która tu zmarła, tą jakąś Marcysią.

Ruszył ramionami.

— Jaśnie panie — zawołał Wydra, ręce rozpościerając — ależ to rzecz jawna. Wiemy kiedy uciekła, a kiedy się tu przybłąkała. Żyd ją opisuje kroplą w kroplę jak była, wymizerowana, wychudła, włosy jasne, ubrana po prostu, tylko kawał odzieży dawniej pono na niej został.

Pan Paweł wiedział, że odzież była w sądzie złożona, ale się z tém nie odezwał.

— Wszystko to nie dowody! — zawołał — co? zkad? Jest temu lat trzy jak się to stało, dziś nikt dobrze nie pamięta...

Wydra zdziwiony oporem, jaki spotkał niespodzianie, zamilkł, ręce załamał, stał jak rażony. Pan Paweł zmieszany mocno, przechadzał się po pokoju chrząkając.

— Finalnie — rzekł — chcesz waćpan tego dziecka! tak!

— Bo mojém jest! — wybuchnął ojciec.

— To trzeba dowieść gruntownie — rzekł pan Paweł — niezbicie, prawnie. Zresztą dziecko to — dodał uderzając się w piersi z patetycznym akcen-

tem — dziecko to jest mi przez urząd powierzone, jemu je tylko oddam.

Staął uroczysty, niemal groźny i straszliwie w duszy gniewny na tego człowieka, który mu bębna jego śmiał chcieć wydrzeć.

— Bardzo szanuję pobudki i uczucia acana — dodał — ojciec jesteś, ale możesz się łudzić, sam się oszukiwać. Trzeba dowodów mocnych... niezbitych!

Wydra coraz bardziej zdumiony, zdawał się pozbawionym mowy, wyczerpał był argumenta, które mu się zdawały przekonywające, znajdował opór i nie wiedział już, jak się dalej obrócić. Łzy mu napęłniły oczy.

— Jaśnie panie — odezwał się — trzeba mieć litość nad nieszczęśliwym człowiekiem. Toć to jak na dłoni jawne, że dziecko moje...

Pan Paweł się zniecierpliwił.

— Dla asindzieja na dłoni, ale dla mnie pewności żadnej nie ma, nie ma! nie ma! — powtórzył razy kilka. — Ja dziecka nie dam, chyba prawnie i urzędownie.

Postępowanie Mondygierda w tej sprawie tak było dziwne nawet dla niego samego, iż czuł się w obowiązku wytłumaczyć je i sobie i zdumionemu Wydrze.

— Acan mnie nie znasz — dodał — ja jestem człowiek formalista, ścisły we wszystkiém, nie u mnie na lekko! nie per dominum pstrum, u mnie

czarno na białém, prawnie, dokładnie... tego... wedle reguły być, tego, musi.

Wkładane — *tego* — którego p. Paweł nie używał, tylko gdy był wielce skłopotany i zmieszany, dowodziło, że nie wiedział sam, na czém się miał oprzeć. Czuł tylko, że dziecka nie chciał oddać i że gdy mu je odbiorą, choć z Kozłowicz uciekać przyjdzie, bo to była jedyna pociecha, ten smarkacz, na którego już gderał i odgrażał się p. Paweł, ale się do niego przywiązał niezmiernie.

— A toby pięknie było — zawołał w końcu — żebym ja pierwszemu lepszemu, co mi się zgłasza bez żadnych dokumentów, dziecko mi zdane urzędownie, pod rewers na opiekę, oddawał.

Tego nie uczynię! nigdy w świecie.

Wydra oczy ocierał, w piersi mu téż grało gniewem, a przynajmniej zbierało się na oburzenie.

— Najlepszym dokumentem — odezwał się — są łzy moje, proszę jaśnie pana!

Mondygierd się zmieszał.

— No, to jedź waćpan do sądu, ja ja, to nie moja rzecz! — krzyknął. — Cóż to mi potrzebny na co ten bęben. który mnie już kosztuje! A mnie on na co? do czego! tylko kłopot z tego i pisku pełno.

Ale u mnie każda rzecz musi iść regularnie, nic nie pomoże.

— Zatem śledztwo musi zjechać — odezwał się Wydra.

— Niech będzie śledztwo — potwierdził Mondygierd — zobaczymy, czy asindziej dowiedziesz, że chłopiec do niego należy. A jak ci go oddadzą! z panem Bogiem, baba z wozu kołom lżej.

Zdawało się tedy, że wszystko się skończyło. Wydra zamyślony stał u progu jeszcze, p. Paweł też rozważył w sobie okoliczności i odezwał się łagodniej.

— Acan jesteś poruszony, może ci się przewidywać, rozpatrzże no się lepiej we wszystkich okolicznościach. Ja do tego tam berbecia żadnych pretensyi nie roszczę, ale w każdej rzeczy trzeba postępować rozważnie i legalnie.

Siadaj acan? a możebyś się wódki napił czy co?

Wydra się skłonił nie mówiąc nic, głowę spuścił i nabrawszy odwagi począł zeicha.

— Jużciż, proszę jaśnie pana, nie ma wątpliwości, że gdy się teraz o sąd oparło, bez sądu się nie da zrobić, ale niechże pan ma litość nademną i zamiast mi przeszkadzać, dopomoże. Racz pan przeczytać świadectwo, które umyślnie wziąłem od jeneralnego plenipotenty ks. Lubeckich.

To mówiąc, wyciągnął papier, ale p. Mondygierd zdaleka dał znak ręką, że go nie potrzebuje.

— Idź acan odpocznij, pogadamy, pogadamy...

Zaledwie się drzwi zamknęły za Wydrą, gdy drugimi Kasper wbiegł, mocno poruszony.

— Racya fizyka! — zawołał — dziecko mu trzeba oddać. Trzy lata o nich słuchu nie było,

Jak się pan Paweł żenił.

raptem się opatrzyli. Hm! żadnego dowodu nie ma, żadnego dowodu, a pan myśli mu je zaraz rzucić, bierz, abym miał głowę spokojną.

— Kto ci to powiedział? ty stary bałamucie, że nie powiem inaczej — krzyknął p. Paweł. — Co płeciesz! Kto oddaje? Hm.

Oba starcy zamilkli. Mondygierd zaczynał jak zawsze, gdy był poruszony, biegać po pokoju i pocichu kłać.

— Bodajby ich, ze wszystkiem... i t. d.

Nagle niby mu coś na myśl przyszło i stanął.

— Głupstwo — zawołał — co? czego? będziemy się rozpadali nad tym bębniem. Żyliśmy bez niego i było nam dobrze, ra co on nam potrzebny. Niańka ubędzie, głęba jedną mniej! Ty zawsze miałeś tę głupią sympatyę do dzieci.

— Ja? proszę pana? — Kasper ramionami strząśł — ja?

— A któż? ja? A to dobre — mówił Paweł — ja dzieci nie cierpię, nie lubię i nie znoszę, niech sobie zabiera, ale sądownie! Śledztwo musi być i ostre. Potém pociągną mnie do odpowiedzialności, nie głupim...

Kasper oparł się o stół i patrzył przez okno. Począł szeptać pocichu na wpół do siebie.

— Et! co to gadać, co to gadać! Między nami, ta to się na tém skończy, że jemu oddadzą dziecko. Przed arendarzem opisywał tę kobietę, co je tu przyniosła, jota w jota, zgadza się czas i wszystko... Nie ma bo wątpliwości, że to chłopiec jego. W są-

dzie złożone łachmany, to i on je pozna i ludzie i oprzysięgną. Między nami, chłopiec kropla w kroplę podobny.

— A! nieprawda! jako żywo — rzekł skurczony Mondygierd — przyśniło ci się? podobny? z czego? jak... chłopiec delikatny, nawet przystojny, a to... to zabijaka jakiś. Pleciesz! A jeszcze mi ty to gadaj po dziedzińcu, zobaczysz jak ci gębę zamaluję.

Do niego podobny? Koneser! proszę, znalazł już podobieństwo! głupi.

Kasper nie zważał na łajanie, tak był w myślach zatopiony, był to zresztą chleb powszedni.

Zbliżył się poufale do p. Pawła.

— Wie pan co? ze wszystkiego widać, to człowiek nie w dostatkach. Wózek którym przyjechał, pożal się Boże, szkapą, wypasiona prawda, ekonomska, ale stara... koło niego chudo... a gdyby z nim pogadać? hm! on mógłby dziecko zostawić. Dojeżdżaliby sobie! Co to wam krzywda, czy co?

Odgagnięty p. Paweł oburzył się, że Kasper mu myśl jego odebrał.

— Odczep że się ty odemnie — zawolał — ze swojemi mądrymi radami. Ty mi zawsze musisz mentorować. Cóż to ja swojego rozumu nie mam, żebym się u ciebie zapożyczał... Dosyć, że ty mnie zawsze do ostatniej pasyi przyprowadzisz... Patrzajcie go! nauczyciel. A nie pójdiesz belferować do kuchni, słyszysz!

Kasper nieulekniony w okno patrzył; splunął

pomalutku, spojrział na pana i poważnie wysunął się z pokoju, drzwi dosyć mocno zatrzaskując za sobą.

Mondygierd został sam. Żał mu było okrutnie tego smarkacza, do którego się niepotrzebnie przywiązał, a wydać się z tém wstydził. Gniewał się na losy.

— Drugim razem — mruczał — znajdzie się sierota, o którą nikt nigdy się nie upomni, jak ona komu ciąży, ludzie się nią rzucają, a tu wnet i ojciec się przystawił, Bóg z nim, ale trzy lata się to hodowało, żeby człek szczenię wykarmił, to się przywiąże do niego. Taka głupia ta ludzka natura...

Począł sobie perswadować.

— Nie, ale bom głupi — rzekł w duchu. — Przyzwyczaiłem się? no to co? odzwyczaję się, i kwita. Pewnie, że szkoda, bo to już zaczynało gadać i byłoby to rośło sobie, a w domuby nie tak było pusto, ale, no cóż? mam się dlatego obwiesić, plunąć na marę! Co mi tam! Tak z tém, jak bez tego!!

Machnął ręką ogromnie, westchnął i słowo w słowo, jak Kacper przed chwilą, zapatrzył się w okno, z wyrazem smutku na twarzy.

Ze wszystkich sąsiadów i przyjaciół, z którymi żył, mimo nieustannych sprzeczek, w przyjaźni i zgodzie p. Paweł, najulubieńszym mu był rejent Sawicz. Zwano go rejentem, chociaż nim oddawna nie był, przylgnął tytuł ten do niego z dawnych

czasów. Dorobiwszy się wiošczynny, którą sobie kupił pod Pińskim, Sawicz żył w niej, piąty już krzyżyk licząc, tak samo nieżonaty jak Paweł, tak samo prawie kwaśny, zabawiając się jedynie tém, że z ludzi drwił nielitościwie i cieszył się ich słabościami.

Mondygierd poważniejszym był, gdy szło o sprawy większe, Sawicz wszystko brał lekko, we wszystkim szukał plam, a w niedostatku tych, z którychby mógł sztydzić, sam siebie ogadywał, zowiąc niekiedy — starym dudkiem.

Powierzchnowość reagenta nie była wcale pociągająca. Lubił kieliszek i twarz czerwona, rubinowa, zaogniona, zdradzała tę słabość, lubił dobrze i dużo zjeść, co mu zaokrągliło zbytnio przysadzistą figurę, wreszcie przyśniło się kołtun zapuścić i nie tykając włosów, doczekał się ogromnego, starannie pielęgnowanego, dla którego czapkę nawet musiał kazać robić na uszach.

Stał jeszcze w oknie Mondygierd, gdy stukanie kijem w drugim pokoju oznajmiło mu przybycie Sawicza, bo nie mógł to kto inny być, tylko on. Wkrótce téż głos usłyszał.

— A gdzież się gospodarz podział? Cóż to znowu jest? Za młodycami lata, czy co? he?

Paweł drzwi otworzył.

— Jak się masz?

— Do nóżek się ściele, widzisz, przywlokłem się do ciebie na kołduny — wzdychając, rzekł Sa-

wicz — dla mnie pół kopy będzie dosyć, bom dziś nie bardzo zdrów. Co słychać?

— A nic — rzekł Paweł.

— Czegoś kwaśny jesteś! hm! Cóż ci to? Zagniewałeś się na coś w gospodarstwie?

— Jako żywo!

Mondygierdowi pilno było się wypowiadać, tylko wstydził się wydać z głupim sentymentem.

— Trafiłeś do mnie na śmieszna sprawę, ale nie ma o czém gadać.

— A no, mów, cóż będziemy robili? Każ wódki dać — i zrzuc z serca co masz, lżej ci będzie.

Kasper znający już porządek domowy, nie czekając rozkazu, przyniósł śniadanie, które o téj godzinie zawsze było w pogotowiu; flaszkę starki, ratafię, chleb, sér, masło i słodkie zakąski, wśród których tłuczenie królowały.

Rejent się przysunął zaraz: napili się wódki i Mondygierd oględnie począł opowiadać historię dziecka.

— A toż ja ją słyszałem — przerwał Sawicz — umiem ją na pamięć. Cóż tedy?

Niezręcznie dosyć pan Paweł dokończył dzisiejszém przybyciem ojca, zdradzając niewielką ochotę oddania chłopca.

Rejent na niego spojrzał.

— Coś ty oszalał, czy co? — rzekł — a to Panu Bogu podziękuj i oddaj mu to utrapienie! tobie to do czego?

— Pewnie! do czego mi to ma być! Już mi kością w gardle stoi, jednakże ja tego bez sądu nie mogę zrobić.

— Sfiksowałeś, czy co? — rozśmiał się rejent — a sądowi na co ten bęben? Kto ci się o niego upomni. Kontenci będą, że się zbyli.

— Zawsze, tak — tego — to nie może być! — krzyknął p. Paweł, zając chlebem, aby nie pokazać, że się zawstydził.

Rejent jadł i śmiał się.

— Wiesz, kochanie — rzekł — możnaby ciebie posadzić, że ci się konsolacyi tak zachciało, że aż cudzą sobie przywłaszczasz. Cała sprawa funta kłaków nie warta! Pluń i porzuć.

Mondygierd coś zamruczał i siadł. Rad był, że rejent przyjechał i dywersję zrobił jakąś w sprawie, razem z tém jednak wahał się nawet przy nim odzywać, aby go nie wyśmiewał.

— Już ty mi nie mów — poczał Sawicz — tyś się do tego smarkacza przywiązał. Słabizna z ciebie... Ja codzień panu Bogu dziękuję, że się nie ożeniłem, a ty, jeżeli już się w tobie te symptomata odzywają, prorokuję ci, na starość jesteś gotów to głupstwo zrobić.

Mondygierd aż podskoczył.

— Idźże ty mi z tém gadaniem! — zakrzyknął.

— Co masz się wstydzić i wypierać tego — mówił rejent — albo to po ludziach nie chodzi. Tak bardzo stary nie jesteś, kołtuna jak ja nie

masz, żonę czém wyżywić jest; w domu ci nudno, wał w konkury, to po cudzem dziecku płakać nie będziesz, gdy ci własne bokami wyłazić będą.

Któż ci powiedział, że ja tego dziecka żałuję — odezwał się opryskliwie p. Paweł. — Zkądżeś ty to wziął?

— Słuchajże, ja ludzi znam! — rzekł rejent — nie kłam, dziecka ci żał... To zły znak, ty się ożenisz.

— A! idź do trzysta...

Sawiez się śmiał, wódką popił i wszystko zmiótł z talerzy; usta potem otarł, odetchnął, usiadł wygodnie i zawołał:

— No! póki ja tu, kończyny sprawy, każ wołać ojca tego, wezmę go na indagacyę i wybawię cię z kłopotu.

Chciał się z tego wymówić gospodarz, zagadując to tém to owém, gdy niepowoływany wpadł Wydra, z oczyma rozpromienionemi, poruszony, wesół, zmięszany razem... Nie zważając na rejenta, wprost pobiegł do pana Pawła i do nóg mu się rzucił, chwytając za nie.

— Drogi mój paneczku! Bóg widzi, dziecko moje! Dobrodzieju! łaskawco! tam matka usycha z pragnienia, aby je zobaczyć. Daj mi je! Dam rozpiskę, stawię się, będę odpowiadał — to mój syn! bądź miłosierny!

Proste słowa te poruszyły tak Mondygierda, że

już wstydząc się opierać, i ulitowawszy nad wołającym, nie nie rzekł, tylko :

— A bierzże sobie, bierz ! toć ja go nie przywłaszczam !

Zaledwie usłyszawszy te słowa Wydra, jeszcze raz za nogi ścisnął usuwającego się p. Pawła i wybiegł z pokoju.

— Widzisz acan, panie Pawle — odezwał się rejent — tylko ubodzy ludzie tak się dzieci napierają. Na wielkim świecie zawada z dziećmi. Matce nieprzyjaciołką dorastająca córka, ojcu przeskoda synalek taki wisus jak i on. Trzeba to wyposażyć, podzielić się... A taki oto ekonomina, żeby miał siedmioro, za każdego życie da ! Głupi ludzie, ale to w porządku ! Dzieci na świecie potrzebne, aby coś zostało z tego, co ospa, koklusz, krup, cholera i inne kosowice pozabierają.

My z waćpanem we dwu wesołe kawalery, ale trutnie — nikt po nas nie zapłaci, o co ja, przyznaję, wcale nie dbam ! Choćby się i śmieli potem, ja nie posłyszę...

Przy usposobieniu, w jakim był pan Paweł, mowa ta mu się nie podobąca i krótko na nią odpowiedział :

-- Bredzisz !

Wśród rozmowy kołduny się dogotowały i poszli do stołu.

Wydra chłopca dobrze zawiniętego zabrawszy na wózek, pojechał drugiego dnia z nim do żony. Pan Paweł chcąc się przy swoim utrzymać, kazał mu dać rewers formalny na odebrane dziecko.

Po wyjeździe rejenta, pod różnemi pozorami dwa czy trzy razy chodził na folwark chłopca zobaczyć. Dał ciepłą chustkę zimową, którą zwykł był szyję obwiązywać, a ta mu już lat dziesięć służyła, na obwinienie chłopca wieczorem, żeby się nie zaziębił, dał i coś więcej, a po odjeździe Wydry, można go było posądzić, że łzy miał na oczach.

Na folwarku baby płakały, a Kasper do pana nie gadał, gniewał się na niego. Widział to i czuł Mondygierd i nie zaczepił go nawet, aby nie przyspieszyć wybuchu. Zagadywał o pogodzie, o robociźnie, o wodzie, która zdała się chcieć przybierać, o dziecku ani słowa.

Kasper spoglądając na starego marszczył się i mruczał.

— Ani głowy, ani serca! mówił do siebie — miał oddawać, to po co było brać? wszyscy się poprzyzwyczajali, że teraz na folwark pójść się człowiekowi nie chce.

Pan Paweł czując się winnym sam, milczał, prawie też same wyrzuty robił sobie w duchu, miał za złe sercu własnemu, że się tak niedorzecznie mogło przywiązać, usiłował się zwyciężyć napróżno.

Nie się nie zdawało braknąć w Kozłowiczach, a cóż mogła znaczyć słaba owa dziecina, której głos czasem dolatywał do dworu, którą niekiedy przez okno widywał bawiącą się ze psem i niańką na murawie.

Powracając z pola bywało, wstępował zawsze na folwark, różne sobie dla usprawiedliwienia wynajdując pozory, potem niby przypadkiem zwabiony hałasem chłopca, zbliżał się do niego, aby zburzyć, stawał nad nim, dziecko się mu uśmiechało, wyciągało ręce i pan Paweł zarumieniony ze wstydu jak panienka, dawał mu swe grube palce do zabawy. Teraz, machinalnie często nawracał do folwarku i wśród drogi przypominał sobie, że tam już pusto było. Brakło mu téj istoty do życia, czuł w niem próżnię i gniewał się za to na siebie.

Kasper, który go doskonale znał, a nawet inni dworscy postrzegli, że się stał po zabranii chłopca posępniejszym i milezącym, daleko dziwaczniejszym i opryskliwszym. Nie napadał tylko na jednego Kaspra, bo się go obawiał zaczepiać.

Pierwszy tydzień cały tak upłynął smutnie. Można było na czas rachować, że z sobą pamięć dzicka uniesie i dawny porządek jednostajnego, nudnego dosyć życia przywróci. Tam jednak, gdzie nie wiele jest rozmaitości żywiołów, gdzie skąpo wypadków i wrażeń, ubytek tego, co trochę życia i ruchu z sobą przynosiło, ciężko się i długo czuć daje.

Pan Paweł do reszty stetryczał — jawném było

dla niego samego już, że ten robak mały, którego wzrostom, może nawet przyszłością się zajmował, który mógł dlań być jakimś celem i nadzieją, wyniósł z sobą z Kozłowicz jakby ostatnią iskierkę ognia, co je ogrzewała.

Drugiego dziecka brać za nic w świecie nie chciał, byłoby to śmiesznością, zdradzeniem się, dowodem słabości, — a takie pustki były teraz w domu i wszędzie, że życie stawało się ciężarem. Przytém p. Paweł najpewniejszym był, że takiego drugiego dziecka na świecie nie było.

Dziecię to śmiało mu się i znało go już, w tém była cała tajemnica wielka, tajemnica co wiąże swą siłą społeczność, tajemnica pragnienia, jakie je miłości i serdecznego związku.

Panu Pawłowi brakło kochania, bez którego całe życie się obchodził, zastępując je nałogiem do ludzi i miejsca. Raz rozbudzony instynkt, domagał się zaspokojenia.

Potrzeba mu było, jak wszystkim tęskniącym, choć mówić o swym bólu. Nie miał z kim, począł więc próbować z Kasprem. Ale wziął się do tego z chytrą wielką. U wieczerzy raz westchnął, że mleko, które lubił, przydymione było.

— Myślałem — odezwał się do Kaspra — że jak tego smarkacza na folwarku nie stanie, przynajmniej baby lepiej się dopilnują przy garnkach, a i to nie pomogło.

A jednak panu Bogu dziękuję, żem się ciężaru niepotrzebnego zbył.

Już w dziedzińcu śmiecił, już kije znajdowałem na ścieżkach, gałęzie, skorupy jakieś, a cóżby to było później, jakby się to na nogi zerwało! Zagnaby się gruszka ani jabłko nie utrzymało w ogrodzie. No — i dobrze, żeśmy się zbyli — bardzo, bardzo jestem kontent.

Kasper stojący naprzeciw rękę jedną podniósł i dla przyzwoitości usta sobie nią zasłonił, bo mu się do śmiechu ściagały. Nie odpowiadał nic.

Spojrzał Mondygierd i zmarszczył się. Zawiązana niezręcznie rozmowa zerwała się milczeniem sługi, który talerze zaczął zbierać.

Nigdy się jeszcze p. Paweł tak nie nudził i nie gniewał na robotników swych i dworskich, którzy przed nim uciekali i chowali się.

Jesień nadchodziła a na Kozłowiczach ciężyło jeszcze wspomnienie odebranego dziecka. Goście, zawsze rzadcy, zupełnie się jakoś nie trafiali, pan Paweł parę razy popłynął do Pińska i powrócił w gorszym jeszcze humorze niż się wybrał z domu. Odwiedził rejenta i pokłócił się z nim, tak, że przez kilka tygodni nie mieli z sobą stosunków. Wreszcie tak znudzony jak Mondygierd, przyjechał Sawicz do niego. Kłótnia zapomnianą została. Zbierało się na zasiewanie pszenicy, a pan Paweł miał ziarno tak mizerne, że niem siał nie było warto. Pszenicę tę siał przez upór tylko, bo mu ją mie-

tlica każdego roku całkiem prawie głuszyła, a czego ona nie zjadła, rumianek i owsinka dokończyły. Lecz wyrzec się pszenicy honor nie pozwalał. Zgadało się o tém utrapieniu.

— Nie masz ty czystej, pięknej pszenicy? — zapytał Paweł.

— Gdzie u mnie pszenica! jam jej dał za wygraną. To romanse są — zawołał Sawicz. — Po co siał, kiedy nie rodzi? ziemia wilgotna i zimna; ja sobie kupuję średnią u sąsiada na kołacze, albo i mąkę. Nie mam.

— No, a ja uia tém postawię, że u mnie będzie jak las — odparł Paweł. Rowy pokopałem, zagony popodnosiłem; zje kaduka miotła, żeby mi wlaźła; ale trzeba ziarna dobrego, gdzieby tu dostać?

— U Krasickiego — rzekł Sawicz.

To nie gospodarz — odparł Paweł — nie chcę nawet kołatać.

— No, to u Lubeckich, albo u Skirmuntów.

— Chyba — rzekł pan Paweł — do Lubeckich mi bliżej, trzeba będzie pojechać.

— Mój kochauy — śmiejąc się odezwał rejent — co my we dwu tak się znowu mamy troszczyć o to gospodarstwo. Sami jesteśmy, głodu nie ma, a czy po nas więcej zostanie trutniom, co przyjdą do gotowego, czy mniejszy, co nas to ma obchodzić? he?

A gdybyśmy żonaci byli.

Spojrzał na Mondygierda, który milcząc głową trząsał.

Tobyśmy skwierczeli na to, żeśmy żonaci — odezwał się Paweł.

— Może to być, byłoby i kogo połajać i szturchnąć; że byłaby dywersja w życiu, to nie ma słowa — rzekł kołtunowaty rejent i chrząknął. Paweł nie nie mówił, głową ruszał dziwnie.

— Słuchaj — ciągnął dalej Sawicz — cobyś ty powiedział, żebym ja — ja się ożenił!

Spojrzawszy na kołtun, na twarz, na całą postać rejenta i przypomniawszy sobie jego wiek, Paweł się — przeżegnał.

— *Skrutyusia!* — rzekł z chłopską.

— Oł masz! Cóż to starzec jestem? niedołęga! Pf! u nas się siedmdziesiątletni żenili z młodeimi pannami.

— Co bo tobie? kpisz czy drogi pytasz! — odezwał się Mondygierd.

Sawicz się niemal obraził.

— Co bo zuowu! powiadam ci, że się żenie!

— Z kim?

— Z pocziwą osobą, no, prawda. niemającą dostatków, nie zbyt młodą, ale serce złote i statek wielki.

— Gdzież ty ją znalazł? — spytał Paweł.

Sawicz, któremu zwykle płynęły z ust słowa z łatwością wielką, teraz dziwnie się jąkał.

— Ja przesądów tych żadnych co do urodzenia

nie mam, u mnie wszyscy ludzie równi — odezwał się. — Dziewczyna uboga, córka szlachcica z Sernik. Prawda, że w andaraczkach boso chodziła i gęsi może pasła, ale jak ją na kanapie posadzę, tak będzie siedziała jak i druga.

— Jakżeż ty ją poznał, jak do tego przyszło? — ciekawie podchwycił Paweł.

— No, przypadkiem — mówił Sawicz — ojca znałem, byłem u niego za interesem, a że żonę stracił, córka gospodarowała w domu. Rzutka dziewczyna, wesoła...

— Ileż ma lat?

— A! kto ją tam wie! w zęby nie patrzałem — odezwał się rejent — dosyć, że ani za młoda, ani za stara... i — żenię się.

Paweł słuchał zdumiony bardzo, rejent raz zagadawszy o tém, już ustać nie mógł, tłómaczył się, uniewinniał, dowodził, że to się na tém musiało skończyć... Mondygierd był milczący.

Odjechał nad wieczorem nie pozostawszy na kolacyę. O zwykłej godzinie przyniósł Kasper kotlety na buraczkach i Paweł siadł do stołu.

— A wiesz ty — odezwał się do Kaspra — myślałem zawsze, że ten Sawicz ma rozum — to osioł.

Kasper nie zdawał się tém bardzo zdumionym.

— Wiesz ty co on robi? Wszak żeni się.

— Rejent, z kołtunem? — bąknął Kasper.

— Rejent, tak mi Boże dopomóż. Po co jemu to? nie waryat?

— Zaczęli się śmiać oba, ale Kasper pierwszy przestał i zadumał się mocno.

— Proszę jaśnie pana — mruknął — kto to może wiedzieć, co komu do szczęścia, a co na biedę; musiało to być przeznaczone, a co komu zapisano w górze, to nie minie.

— Tyłże tyłko, że spokoju i czystości w domu mieć nie będzie — odezwał się Paweł — to widoczna rzecz, że z babami wchodzi wszelkie niechłujstwo i wrzawa, hałasy, stuk, latanina, choć uciekaj... Niech Bóg uchwata.

Następnego dnia przy obiedzie rozmowa z Kaspsem toczyła się jeszcze o ożenku Sawieza. Okazało się, że Kasper, który po świecie znał ludzi dużo i tę pannę z Sernik i ojca jej widywał na jarmarkach.

— Ona ma już więcej trzydziestu, Jezusowe latka — rzekł — a ojca, który się czasem napija, tak w garści trzyma, że strach, będzie i rejentowi bieda.

— Nie da się — rzekł Paweł.

— Hej panie! co to gadać, babie się nie da! tego jeszcze nie bywało, żeby człowiek się obronił od opresyi kobiecej. Proszę jaśnie pana, Adam, co prosto świeżuteńko jak bułka z pieca wyszedł z rąk bożych, juści musiał mieć i rozum i siłę, a takiż

Jak się pan Paweł zenił.

delikatnój Ewie, co mu z jego boku była wyjęta, nie dał rady... to darmo!

Śmiał się pan Paweł. Ku końcowi obiadu przyszedł gumienny przypomnieć pszenicę, że ją siać trzeba było.

— A! to bieda! wiekuiście zapomniałem — krzyknął Mondygierd — jutro jechać muszę szukać jój niewiedzieć gdzie. Mówią, że u Lubeckich jest sandomierka. A ja tam ani panów, ani oficyalistów nie znam.

Niewiedzieć zkąd wyrwało się Kasprowi żartobliwie.

— Jak *byśmy*, proszę jaśnie pana, pojechali do Siedmiorek, do tego Wydry, cośmy mu chłopca wychowali, dałby nam nie tylko pszenicy, ale czego żywnie pan zażąda.

Paweł aż się zdumiał tak trafnemu pomyslowi.

— Pierwszyś raz w życiu rozumnie powiedział — odezwał się — jak Bóg miły, nie głupia rada!

Od niepamiętnych czasów raz to pierwszy się trafiło, że Mondygierd nie kłócąc się i nie opierając, odrazu komuś prawdę przyznał.

Nie było czasu do stracenia, bo ziemia pod pszenicę stała gotowa, trzeba było jechać po nią natychmiast. Szczęściem można się było dostać do Siedmiorek czółnem trochę drogi nałożywszy, a ten sposób podróżowania nierównie wygodniejszy to miał za sobą, że obijanik z poklatem mógł choćby i pięć korcy pszenicy w sobie pomieścić, gdy pan Paweł ledwie trzy ich mógł wysiać.

Wybór w drogę nie był kłopotliwy, wysłano siedzenie, nakryto kobierczykiem, położono poduszkę skórzaną, wrzucono koszałkę z wiktualami i flaszkę wódki. Kasper chciał panu towarzyszyć, ale musiał przy domu pozostać i siejhy pilnować.

Rano wyjechawszy i z wodą płynąc, pod wieczór dostał się pan Paweł do wioski. Obijanik trzeba było pozostawić nieco opodał, a Mondygierd wybrał się pieszo. Właśnie myślał o tém, jak się dostanie do folwarku i miał rozpytywać o drogę, gdy mu się konny nawinął, który zdaleka spostrzegłszy wylądowującego, przyskoczył ku niemu.

Był to Wydra.

— A! mój paneczku złoty! — zawołał, zeskakując z konia — cóż to dla mnie za szczęście! Jak się to pan tu zabłąkał!

— Ja umyślniem się wybrał w tę stronę, — rzekł Paweł, witając się, ale z powagą wielką — potrzebuję na zasiew pszenicy pięknej, szukam, czy się tu gdzie nie trafi? Nie ma u waćpana?

— Wiele panu potrzeba?

— Nie sto korcy, ani nawet pięćdziesiąt, kilka — rzekł Paweł.

— Dam panu — odparł Wydra — ale zróbże nam tę łaskę i mnie i żonie, zajdź do nas, swojego wychowańca zobaczyć.

Nachmurzył się na to wspomnienie pan Paweł, zamruczał coś niewyraźnie, lecz czuć w tém było

przyzwolenie. Poszli więc razem pieszo do niezbyt oddalonego folwarku.

Nie było tu ani tak czysto, ani tak pięknie, jak u pana Pawła, odrazu poznał, że tu nigdy pan żaden, a zawsze tylko ekonomowie mieszkali. Folwark stał okolony budynkami gospodarskimi; wprawdzie z dobrego drzewa zbudowany, okryty gontami, ale do prostej chaty podobny. Płotek przed nim garniowały wiszące na kołkach hlady-sze i rozpostarte cedzidla, z za których sterczały lodygi wysokie malw dokwitających jeszcze.

Okolo dworku zwijały się dziewczęta z naczyniem od mleczywa, ruch był wielki, bydlę wracało z pola, brony i sochy skończywszy robotę ciągnęły się za końmi na spoczynek. W ganku pod dwoma słupkami stała kobieta w szlafrocuku z chłopcem na ręku — była to pani Wydrzyna, która zobaczwszy obcego, dziecko z sobą zabrawszy, uciekła.

W takim zakącie gości się prawie nikt nie spodziewa, więc i tu choć izba gościnna była, używano jej na wszelki sposób i gdy wszedł do niej pan Paweł, zastał motki, motowidla, półsetki, séry na kominie, balijkę w kącie i dużo gratów wszędzie. Była jednak i kanapa i stół z serwetą i na komodzie filiżanki, nad którymi królował baranek wielkanocny z chorągiewką, a na ścianach A. Panna Żyrowicka i Chrystus wskazujący bok przebity.

Samowar trochę przyciemniały stanowił także

jedną z ozdób salonu, wraz z dwoma lichtarzami platerowanymi.

Nikogo nie było w izbie, bo pani Wydrzyna uciekła się ubrać do alkierza, ale prędzej niż ona wyszła, chustką się okrywszy, siostra jej, panna Adela.

Opisywać siostry ekonoma na folwarku w pińszczyźnie, nie wiem czy rzecz konieczna, panna Adela jednak wyjątkowo mogła na krótki rysopis zasługiwać, boby wszędzie na siebie zwróciła oczy.

Była choć nie pierwszej młodości, lecz wcale piękna, postawy zręcznej, wzrostu słusznego, silna, zdrowa, z wyrazem wielkiej energii na twarzy. Oczy miała czarne, patrzące śmiało, usta małe, nosek garbaty i choć siostra ekonomowej, uboga szlachcianka, głowę nosiła górami, a widać było, że się nie lękała nikogo.

Pan Paweł nic jej a nic nie zaimponował, ani się zająknęła, gdy przyszło go zabawić, bo Wydra zaraz pobiegł do żony.

— Mój Boże — odezwała się — cośmy to panu winni... moja siostra się codzień modli za pana, gdyby nie jego miłosierdzie, kto wie czyby żył jej chłopiec! Dziecko długo tęskniło i widać, że mu tam dobrze było — taki żwawy i zdrowy.

Pan Paweł nie umiał rozmawiać z kobietami, bo przywykł był się kłócić w rozmowie i oponować, a z płcią piękną to nie uchodzi, zwłaszcza przy pierwszym spotkaniu; mamrotał więc coś, to

się uśmiechając, to poprawiając włosów, to odchrząkując.

Panna Adela patrzała nań śmiało, poprosiła go siedzieć i sama niedaleko zasiadła. Umiała rozmowę wprowadzić na obojętne przedmioty, ale sama ją podsycać musiała, bo Paweł nie mógł się rozruszać.

Znajdował, słuchając i patrząc na pannę, że była niczego, do rzeczy.

Wejście pani Wydrzynój ze świeżo przyodzianym na wstępie chłopakiem, uczyniło dywersję szczęśliwą. Pan Paweł zapomniał się zupełnie zobaczwszy dziecko i pochylił się ku niemu zarumieniony, uśmiechnięty. Chłopiec zrazu patrzył nań trochę osowiały, ale nagle przypomniał go sobie, usta mu się roztwały, ręce wyciągnął i począł niezmiernie żywo powtarzać, jak go niegdyś nauczono :

— Pan ! Pan !

Ten dowód pamięci dziwnie rozradował pana Pawła, lecz pohamował uczucie, którego doznawał, bo się go zawstydził.

Rozinowa wszczeła się naturalnie o przeszłości, o boleści rodzicielskiej, o cierpieniach matki, która dziecię miała za stracone, o jej pielgrzymkach do miejsc cudownych i ślubach poczynionych, o biednej waryatce, która całego nieszczęścia stała się przyczyną.

Wydra, jego żona, panna Adela mówili naj-

więcej, bo Mondygierd był małomówny. Nie zrażało to bynajmniej gospodarstwa, którzy pilno zajmowali się tylko przyjęciem wszystkiém, co w domu było najlepszego. Gospodarowała najwięcej panna Adela i ona téż najśmielej jakoś obchodziła się z Mondygierdem. bo była nawykła do ludzi, niegdys wychowaną będąc na dworze ks. Lubeckich. Ze się tak pięknej pannie nie trafiło dotąd wyjść za mąż, trzeba było przypisać chyba temu, że posagu nie miała.

Panicze z sąsiedztwa szalenie się w nią kochiwali, ale bałamutnie, wcale nie myśląc iść do ołtarza, a co najwięcej chyba sądząc, że ją wydadzą za kogoś — tymczasem panna i za dumną była i za rozsądną, aby z życia robiła igraszkę — pozwoli więc owi adoratorowie poznikali. Pisarze prowentowi i młodzi ekonomowie nie znaleźli w jej oczach łask — i tak, obojętnie dosyć wybierała się zostać starą panną, bo ten ktoś, jedyny, ku któremu wzdychała — ten ktoś ją, czy ona jego opuścić musiała.

Pan Paweł choć obywatel, dziedzic wioski i dobrodziej Wydrów, wcale nie czynił onieśmielającego wrażenia na pannie Adeli, a co było zupełnie wyjątkowém i osobliwém, śmiało obejściem się z nim, panna Adela zaimponowała staremu kawalerowi.

Takiego jakiegoś otwartego, pół męskiego tonu i maniery pan Mondygierd nie spotkał nigdy po

innych domach. Mamy były z nim pieszczono i ceremonialnie, panny zakłopotane, pomieszane, strwożone. Podobalo mu się to, że panna Adela tak jakoś odważnie sobie poczynala.

Zawiązał z nią nawet rozmowę, choć język mu się plątał.

Wydrowie oboje przekonawszy się, że siostra doskonale sobie z gościem rady daje, zdali go na jej ręce. Oboje też mieli ciągle coś do czynienia. to przychodził gumienny, to kluczy trzeba było do spichrza, jejmość musiała odbierać motki i len wydawać, a zwyczajnie, jak to w gospodarstwie, gdy się kto nie ma kim lub nie chce nikim wyręczyć.

Posprzątano ze stołu, aby nakryć do wieczerzy, bo w tej izbie nie tylko jeść trzeba było, ale i pan Paweł miał nocować. Nie miano innéj dla gości.

Wieczera była co się zowie suta i choć po gospodarsku, ale doskonale zrobiona. Starka do niej wyborna, i — kieliszek frankońskiego wina starego, które około Pińska za francuzkie uchodzi.

Chłopak wcześniej się spać położył, więc już nie zawadzał.

Przy wieczerzy się rozgadał pan Paweł o tém i o owém, o starych i nowych czasach, o swojém gospodarstwie, o pszenicy i mietlicy. Panna Adela mówiła o dworze, na którym została wychowaną, kilka wesółych anegdot rozchmurzyło czoła, tak, że gdy rozeszli się wszyscy i Wydra tylko został

z chłopcem, aby posłania dopilnować, stary kawaler baraszkował z nim jeszcze, okazując humor jak najlepszy.

Co się tyczy pszenicy, nie targował się wcale, bo na nasienie kupując to nawet nie wypada; próbkę jej przyniósł Wydra, która była czysta jak złoto, ziarna dorodne, waga dobra, czego więcéj żądać. Nazajutrz miano ją do objanika odstawić i trzeba było puścić się rankiem do Kozłowicz, bo płynąc pod wodę więcéj czasu się marnowało.

Ani śmiano, ani chciało wstrzymywać gości, tylko panna Adela zapowiedziała mu, że na czczo nie wyjedzie, bo jest w domu i kawa i herbata, a Wydra dodał, że coś posilniejszego przed podróżą by nie zawadziło. Stało jednak na kawie.

Nocleg w izbie gościnnej był dosyć wygodny, bo do niej łóżko wniesiono i p. Paweł po podróży chrapał tak, że chłopca, który parę razy w nocy zapiszczał, nie słyszał.

W domu jak świt powstawali wszyscy, ale chodzili na palcach, sądząc, że podróżny zaśnie; pan Paweł wedle zwyczaju rano się zbudził, do czego się i muchy przyczyniły, ubrał co prędzej, tak, że uchylający drzwi ostrożnie Wydra, zobaczył go już siedzącego. Bez ceremonii wszyscy się zaraz wtoczyli, i matka z chłopcem i panna Adela kawą zarządzająca.

Przy kawie chłopcu Mondygierd dał cukru, przypominając, że mu go w Kozłowiczach przy-

nosił, o czém bęben się zdawał nie wiedzieć. Śmiało jednak garnał się do starego znajomego.

Żegnany, przeprowadzany, w towarzystwie Wydry dostał się do obijanika swojego Mondygierd i gdy od brzegu odbili, siedząc pod poklatem nie mógł sobie nie pomyśleć patrząc ku folwarkowi.

— Pocziwe ludziska!

Rozpatrując się we wspomnieniach tego pobytu u Wydrów, mimowolnie i pannie Adeli w nich dał miejsce.

— Panna co się zowie — mówił sobie — a takie to śmiale, zuchowate, otwarte, nie płochliwe i znać gospodarna. Cale niczego! Że téż to nikt się jój nie trafił. Jeszcze dziś młoda i przystojna, a lat temu kilka musiała być jak kwiatek. I w głowie cale nie źle.

Płynąc obijanikiem przeciw wody, powoli, żeby człowiek chciał nie myśleć o niczém, a tak sobie wypoczywać patrząc na świat, to nie potrafi. Trzeba albo spać. lub się czemś zabawić samemu, bo to co otacza, rozerwać nie może. Płyńie się trzezinami, które świat zakrywają gęsto zbite, trzęsąc kitami nad czołnem, czasem gęste łóz zarośla ścianą stoją po stronach obu, rzadko wierzba gdzie lub sosna pnieniem nagim i odartym nawinie się na oczy.

Niekiedy moczary kępiaste, między którymi czajki boleśnie zawodząc latają, rozścielają się szeroko, a na nich chyba opadły, stary siana stóg tyczką przebity wzrok zwróci. Wioska i karczemka ze

wschodkami ku wodzie dla żeglujących, kawał lasu trafia się rzadko.

Panu Pawłowi téż te brzegi ojezystych wód tak były już znane, że się niemi zabawiać nie mógł.

Myślał więc o przeróżnych rzeczach, o sobie i o swoim losie, o Kasprze, o chłopcu, o Wydrach, o pannie Adeli, o Sawiczu, który się tak nie do rzeczy i zapóźno żenił i znowu *da capo al fine*. Temata te obrabiać miał czas przez cały dzień z kunsztownemi waryacyami, dzierzgając na nich fantazją najosobliwsze wzory — ożenienie rejenta nie mogło mu wyniść z głowy ile razy o niém pomyślał, powtarzał, że owaryował, litując się nad nim.

Już około południa dumając o tém wpadł na myśl dziwną, że gdyby on, Mondygierd, miał myśl ożenienia, nie będąc obarczony kołtunem, ani latami, toby jeszcze ująć mogło. Jednakże plnął w wodę.

— Głupstwo — rzekł — a mnie to na kata się zdało...

Zdrzemnął się, a we śnie wnet rozpoczął z panną Adelą rozmowę o motkach i o wydawaniu zboża na szlichtę — posprzeczali się. Nie miała racyi, ale we śnie zdawało mu się, że ją w rękę pocałował i przebudził się przestraszony. Plnął w wodę raz drugi, rękami mocno ocierając twarz i czoło.

Na jawie powiedział sobie, że bądź co bądź znalazł się nie bardzo przyzwoicie. Pojechał do

Wydry jakby za usługę żądając usługi, i nie zawiózł ani dziecku ani matce gościńca.

Dopiero teraz go uderzyło to, jak postąpił grubiańsko i niedelikatnie. Miał sobie srodze do wyrzucenia takie zapomnienie. Jedno tylko pozostawało, mógł gościniec posłać umyślnym. W takim razie tracił on wiele na wartości.

Okazało się, że najchętniej było wolnym czasem samemu odwiedzić pocziwanych ludzi i chłopcu coś przywieźć, nie zapominając o matce.

Tu znowu zachodziła trudność, nie miał najmniejszego obowiązku wozić gościńca pannie Adeli, ale siostrze jedną go ofiarując, drugą ignorować? Mogłoby to być źle interpretowanem. Z drugiej strony, gdyby przywiózł prezencik pannie Adeli, gotowiby sobie ubzdurzyć, że — ale pfe!

Plunął raz trzeci. Ponieważ myśli mu się plątały zbyt znacznie, zaczął mówić pacierze. W ciągu modlitwy parę razy zapomniał się i nie wiedział na czém stanął, musiał rozpocząć na nowo.

Przebrało się nabożeństwa, mrok zaczynał padać, do Kozłowicz jeszcze był kawał drogi, trzeba było myśleć, a nowego się nie nie nastreczało — Wydrowie, chłopiec, panna Adela.

Dla zabawy, tak jakby student pensum, zadał sobie exercycyę, jakby rozmawiał naprzykład z tą panną Adelą, gdyby ich na cały dzień zostawiono w pokoju.

W imaginacyi pan Paweł był nierównie śmiel-

szy, niż w rzeczywistości, naprowadził rozmowę na stare kawalerstwo, na ożenienie, panna go niby namawiała, żeby się żenił, a on oponował, oponował gorąco, dowcipnie, ale z dwuznacznikami, z których się sam śmiał... Panna się pogniewała, musiał ją przeprosić i pocałował w rękę...

To mu przypomniało ręce panny Adeli, które go uderzyły odrazu, bo były białe, ślicznie ntrzymane, pańskie, nie pokłóte i niezapracowane, ręce, które się całuje z apetytem, trzyma w dłoniach z satysfakcją... a gdyby pogładziły pod brodę!

Poskoczył w czólnie p. Paweł.

— A to co znowu! — zawołał sam do siebie — co znowu!

Potoczył oczyma na krajobraz, który się przed nim rozścielał. Słońce już było zaszło i pomarańczowa luna stała na zachodzie, odbijając się na wyżarach, nad którymi kaczki polatywały. Wiatr szumiał w wyschłych trzcinach dziwnym szmerem wieczornego pacierza, głosy jakiegoś ptastwa słychać było, jakby duchy przebiegały powietrze — głosy coś mówiące w języku, którego klucza nie było dla ucha... Daleko, daleko, czarno, trupio stały na jaskrawém niebie dwie czy trzy sosny z rozdartemi gałęzmi — krajobraz był pustynnie smutny, nagi, a jednak mówił do serca człowieka, którego oczy padły nań raz pierwszy na świat się otwierając.

Prastare dzieje młodości przypominał sobie pan

Paweł i daleką kuzynkę, która przy matce jego rezydowała. w której się kochał raz pierwszy, kochał szalenie, choć lat dziesięć był już od niej na ówczas młodszy. Ona mu czasem przez litość w kątku rękę ścisnęła, a raz — raz nawet pocałować się dała... I w trzy miesiące potem za mąż wyszła. Naówczas to p. Paweł zaklął się przeciw całemu rodzajowi niewieściemu, karząc go wzgardą swą i rzekł, że się nigdy nie ożeni, a słowa dotrzymał.

Ta Melanka ukochana. pan Paweł widział to teraz jak na dłoni, kubek w kubek była podobną do panny Adeli. Prawda, że panna Adela była daleko słuszniejszą, że szczerze mówiąc, włosy miała dużo ciemniejsze, oczy czarne. gdy u tamtej były szafirowe, i nosek rzymski, gdy Melanki trochę był zadarty. Mimo to wszystko były do siebie podobne, uśmiechem. wyrazem, tém czémś niewypowiedzianém, nieokreśloném, niepochwyconém. że panna Adela zdawała mu się zmartwychpowstałą Melanką... Zakręciły mu się dwie łzy na oczach ręce załamał.

W tém obijanik stuknął mocno dobijając do brzegu i pan Paweł porwawszy się z pod poklatu ujrzał przed sobą stojącego Kaspra, który tu już od dawna nań czatował.

Sny się skończyły, a rzeczywistość poczęła od gwałtownego wybuchu.

— No, proszę ja kogo — zawołał, zobaczywszy starego sługę — gdzie ty masz rozum? Dwór po-

rzuciłeś na łaskę Bożą, a sam tu przypadłeś się gapić na brzeg! He! A gdybym ja był wcale dziś nie powrócił! Gdzież sens? gdzie zastanowienie? Po co? na co? Chłopiec we dworze może ogień zapuścić albo co?

Kasper tymczasem dobywał z obijanika poduszkę skórzaną.

— Pan to tylko aby gderać — rzekł — człowiek z dobrego serca się zwłókł choć z bolącemi zębami, a tu jeszcze bura i łajanie. Et!

Cóż się ma stać we dworze? Chłopiec na nogach, a ja dopierom tu przyszedł. Et!

Pan Paweł pożałował wprawdzie swojego uniesienia, ale nie mógł się do tego przyznać. że zbłądził.

— No, dosyć! dosyć! — przerwał. — Na brzeg poszedłeś z dobrego serca, a przysięgam, że o wieczery nikt nie pamiętał i przyjdzie pójść spać z próżnym żołądkiem.

— Otóż taka sprawiedliwość! — zawołał Kasper. — Do stołu nakryto i jest mleko, które pan lubi z kaszką i kawalek mięsa.

Mondygierd znikł. Szli tak do dworu. Kasper się prędko udobruchał.

— A cóż, chłopiec, proszę pana?

Cóż ma być, wyrósł jeszcze, a wiesz — tu się uśmiechnął — jak Boga kocham, że może poznał i poczuł, jak to jego nauczyli wołać: pan! pan! ale takim głosem pociesznym.

— Ja bo zawsze mówiłem: to chłopiec, jak drugiego na świecie trudno.

Co to gadać.

Zamilkł posepnie. Doszli do dworu. Powitał go twarzą wesolą Paweł, ogień paradny palił się na kominie i do stołu było nakryte, cicho, spokojnie, a pusto! Strusliwie pusto... Nigdzie nikogo...

Dreszcz po nim przeszedł. Widmo wywołane Melanki prześliznęło się przed jego oczyma w postaci panny Adeli; gniewał się, że go prześladowano. Siadł do wieczerzy nadąsany.

— Gdzie bo to pod noc myśleć o takich rzeczach — mówił sobie — stary, a rozumu nie ma...

Wydał rozkazy, aby pszenicę zaraz zniesiono z obijanika i żeby gumieny jej nie odstępował, bo ludzie na to lasi, ten garść, ten garść z worka chwyci, — obraza boska i krzywda ludzka.

Tego dnia już nie było z Kasprem rozmowy, pacierze pomówiwszy w drodze na zapas. p. Paweł poszedł do łóżka.

— Ale tak: to nie ma — rzekł kładąc się jak dom własny i kawalerskie życie. Cichuteńko, ciepłuteńko jak w uchu, nikt nie rozkazuje, ja tu pan, śmiecia nie ma, czego tu chcieć? czego!

Westchnął i przeżegnał się.

Mary rozmaite snuły się jeszcze przed oczami, Rejent z koltunem i narzeczoną, chłopiec na kiju wołający: Pan! Wydra i panna Adela, która zarazem była Melanką. We śnie niepodobna mu ich

było rozróżnić. Czasami zdawało mu się, że widzi tamtą, to znowu że tę, to obie zlewały się w jedną, naostatek sowa we śnie zahaczała: Powij!

— Glupia! — zamruczał pan Paweł i zasnął twardo, a marzenia ciemności oblokły.

Rejent Sawicz nie prosił nikogo na wesele, jednakże dla starego przyjaciela chciał uczynić wyjątek i przybył do Kozłowicz.

Znalazł p. Pawła dziwnie zmienionym i otwarcie mu to powiedział.

— Wiesz, że ty mizerniejsz, pobladłeś nawet. Dawniej wyglądałeś zuchowato, zamaszysto, a teraz i milczący być zaczynasz i nie tak się kłócisz i — ocieżyłeś. Co tobie jest?

— Imaginacya! Co mi ma być! upatrzyłeś sobie coś! — rzekł Paweł. — Prosta rzecz, człowiek powoli starzeje.

— Ale bo ty jak ogórek kwaśniejysz coraz... Co u licha — mówił Rejent — dałem ci dobry przykład, żenię się, zrób i ty tak.

Mondygierd obu rękami poczał opędzać się.

— Człowiecze! Mówią, że cygan się obwiesił dla kompanii, ale żebym ja dla twojej przyjaźni sobie życie zawiązał! niedoczekanie! Wieleśmy to razy o tém mówili, co te małżeństwa za sobą prowadzą! Sameś w to bił! nie! trzeba ci było...

— Tak, choć na starość rozumu nabrać — rzekł rejent. — Co to gadać, co darmo balamucić, to jest prawo Boże, a kto się nie żeni ten idzie do

Jak się pan Paweł żenił.

piekła, jak owo drzewo ewangeliczne co owoców nie dawało!

— Teraz już i ewangelię sobie przypomniałeś, gdy ci ona potrzebna — śmiejąc się odparł gospodarz. — Daj pokój, *non misceantur...* Mnie nie nawrócisz, nie ożeniłem się za młodu, teraz zapóźno.

— A to mi dobry! — krzyknął rejent — głupstwo naprawić nigdy późno! Ja ci zresztą powiem, że w istocie zdrowy rozum wskazuje sam, iż żenić się należy dopiero w wieku dojrzałym.

Mondygierd prychnął.

— Ale tak! — powiedział rejent — ja ci to dowiodę natychmiast. Człęk za młodu żeni się z pasyi, a więc ślepo, chybił trafił; aby mu liczko zaświeciło i usteczka się uśmiechnęły. W naszym wieku gruntownie się wszystko bierze, ocenia niewiaścę, przypatruje, bada i kiedy człowiek sobie ten jedwabny stryczek nałoży, wie, że on go uciśkać nie będzie. A co? — zapytał rejent — nieprawda?

— Ja ci powiem co innego — zawołał łubiący się sprzeczać pan Paweł. Za młodu człowiek żeni się z pasyi, a ona mu ten kielich goryczy choć do połowy osłodzi, w dojrzałym wieku żeni się z nudy, z desperacyi, tonący brzytwy się chwyta, życie obmierzło więc byle zmiana pożądana. Ledwie od ołtarza i w czuby.

Machnął ręką. — Co? nieprawda!

— Nieprawda! — stukając pięścią o stół ode-

zwał się Rejent — nieprawda ! Doświadczenie nauczyło, człowiek zna kobiety, penetruje każdą i baka takiego jak za młodu nie strzeli.

Zresztą bądź co bądź, choć nie pochwalasz mojego kroku, na wesele przyjedź. Osób będzie nie wiele. Moja przyszła, kilka bab, swoich krewnych poprosi, a ja tych tylko, jak ty, których szanuję i kocham. Przyjedziesz ?

Mondygierd ruszył ramionami.

— A dlaczegożbym nie miał być ? — odparł — z miłą chęcią, tylko jeden warunek. Nie każ mi być drużbą i należeć do żadnej ceremonij, bom niezgrabny i wstydu ci narobię. Już dosyć, że muszę bodaj frak włożyć.

— Już ci frak i to nie czarny — dodał rejent — my nie z wielkiego świata ludzie, czarnego się lekamy, bo to żałobny kolor.

Stało na tém tedy, że p. Paweł miał do Sawicza zjechać. gdyż ślub z powodu szczupłości chaty w Sernikach dla oszczędzenia kosztu teściowi miał przeciw zwyczajowi odbyć się w domu rejenta.

Po wyjeździe gościa, gdy Kasper przyniósł wicherzę i stanął rozszerzywszy nogi a ręce założywszy na piersiach przed panem, Paweł rzekł z uśmiechem :

— No, zaśpiewamy wkrótce Sawiczowi, Wilezysko się ożeniło, uszy opuściło ! cha ! cha !

— Kto to może wiedzieć — na przekorę odparł sługa — dziewczyna stateczna, spotka ją szczęście,

bo taki szlachecki zagon w Sernikach nie to, co wioska dziedziczna i przywiąże się do starego.

Mondygierd prychnął tak nad łyżką, że mleko ulubione prysło na wsze strony.

— Znasz podobno tych z Sernik, z którą się on żeni? — spytał.

— Czemu nie mam znać? — mówił Kasper, podciągając kołnierzyk do góry, bo chustkę na duszce nosił wysoko podwiązaną i kołnierze krochmalne śpiczaste — czemu nie mam znać. Bardzo uczciwi ludzie. To są nawet krewni ekonoma z Siedmierek, tego Wydry co nam chłopca wziął, niech mu Bóg nie pamięta.

— Powiadasz, krewni? — zapytał zamyślony p. Paweł.

— A najpewniój.

Pomyślał Paweł w duchu — masz tobie, na weselu gotowi być!

Nie martwiło to go wcale, bo, bo mu się panna Adela pomieszała z Melanką, ale się krzywił dla Kaspra. Tego dnia nie mówili już więcej.

Dzień ślubu nadchodził wkrótce.

W wigilię kazał p. Paweł dobyć frak granatowy. Był on świeżuteńki, ale miał od urodzenia lat dwanaście; kołnierz wysoki i buchasty, poły niepomierzenie długie, guziki w cyrkul zaokrąglone. Bardzo przyzwoicie w nim wyglądał pan Paweł. Guziki wprawdzie od leżenia poczerniały, ale Kasper z pomocą stariej rękawiczki i kredy umiał je do pier-

wotnej przyprowadzić świeżości. Kamizelka biała *ad hoc*, miała guziki, które w papier poobwijane leżały w komodzie. Były to niby koralowe gulki w bronz oprawne i misternie zaczepiane w razie potrzeby, a odejmowane do prania. Butów pięknych, nawet karbowanych na przodzie, było kilka par do wyboru ze śpiezastemi nosami, kwestya rękawiczek rozwiązana została wypraniem białych zamszowych, w których jedyne rozprucie tegoż dnia zeszyć miano tak, aby znaku nie było. Kapelusz cylinder potężny, wspaniale rozszerzony u góry zwężony w dole, ze skrzydełkami pozawracanemi w trąbkę, zdjęto z szafy. Przy rozpatrzeniu się w nim okazały się defekta małe, ale w szczegóły wchodzić nikt nie potrzebował. Krochmalna koszula, chustka biała, do której fontazia służyła stara szpilka ze smaragdem, małąkami obsypanym brylancikami, już były przygotowane.

O wszystkiém pamiętał Kasper, nawet o narzędziu do wciągania butów, które mogły na nogę nieco już brzęknącą nie chcieć wnijść łatwo.

Rozumie się, że i bryczka i konie i Stasiuk fornal, który miał powozić, świętecznie występowali. Fartuch ponieważ nieco się zmatował i barwę świeżą postradał, wysmarowano dobrze tranem i — począł się świecić.

Na wypadek wszelki i dla zaoszczędzenia granatowego fraka, przygotował Kasper płaszcz z kil-

koma pelerynami krótkimi, rzadko używany, a wcale wspinały, bo czas nadzwyczaj był łagodny.

Gdy w pełnym stroju wyszedł p. Paweł siadać do bryczki, co było ludzi we dworze, zebrało się go oglądać, bo w istocie do niepoznania majestatycznym był, szczególnie z powodu cylindra okrywającego głowę. A że się i świeżo ogolił i włosy starannie sobie ułożył, zdawało się, że odmłodził.

Kasper mu to powiedział, podając kapelusz i rękawiczki.

— Jak Pana Boga kocham, panu dziś lat dziesięć ubyło.

Na co Mondygierd nie odpowiadając, w lustro spojrział i sam uczuł prawdę tego twierdzenia.

Pojechał tedy i stanął u Sawicza w porę. Pomimo, że gości nie miało być wcale, bryczek w dziedzińcu przed stajnią stało już kilka, a suponować się godziło, że niektórzy goście obijanikami przypłynęli.

Dworek niewielki dokoła się roił ludkiem bosonogim, łapcianym i buciastym, mnogie namitki i chustki białychgłów migwały tu i owdzie. Z kominów buchalo straszliwie. W ganku kto się ukazał to wystrojony, włosy utłuszczone, świecące, twarze wyszorowane i rumiane, usta uśmiechnięte. Panna młoda z ojcem i družkami już była w bawialnym pokoju.

P. Paweł się jęj zaprezentował. Wydała mu się nieładna, ale zdrowa, hoża i wcale niezmieszana

swém położeniem. Ubiór zbyt wykwintny nie był jój do twarzy i zdawał się zawadzać. Ledwie miał czas rzucić okiem na nią, gdy obejrzawszy się po otaczających ją družkach, poznał między niemi pannę Adełę, która tu, jak w Siedmiorkach, komenderowała.

Skłonił się jój, uśmiechnęła się do niego.

— Jak tam pan dobrodziej wówczas do domu dopłynął? — spytała rażno — bardzośmy się turbowali żeby go noc nie zaskoczyła.

P. Paweł skłonił się i coś takiego odpowiedział, czego i sam nierozumiał i pono słuchacze niewięcej od niego, lecz uszło za odpowiedź.

Co pannie Adeli to w stroju družki wcale pięknie było; wydawała się młodą, świeżą, a wśród dosyć niezgrabnych swych towarzyszek, jakby jedyną tu panią.

Ślub za specjalnym indultem, unikając ciekawej gawiedzi, odbywał się w kapliczce w ogrodzie; wszystko jakoś zawczasu dobrze obmyślane poszło jak z płatka, niczego nie zbrakło, świeca żadna nie zgasła, ale w powrocie, gdy wszyscy kobietom do wyjścia ręce podawali, złożyło się dla pana Pawła subiekcyonalnie, bo mu wypadło dać rękę pannie Adeli.

Uczynił to jakoś tak niezgrabnie, że kapelusz cylinder szacowny, upadł na ziemię i szwankował mocno. Stłuczenie było widoczne, dla właściciela przykre, lecz w chwili téj uroczystej udał, że sobie

to lekceważy. Pomyślał jednak w duchu, że go posle do Pińska do reparacyi.

W drodze do dworu rozmawiała żywo panna Adeła o chłopcu, o którym najświeższe wiadomości przywiozła dawnemu opiekunowi. Zdrów był jak ryba, i nawet, co zdziwiło p. Pawła, miał się mocno upominać, aby go jego „Pan“ odwiedził.

Po powrocie do dworu posadzono go znowu, jakoś się tak złożyło, przy pannie Adeli. Rozpatrując się bliżej w nią, coraz ogromniejsze widział podobieństwo do Melanki, której pocałunek „nektar boski“, po latach trzydziestu jeszcze czuł na ustach. Mówili o różnych rzeczach zajmujących, „z pola i dziedziny (!) ekonomiki“, o lnieniu, konopiach, ogrodnictwie, grzybach, rybach, smażeniu, gotowaniu i innych przedmiotach dla ogółu przystępnych, gdyż ogół się mieszał do rozmowy także.

Jakim sposobem potem cichsza rozmowa zesła, po niebezpiecznej tocząc się pochyłości, do małżeństw, kojarzenia się, kochania, sympatyj, tego wytłumaczyć nie umiemy. Para młoda, tylko co zaślubiona sobie, nie dawała do tego assumptu. P. Paweł upewniał sąsiadkę, że byłby się ożenił, bo w zasadzie nie miał przeciwko przybraniu dozwolonej towarzyszkii, ale w istocie gospodarstwo miał tak kłopotliwe, że na staranie się czasu mu nie stawało. Ogromną ilość rowów zmuszony był kopać, które na sążnie kubiczne obliczył, niektóre zarośla karczować, pola oczyszczać i t. p.

Panna Adela kwestyi kopania rowów obszernie wyluszczonej, słuchała sympatycznie, przyczém pan Paweł wyznał, że intratę z majątku podniósł znacznie.

Podajemy tylko treściwie i pobieżnie sam zarys rozmowy, w której poważny wątek wciskały się *intermezza* rozmaite, żartobliwe, budzące do śmiechu, przerywały ją wejrzenia, a p. Paweł ośmielony sukcesem i słuchaniem nader uważném, pod koniec puścił się na wycieczki nacechowane humorem, jaki u niego rzadko widywano.

Dosyć, że i do stołu poprowadził pannę i przy stole ją bawił téż, a wypiwszy kilka kieliszków wina, stracił kontenans, zaczął się, co się zowie, umizgać, nie wiedzieć, co mu się stało.

Panna wesoło odpowiadała, śmiała się i w tak doskonałej byli komitywie, iż wszyscy w końcu to dostrzegli.

— Tak mi Boże dopomóż — cicho odezwał się gospodarz do teścia, który nic nie mówił. — Paweł zaczął! Oto będę tryumfował!

Jakkolwiek cicho wyrzeczone te słowa, rozeszły się między gośćmi i wszyscy uznali, że rzecz była możliwą. Dwa razy Mondygierd chustkę pannie z ziemi podniósł, i jak pan rejent utrzymywał, za rękę ją ścisnął.

Panna Kapcewiczówna, krewna daleka gospodarza, przysięgała się, iż słyszała, jak powiedział przy téj okazji:

— Jaką pani ma śliczną rękę, to pojęcie przechodzi!

Ten szal weselny trwał do wieczora, goście poczęli się rozjeżdżać i rozpływać, bryczka ze Stasiukiem napiłym stała w ganku, wziął za cylinder pan Paweł i żegnał się także, a żegnając się jakoby miał powiedzieć pannie Adeli:

— Mam nadzieję, do zobaczenia!

Przyczém w tę piękną rękę uroczyście cmoknął.

Nie ma pewności historycznej, co mu panna Adela odpowiedziała, a nawet czy mu dała odpowiedź.

Wszystko to stało się jakoś bezwiednie, bez poczucia niebezpieczeństwa i grzechu, jednym pędem, i p. Paweł ocucił się dopiero, gdy do bryczki siadłszy, ujrzał się sam wśród ciemności i ciszy.

Poczucie rzeczywistości wróciło, gdy na tle trochę jaśniejszego nieba dostrzegł Stasiuka przechylającego się bezwładnie to na lewo to na prawo, jakby utrzymać się nie mógł. Konie pocziwe same już sobą kierowały. Paweł naprzód dla ostrzeżenia chłopca dał mu mocno w kark, a potem łajac poczał:

— Ja cię nauczę! ja ci dam, ja ci pokażę! Będiesz ty mi chlął tak, żebyś się nie mógł utrzymać! Dali ci wódki! a! nie powinienesz być tykać kieliszka, kiedy ci głowę zawraca!!

Na ten temat hałasował i burczał pan Paweł dobry kwadrans, aż chrypnąć zaczął. To go ostu-

dzilo i ostatecznie do rozpatrzenia się we własnych dnia tego wspomnieniach przyprowadziło. Chociaż Stasiuk się kiwał, belkotał i był napity, niebezpieczeństwa zabłądzenia ani wywrotu nie było żadnego. Pierwsze wązkie grobelki z głębokimi rowami udało się pominąć przy łasce Opatrzności, wyjechali na piaszczystą drogę szeroką, prowadzącą do samych Kozłowicz. Na niej w najgorszym razie można było chyba o pień zawadzić.

P. Paweł potrzebował uczynić obrachunek sumienia, był niespokojny, czuł, że sobie pozwalał nad miarę okolo panny siedząc i kilka razy wymówił się z afektami jakimiś, z admiracją rąk i t. p.

Należało teraz pokombinować, czy uchowaj Boże, nie mogło to za sobą jakich zawikłań i następstw pociągnąć?!

Pomimo wielkiego wisiłku, niezupełnie mógł sobie zdać sprawę Mondygierd z tego, co zaszło w ciągu rozmowy, czuł tylko, że musiała być gorącą, bo przejście z niej do zwykłego stanu przypominało mu wrażenie zimnej wody po łaźni.

— Stary a bezmózgi! — westchnął, surowo się sądząc — stary a szalawila! Co to sobie pomysli! Gotowa posadzić, żem się rozmyślał, bo kobiety do tego są skłonne. Prawda, że mi się podobała, bo całe gładka i roztropna, ale nie idzie za tém.

Dziwnie głos, ruch, coś mi w niej przypomina Melankę!

P. Paweł z rozmowy pamiętał dobitne przyrzeczenie, iż odwiedzi Wydrów i swojego wychowanka.

— Słowo się dało, potrzeba dotrzymać — rzekł w duchu — głupstwa nie robić, język trzymać, od panny daleko się mieć, ale pojechać należy. Słowo rzecz święta.

A że prezent dla chłopca, dla matki i ewentualnie dla panny Anieli był koniecznym, ułożył sobie p. Paweł pojechać do Pińska obijanikiem, tam sprawunki porobić, a w powrocie wstąpić do Wydrów. Podróż do Pińska zasłaniała go w oczach Kaspra, którego się wstydził.

— Żeby ten mnie zobaczył, jak z panną baraszkowałem — mówił w duchu — dopieroby było!!

Wlokąc się po piasku, dobrze z północy stanął p. Paweł u wrót w Kozłowiczach. W izdebce Kaspra świeciło się jeszcze. Zaczął wołać na stróża o otwarcie wrót, stróż spał. Chciał sam wziąć lejce, żeby Stasiuk poszedł odemknąć, ale Stasiuk jeszcze oszołomiony, drogi z kozła na ziemię znaleźć nie mógł.

Nareszcie pies zaczął szczekać.

Ktoś się obudził, wrota otworzono, a w ganku już rozespany Kasper czekał. Pierwsze słowo dyplomatycznie rzucone było.

— A wiesz? kapelusz tak jak sprzepaszczony!

Uczyniło to dywersję, bo Kasper umiejący oceniać dzieło sztuki, tyle lat konserwowane, formalne

poszanowanie wzbudzające, porwał za cylinder i po-
niósł go do świecy. Okazała się rana daleko zna-
czniejsza niż sam p. Paweł sądził. Powłoka czarna
była rozerwana i z pod spodu cynicznie dobywał
się kawałek siwej bibuły.

— Widzi pan! — zawołał Kasper — co to
jeździć po weselach, a ja przysięgam, że i na fraku
będą plamy.

W istocie frak miał z tyłu już przyschły stru-
myk sosu, który prześliznął się, słuchając prawa
ciężkości, pomiędzy łopatkami i zatrzymał przy
jednym z żółtych guzików.

Dalszy egzamin okazał jeszcze ubytek jednego
z koralowych guzików kamizelki, który nie musiał
być dobrze umocowany. Słaba tylko pozostawała
nadzieja znalezienia go w bryczce w nogach.

Gdyby się ta nie ziściła, garnitur cały był zde-
zelowany. Kasper tylko w takim razie wpadał na
subtelną myśl redukeyi liczby dziurek w kamizelce,
żadnym prawem nieoznaczonej ściśle.

Rozprawa o tych przedmiotach uwolniła p. Pa-
wła od opowiadania o weselu, poszedł spać. I we
śnie nie miał biedny spoczynku, rozkołysane myśli
bujaly po głowie, nosząc po niej pannę Adele i u-
śmiech jój, przypominający Melankę.

Śniło się nieborakowi, że klął, oświadczył się,
w téj chwili guzik drugi od kamizelki oderwał się,
potoczył i z łoskotem bomby, rosnąc do rozmiarów

ogromnego harbuza, zwiastował co czekało naszego bohatera.

Z nieprzyjemném uczniem obudził się p. Paweł. Dzień już był, Kasper gospodarował w drugim pokoju — czas było wstawać.

Spuścimy zasłonę na zgryzoty sumienia, jakie dnie następne wywoływały, na przykrą walkę z samym sobą, którą toczył p. Paweł, czyniąc sobie zasłużone wyrzuty.

Badź co bądź słowa dotrzymać było potrzeba, podróż do Pińska i wstąpienie do Wydrów zostało postanowione, a choć pora nie sprzyjała wyprawie obijanikiem Mondygierd chciał raz się tego zbyć, skończyć i w domu siedzieć spokojnie.

Jakby o cóż pana podejrzywał, Kasper się po-
czął napierać do Pińska, mówił, że potrzebował kupić czapkę i rozmówić się z krawcem w sprawie przenicowania surduta, który wymagał téż man-szestrowego kołnierza i nowych guzików, a nawet podszewki, choć może jój był niegodzien.

Mondygierd oświadczył stanowczo, iż powinien zostać przy domu, a osładzając ten wyrok, przyrzekł posłać go umyślnie do Pińska.

— Nie mogę ani na Marynę ani na tego bał-wana gumienego, ani na chłopca zostawić dworu! Spalą, ogień zapuszczą, dadzą okraść. Już ty mi nie gadaj! Trzeba, żeby ktoś przy dworze został.

Kasper mruczał, ale woli niezłomnój uległ.

W Pińsku wybór podarunków cały dzień zabrał

Pawłowi, miał bowiem to przekonanie, że kupcy na niego szczególniej zastawiali sidła i targował się do upadłego. Nigdy nie dawał wyżej nad połowę ceny żądanej, staczając o nią walkę okrutną, nie żałując ani butów ani gardła. Wychodził ze sklepu, zawracano go z ulicy, w progę targ się wszczynał nowy, nowa rejtarda i powrót i t. p. Najmniejsza rzecz kosztowała go w ten sposób daleko więcej, niż była warta, nie licząc tego, że zawsze go oszukiwano.

Ku wieczorowi nareszcie miał już dla chłopca zabawkę i kilka łokci kazimirku na sukienkę, dla matki sztuczkę floransu, za którą go odarto fatalnie i takąż w kolorze czulszym dla panny Adeli.

Razem wzięte kosztowało to sumy neapolitańskie, a co daleko gorzej, w Pińsku obudziło podejrzenie i rozsiało plotkę, że p. Mondygierd gdzieś o jakiejś paninie myśli, bo już prezenta wozi.

Faktor nader delikatnie mu przymówił, ale dostał odprawę taką, że już drugi raz nie próbował nawet go zaczepić.

Gdy co komu jest przeznaczoném, to się już tak składa, że ani wybrnąć, ani się obronić. Pan Paweł przybywszy do Wydrów, trafił tak, że nie zastał ich obojga, bo oni właśnie pojechali byli do Pińska, znalazł tylko pannę Adele i chłopca.

Chociaż z pewnością Wydrowie na wieczór powrócić mieli, panna się zmięszała niezmiernie — jak to tu gościa tego przyjmować! Przytomna je-

dnak zawsze, nie dała tego poznać po sobie, powitała wesolo, zakrzatnęła się okolo przekąski, chłopiec się zajął zabawką przyniesioną i zniknął — i zostali sam na sam, od godziny pół do pierwszej do samego zmroku.

Jak spędzili ten czas i pokierowali rozmową, co zaszło między nimi — autor nie może wiedzieć, a w domysły i hipotezy nie chce się puszczać. Jest jednak rzeczą pewną, że gdy oboje państwo Wydrowie przybyli, znaleźli chłopca swego przy nogach p. Pawła, a pannę Adelę obok na krześle w humorze wybornym, wesolą, niemal roztrzepaną, śmiejącą się i spoufaloną z Mondygiardem w sposób tak uderzający, że pani Wydrzyna oczom wierzyć nie chciała.

Wieczorem nie zaszło już nic ważnego, tylko panna Adela siostrę zaprowadziła do alkierza i tam pocichutku gadały żywo, dobry kwadrans, kilka razy pani Wydrzyna zawołała: „Nie może być” — na co panna Adela odpowiedziała: „Jak Boga kocham.” Potém słyhać było:

— Historya z tysiąca nocy!

I uściskały się siostry, a Wydrzyna powróciwszy do pokoju, patrzyła na pana Pawła z taką ciekawością, jakby go zobaczyła po raz pierwszy.

Gdy kobiety wyszły, pan Paweł nim się zabrał na spoczynek, wziął Wydrę do kąta, ujął go za guzik od surduta, trzymał i coś mu pocichu sze-

ptał długo, a Wydra w ramię go całował i miłczał. Coś tylko w końcu powiedział, jakby.

— Stanie się wedle pańskiej woli, toć to wielkie szczęście.

Paweł palce położył na ustach.

— Tst! proszę.

Na tém się skończyło. Nazajutrz Mondygierd odjeżdżał po śniadaniu, ale wybrał chwilę, gdy się sam został z panną Adelą, i coś długo jęj mówił, przyczem ją parę razy w rękę pocałował i raz rękę zatrzymawszy w swoich obu, (a ta mu się nie wyrywała), aż rumieńca dostał.

Przeprowadzał go Wydra aż do obijanika. Tu stanęli na uboczu i gadali długo z sobą, dwa razy p. Paweł skończywszy rozmowę powracał. Wydra rzekł w końcu głośno :

— Już niech pan będzie spokojny, że to się wszystko zrobi, jak pan każe.

Taka była zewnętrzna tych odwiedzin fizyognomia, dla obcych zagadkowa; nie potrzebujemy już jednak dłużej tać przed czytelnikami, w niepewności ich zostawując, że p. Paweł uniesiony krewkością wiekowi swemu niewłaściwą, bardzo niezgrabnie oświadczył się pannie Adeli — klamka zapadła, został przyjęty. Prosił tylko o jedno, aby ślub zupełnie prywatnie i w największym sekrecie odbył się w Pińsku, o co on już miał się starać.

Dlaczego w sekrecie? Jedną z przyczyn najwa-

Jak się pan Paweł żenił.

źniejszych, które spowodowały p. Pawła do ukrywania się, była — obawa Kaspra.

Kasper, jak on, był zajadłym nieprzyjacielem małżeństwa i kobiet. Znał go z téj strony Mondygierd, nie chciał być wystawionym na jego wyrzuty, przycinki, miny dwuznaczne, spory z nim, kwasy domowe. Powiedział sobie, że fakt spełniony będzie musiał Kasper albo przyjąć z pokorą — lub a no! choćby mi wreszcie i rozstać z nim przyszło.

Myśl ta jednak goryczą go napelniała.

W powrocie do domu z niezmiernym taktem przywdział Mondygierd humor wesoły, aby po sobie nie dać poznać, że losy jego się rozstrzygnęły.

Dla Kaspra wiózł w podarunku tabakierkę, na której wierzchu namalowana była świątynka o czterech słupkach z ołtarzykiem. Na ołtarzyku niewyraźnie przez artystę lekko rzuconych, od niechcenia, dwóch sere w płomieniach można się było domyślać. Tabakierka ta symboliczna trafiła się przypadkiem; o zdradzieckim znaczeniu jęj ozdoby kupujący nie myślał wcale. Była mocna i zamykała się dobrze.

W domu zastał wszystko prawidłowo oczekujące na przybycie, zegar nakręcony, w kuchni obmyślana wieczerza, ogień na kominie i Kaspra nawet w dobrem usposobieniu, które tabakierka jeszcze wzmogła.

Poszedłszy z wazką do kuchni, gdzie pokazywał tabakierkę całemu zgromadzeniu, do rąk jednak

nie dając nikomu (ażeby jój nie zalapano, jak mówił) — wyraził się o p. Pawle:

— Jak Boga kocham, taki to jest dobry pan! Nażre się człowieka, nażre, ale pożąda i pamięta.

Następnych dni nic a nic nie zaszło nowego, z wielką tylko starannością Mondygierd kazał kąty wszystkie oczyszczać, dowodząc, że się zapuszczono.

W niebytności Kaspra w sypialnym pokoju jakieś trygonometryczne robił wymiary tajemnicze około łóżka, ale gdy ten nadszedł niespodzianie, udał, że buty z prochu otrzepuje.

W kilka tygodni oświadczył Kasprowi, że interes ważny powoływał go do Pińska...

I wyjechał.

Pocciwy Kasper, chociaż z drukowanego czytał, z książki pana Boga chwalił, a w gwałtownym razie krzywo się podpisać umiał, niekiedy opuszczając jedną lub dwie litery, — nie miał żadnego upodobania w literaturze. W papiery pańskie nigdy nie zaglądał, mimo to znał swojego pana interesa tak, że ani on sam lepiej z niemi obeznany nie był.

Gdy mu Mondygierd oświadczył, że jedzie za interesem, a przeciw zwyczajowi odwiecznemu, nie wyjawiał o co chodziło, Kasper się najprzód zdumiał mocno. Cekał, ażeby się to wyjaśniło, — pan Paweł wyjechał i nie wyjaśniło się nic wcale. To milczenie nadnaturalne w człowieku, który potrzebował mówić i gadał aż nadto dużo, szczególnież ze starym sługą, miało coś w sobie tak niezwykaj-

nego, iż po wyjeździe pana, Kasper powziął podejrzenia wielkie.

Jawném było, że się coś gotowało, coś snuło, o czém nawet jemu powiedzieć nie chciał pan Paweł. Co to mogło być?

Wpadał na myśl, iż może Kozłowicze chciał sprzedać. Kilka razy, gdy zamiast pszenicy urodziła ta nieszczęśliwa miotła z rumiankiem i owsinką, zrażony pan Paweł odgrażał się, że sprzeda do trzysta djabłów Kozłowicze za bezcen.

Z drugiej strony wiedział Kasper, że do rowów, których był autorem, pan Paweł miał rodzicielskie przywiązanie. Z Kozłowiczami się rozstać fraszka była, ale oddać w cudze ręce te rowy kopane tak mozolnie, których było tyle sążni kubicznych, (Kasper wymawiał kupiecznych) — nigdyby na sobie nie wymógł.

Jeżeli zaś nie o sprzedaż Kozłowicz szło, to — o cóż?

Odgadnąć było nie sposób...

Najdziksze myśli przychodziły Kasprowi do głowy, jedno tylko przypuszczenie ożenienia wcale mu się nawet nie nastrecało.

O pannie Adeli zgola nie wiedział. Sumując tak, przypominał sobie, że w ostatnich czasach pan Paweł był to niezwykle ożywionym, to smutnym i zadumanym, nie w zwykłym usposobieniu. Uderzało go i to, że mniej łąjał i klócił się.

Symptom był tém dziwniejszym, że w ciągu

lat wielu nigdy się przez czas dłuższy nie objawiał. Bywały dnie ciszy, ale nigdy tygodnie.

Na wyjeźdnem, gdy Kasper zapytał kiedy się ma spodziewać z powrotem, zmieszany Paweł odpowiedział mu, nie ofuknąwszy go jak zwykle.

— Albo ja wiem! to trudno oznaczyć. Potém się zawrócił i dodał.

— A i to może być, że... że ja gości z sobą przywiozę. No, nie wiem, trzeba się przygotować na wszelki wypadek, żeby mięso było.

To dawało do myślenia.

Z mięsem na wsi nie jest rzecz tak łatwa jak w mieście. Aрендarz lub inny jaki przemysłny izraelita przywozi czasem ćwiartkę lub cały pośladek cielecy. trafia się ćwierć wołowa, po karczmach tu i owdzie biją bydło, lecz na regularną dostawę rachować nie można, a najczęściej owdowiała krowa zastępuje spaśne woły. Mięso, które ciężarem swym spadło na Kaspra, nie było tak małą rzeczą. Mięso bez kości, pół biedy, ale dla gości musi być i rura i sztuka mięsa z kwiatkiem. To się samo z siebie rozumie.

Hm! żeby mięso było! — powtarzał Kasper — żeby mięso było, tak to mu łatwo sobie powiedzieć, a niechajby sam poszukał tego mięsa!

Posłał Kasper do arendarza, zamawiając u niego mięso, ale się gniewał na despotyczny rozkaz: żeby mięso było.

Mięso nierozłącznie szło z ideą gości. Jacyż to

nieśli być ci goście, dla których drób nie starczył, pekefleisz nie był dosyć wykwinny, a koniecznie im należało dać mięso?

Kasper nie mógł zrozumieć — rejent jadł dużo, ale pakował co mu dano. inni mniej jeszcze byli wymyślni, wpadał na domysł stary sługa, że chyba urząd ma zjechać, a zjechanie sądu nie mogło co innego oznaczać nad sprzedaż Kozłowicz.

— Gdzieby on sprzedał te rowy! to nie może być! — mówił sobie.

Zagadka była nierozwiązalną i niepokojącą.

Nazajutrz arendarz przywiózł mięso, które na łodzie złożono.

I on był ciekawym, dla kogo ono miało być przeznaczoném, a nie dowiedziawszy się od Kaspra, który zawsze wszystko wiedział, snuł wnioski osobliwe.

Arendarz to był mający stosunki rozległe, ucho pilne, umysł bystry w kombinowaniu. Będąc w Pińsku już słyszał, że p. Paweł kupował floranse na prezenty... Florans z mięsem razem połączony, dawał w rezultacie, że tu coś kobiecego zachodziło. P. Mondygierd zaś był tak czystych obyczajów, że gdy kobieta była w kwestyi, nie mogła stanąć w niej inaczej, tylko jako żona.

Rozśmiał się więc Judeł i pokiwał głową.

— Pan nie wie? — odezwał się do Kaspra. — Kiedy pan nie wie, ja panu powiem. Pan zawsze

wszystko wiedział, a teraz nie... nu... ja nigdy nie wiem, a teraz to ja będę wiedzieć.

Nasz pan się obzeni.

Kasper się zaczął śmiać, aż mu ze spencera nowa tabakierka wypadła.

— Co pan myśli? że to nie może być? I owszem — rzekł Judel. — Jak ostatnią razą był w Pińsku, kupił dwie sztuki floransu, grubo zapłacił i okpili go, ażeby był mnie kazał kupić, jabym zarobił i jeszczeby taniej przyszło.

Kasper jak żyw o floransie nie słyszał, kolnęło go to okrutnie.

— Gdzie? co? nie może być!

Judel kategorycznie wyluszczył historję floransu, dodając, że na weselu u rejenta wszyscy się śmiali z tego, że nie odstąpił na krok siostry pani Wydrzyněj.

Oślupiał Kasper, łuski mu opadały z oczów, zadrżał. Żydowskie kombinacye miały ze sobą niezmiernie prawdopodobieństwo, a jednak uwierzyć w taką zdradę, w zaparcie się nagłe zasad życia całego — nie! nie mógł Kasper.

— Póki nie zobaczę, póty nie uwierzę — rzekł w duchu i żyda odprawił, lecz w duszę wkradła się wątpliwość.

Perspektywa była okropna, życie się miało zmienić, spokój zakłócić, służba niewieścia zalać cichy dworek, niosąc za sobą żelazka do prasowania i wałki do maglowania.

Cały dzień chodził z obwisłą głową, i przypuszczając i nie dopuszczając, aby to mogło się stać.

— A jeżeli sobie ten kamień do szyi przywiąże, to, jak zbawienia pragnę, wszystkiemu winien Rejent. Jak się ten ożenił, tak mój za nim. Możesz ty, mogę i ja. Na złość. Pięknie na złość! takiego figla zrobić własnej fizyognomii! — wzdychał Kasper.

— A jeżeli się, panie uchowaj, sprawdzi, mnie już nie zostaje tylko się odprawić. Ja na tę rewolucję patrzeć nie chcę! Zginie wszystko, przepadną Kozłowicze, pan się zagryzie, nie wytrzyma. Niech tego lepij oczu. moje nie widzą. Siadę na dewocyi gdzie przy klasztorze, bodaj zakrystyanem zostanę, a tu nie wybędę.

Rozgorączcowawszy się tak Kasper, zmiarkował się prędko, że obawy na żadnej jeszcze podstawie trwalszej nie były oparte i uspokoił się, że żyd mu naplótł nic do rzeczy.

— To nie może być! — powiedział sobie w duchu — sensu w tém niema. Żyd bałamuci, a jam niepotrzebnie wziął do serca. Nie może to być. Jeszcze chodził tak to przypuszczając, że nieszczerście się stać mogło, to sam się reflektując, gdy kałamaszka rejenta stanęła przed wrotami.

— Jest pan? — zapytał zdaleka Kaspra.

— Nie ma go, wczoraj jeszcze pojechał do Pińska.

— A jego tam co pognało?

— Któż to może wiedzieć?

— Jakto, żebyście wy, Kasprze nie widzieli.

— Tak mi Boże dopomóż, nie wiem, powiedział, że za pilnym interesem — i — (tu się Kasper nieco zatrzymał) — i że może gości z sobą przywiezie.

— Jakich gości? — pytał rejent zdumiony. — Cóż to jest?

— Nawet kazał, żeby mięso było.

Zdumiał się Sawicz. Nie był on wtajemniczony, ale podejrzenie miał i poszlaki pewne.

— No! — odezwał się po chwili — bodajbym nie odgadł! filut kanalia! sekret z tego zrobił, a o nim wróble na dachach śpiewają. Zobaczysz Kasprze, że ci jejmość do domu przywiezie.

Pobladał stary sługa, lecz choć w duchu gniewnym był na pana, przed obcym tego okazać nie mógł, odegrał nie źle obojętność.

— Któż mu zabroni — rzekł — jeżeli się ożeni toć dla siebie, nam do tego nic; a ja panu powiem jedno, że gdyby do tego przyszło, nie kto winien tylko wy...

Sawicz się zaczął śmiać mocno.

— A to może być, bo wesele rzecz zaraźliwa. Gdy u mnie był, okrutnie się do siostry Wydrzyniejskiej przysiadł, gotów ją wziąć, panna piękna i z partesów! z partesów.

Słowa te rejenta pognębiły do reszty biednego

Kaspra, spuścił głowę, tymczasem Sawicz kazał zawracać.

— Kłaniaj się panu, gdy przyjedzie — rzekł — a jeżeli się ziści cośmy gadali, powiedz mu, że pretensję mam, bo mnie winien był na wesele prosić. Hultaj.

Kasper popatrzywszy na bryczkę, powoli wrócił do dworku; odeszła go wszelka wesołość i ochota do wszystkiego. Wygderał chłopca w kredensie zupełnie na ten sam sposób jak dawniej p. Paweł jego burczał, i melancholicznie poszedł się przechadzać po pustych pokojach dworku.

— Gdzieżby on tu żonę pomieścił! — mówił — ciasnota! Chybaby już wszystko do góry nogami przewrócić trzeba!

W kancelaryi p. Pawła przy stoliku leżał zapomniany papierek na ziemi; machinalnie podniósł go Kasper, ażeby wrzucić do komina, ale mając w ręku zaczął mu się przyglądać. Służył on do obwinienia czegoś i wyciśnięte na nim były wyraźne ślady dwóch obrączek!! Kasper pobladł. Nie było najjuńiejszj wątpliwości, w papierze znajdować się musiały dwie grube obrączki, a na papierze, choć mozolnie, wyczytał napisane ręką Mondygierda.

„Za obrączki Abramkowi z moich dukatów za robotę złotych dwadzieścia.“

Stał z tym kawałkiem papieru w ręku i lży mu

się z powiek potoczyły. Siadł na krześle, bo nogi się zatrzęsły.

— Ha! Skończyło się nasze życie spokojne! Po wszystkim! Nie ma już co wątpić i nie ma mnie tu co robić.

Mnie, to nie! ale jak on biedaczysko da sobie rady z żoną, żeby i aniołem była! która nie będzie tak ulegała jak ja! Piekło w domu za tydzień będzie! niech oczy moje na to nie patrzą.

Wstał i poszedł do swojej izdebki przy kredensie w tej myśli, ażeby się w drogę wybierać, spojrział na ten kątek spokojny, w którym lat tyle przeżył, do którego jak grzyb przyrósł, sił mu zabrakło, załamał ręce. Nigdy w świecie ani przypuszczał, ażeby się mógł kiedy potrzebować wynosić, zdawało się niepodobieństwem wyrwać się ztąd i żyć gdzieindziej.

Chciał wątpić o nieszczęściu, obrączki w papierku nie dozwalały.

Nie powiedziawszy o swém odkryciu nikomu, Kasper obiadu odmówił i do wieczora przesiedział w swój izdebce przybity tak, że chłopca kredensowego ani razu nie połajał. Nadszedł zmierzch, przyszła noc, odetchnął spać się kładąc i myśląc, że choć jeden dzień zyskał jeszcze.

Nazajutrz obudził się rano, już nieco łagodniej usposobiony, przypuszczał, że stary pan go nie wypędzi i że mu w jego niedoli może być potrzebnym. Żeby miał się choć przed kim poskarżyć! mówił

sobie — zobaczymy zresztą co to za baba, kto wie, może nie tak straszny djabeł jak go malują...

Ku wieczorowi poszedł po pokojach się rozpa-
trzeć, w lichtarze kazał poprawiać świece i po-
kłaść profitki, zakadził smołką i łupinkami od ja-
błek, samowar chłopcu natychmiast dał do oczy-
szczenia. Spełniał to z jakąś malancholią, jakby
swą ostatnią posługę dawnemu panu, którego serce
mu miano odebrać.

Gorzkie refleksye przychodziły i teraz dopiero
idąc po tropie do źródła rzeczy, dotarł do wniosku,
iż wszystkiój téj biedy przyczyną nie był, jako żywo
rejent, ale ów chłopiec znaleziony pod karczmą.

— Chciał nas pan Bóg dotknąć, ot jaki znalazł
sposób!

Tego dnia już prawie napewno się spodziewał
przybycia p. Pawła i do późna czuwał, napróżno.
Mondygierd nie przybył.

— Mięso na łodzie — mówił Kasper w duchu —
ale poczekawszy w gębę go wziąć nie będzie mo-
żna. Dobrze mu tak! niech je śmierdzące. Nie było
się żenić.

Następnego dnia, całe Boże dwadzieścia cztery
godzin chodził niespokojny, nie mogąc przysiąść,
cztery razy chłopca na brzeg rzeki posyłał czy nie
widać. Jak nie było, tak nie było.

— Gody sobie sprawiają — mruczał — nie chce
mu się do domu! Pewno! tu ściany wiarołomstwo
wyrzucać będą.

Zmierzchło, posłał chłopca raz jeszcze ku rzece, ale nadzwyczaj prędko przybiegł napowrót zadyszany oznajmując, że obijanik pański już przybijający widać było. Kasper chciał być wspaniałomyślnym; mógł młode małżeństwo przyjąć, jakby o niém nie wiedział i nie spodziewał się niczego; ale kazał pozapalać świece, wdział surdut, bo w spencerze, z powodu jego formy, kobiet nie wypadało przyjmować, krzyknął o samowar i stanął w ganku.

Tu trzeba go było widzieć w postawie zarazem smutnej i tragicznej, z powagą bezmyślnie co chwila zażywającego tabakę, wyciągającego już i tak aż nadto powyciągane kołnierzyki i monologującego z sobą pocichu.

Z góry miał cały program postępowania obmyślony, postanowił być kamiennie milczącym, zimnym, pilnować służby i dawne serdeczne, poufale stosunki zerwać całkowicie.

Patrzył na wrota, w ciemnościach poruszało się coś, zbliżając ku dworowi. Był to Mondygiord, ale sam jeden, kobiety z nim żadnej. Szedł dosyć rażnym krokiem, jak za dawnych czasów, gdy sobie z Pińska powracał rad, że się pod swój dach dostanie.

Kasper oczom nie wierzył, ale stanowczo — nikogo z nim nie było.

Wstyd i niepokój ogarnął starego sługę. Co to znaczyć miało? Omyliłże się! a obrączki?

Przybitym był tak, że gdy p. Paweł zbliżył się

do niego, nie umiał się nawet odezwać. W tem Mondygierd zawołał.

— Cóż to u ciebie illuminacya? czy sfiksowałeś? we wszystkich oknach się świeci! A to po co?

— Pan że mówił, że z gośćmi przyjedzie — rzekł Kasper wpatrując się w niego.

— Ja? mówiłem, że z gośćmi — wybąknął, wchodząc stary kawaler — ja?

Weszli razem do bawialnego pokoju, tu dopiero twarzy p. Pawła mógł się przypatrzeć Kasper. Była mocno zinieniona, spokojna fizys starego kawałera nosiła na sobie ślady, jakby przebytą walki i radości tłumionej z odniesionego zwycięstwa. Patrząc po swoim dworku uśmiechał się dziwnie, zacierał ręce, zdawał się używać tej wygody i ciszy, jaką tu zastał.

Kasper pannę Bogu dziękując, że się na strachu skończyło, o nic już nawet nie pytał.

Później dopiero wyjaśniły się rzeczy, ale głośno o tém nie lubił mówić pan Paweł.

Dzień ślubu był naznaczony, uprzedzając go jednak, bo miał wiele jeszcze pokupek do zrobienia i rzeczy do przygotowania, Mondygierd wcześniej nieco przybył do Pińska. W drodze napastowały go myśli tak dziwne, iż co miał być nadzwyczaj szczęśliwym, czuł się utrapionym niewymownie. Teraz. gdy już przychodziło wyrzec nieodwołalne słowo i zapisać się do bractwa noszącego złote jarzmo małżeńskie, wszystkie dawne uprzedzenia

przeciwko niemu powracały, rodziły się wątpliwości, opanował go strach.

— Ano! — mówił w duchu — słowo się rzekło, nie ma już ratunku! a że się pospieszyło zbyt, łap, cap, że się nie rozmyśliło, że się zaplątało, to też pewna. Licho wie, z czego to poszło, jak człowiek się uniósł i wlaź w pułapkę... Nie ma co! nie ma co! siedźże teraz.

Obiecywał sobie być bardzo szczęśliwym, a rozważwszy jak to trudno, trwożył się.

— Cet czy lichu! uda się albo nie uda!

Wzdychając, wysiadł w zamówioném dla siebie mieszkaniu.

Wieczorem musiał się z faktorami o różne rzeczy kłócić, targować, posyłać, zamawiać i jakoś go to rozerwało. Lecz gdy około północy cisza go otoczyła, został sam z myślami, skłopotany, zbiedzony, twoga wróciła. Ocierał pot z czoła mówiąc:

— To dopiero początek! piękne życie będzie, nie ma co mówić.

Zdawało mu się teraz jak najwidoczniejszém, że do stanu małżeńskiego nie miał powołania.

Lecz — stało się. Jeszcze jeden dzień kawalerskiej swobody mu zostawał, jeden dzień — pojutrze termin był oznaczony...

Zbudził się rano bardzo, faktor stukał do drzwi, bojąc się, aby go kto nie uprzedził. Łajając i gniewając się, otworzył mu p. Paweł.

Żyd przeproszał, że zbudził jaśnie pana, gdy

oko zwróciwszy na sień, postrzegł w głębi p. Paweł stojącego Wydrę. Zdziwił się zobaczywszy go.

— Co tu robisz?

Ekonom zmieszany był jakiś, nie swój i z twarzy mu czytał łatwo Mondygierd, że coś zająść musiało. Więc faktora odpędziwszy, zaprosił go do siebie.

— Cóżes to tak wcześnie przybył? — zapytał — może, uchowaj Boże, zachorował kto?

Wydra zrazu nie odpowiedział, lecz mieszał się mocno i widać było, że coś przywiózł, czego z siebie dobyć nie miał siły.

— Mówże, proszę cię, bo zaczynam być niepokojny! — naglił Mondygierd — co tam takiego?

— Nie ma to tam tak dalece nic — począł onieśmielony gość — tylko, tylko chciałem się ja z panem dobrodziejem rozmówić na osobności.

— A no, sami jesteśmy! Nie obwijaj, proszę cię, w bawelnę, o co chodzi?

Wydra pot ocierał, kręcił się, stękał, zaczynał i zacinął się, niepokój rósł w niecierpliwym panu Pawle.

— To, to jest taka rzecz — wyjąknął nareszcie — że juści kiedy Adela słowo panu dała, to dotrzyma, o tém nie ma co i mówić, ale się trochę rzeczy skomplikowały.

Mondygierd, któryby się mógł oburzyć i rozgniewać, uczuł, jakby mu kto ręce rozwiązywał i rzekł

w duchu. — A nuż ja się tu potrafię salwować i wykręcić się sianem. Prawdziwa byłaby łaska Boża.

— Więc cóż to za komplikacya? — zapytał.

Wydra potniał.

— Bo to, widzi jaśnie pan — rzekł — panna przystojna bardzo i do rzeczy, domyśleć się łatwo, że ona nie pierwszemu panu w oko wpadła. Nasz plenipotent jeneralny się w nią kochał, nawet zaszło było daleko.

— A! zaszło daleko! — powtórzył p. Paweł — jakże daleko?

— Bo już i pierścionki byli pomieniali. Adela się do niego przywiązała bardzo, bo nie ma co mówić, stateczny człek i z funduszem i z głową. Tymczasem zaszły plotki, poróżniono ich, zwyczajnie baby, gdy się w co wdadzą, panna mu odeślą pierścioneł. Teraz, proszę jaśnie pana, jak się dowiedział, że za mąż wychodzi, taka go rozpacz porwała, że przyleciał jak opętany, do nóg jej padł. Dziewczyna w płacz, dawna miłość się przypomniła!

Cóżem ja, proszę jaśnie pana, miał począć? plenipotent jeneralny, od niego mój byt zależy, prosił mnie, abym jechał w jego sprawie. Adela też udaje się do wspaniałomyślności i serca pańskiego.

Pan Paweł już reszty nawet nie słyszał, tak mu śpiewało w duszy.

Jak się pan Paweł żenił.

— Uratowany jesteś! a miejże rozum na drugi raz! a miej rozum!

Nie dał tego jednak poznać po sobie, iż mu się złej zrobiło i na pozór się zasępił, westchnął z pewnym melancholicznym wyrazem.

— Mój Wydro! — odezwał się — ja nikomu znowu szczęścia odbierać nie chcę, Bóg z wami! Choć z bólem, cofnę się. Nie ma co mówić, ale warunek jeden.

— Jaki? jaki? — podchwycił żywo, uszczęśliwiony ekonom — co jaśnie pan każe.

— Nie chcę, aby mnie palcami wytykano i śmiano się, że mnie jak kota od mleka w wigilię ślubu odsadził ktoś. Dajcie słowo! ani mru, mru!

Zaczął go po ramionach całować Wydra.

— A! jaśnie panie, dobroczyńco mój! nikt od nas nie wiedział i wiedzieć nie będzie. Pan jesteś szlachetny, wspaniałomyślny.

Mondygierd uchylił głowę przed temi pochwałami, na które czuł, że nie zasługiwał, wewnątrz robiło mu się błogo, spokojnie, jakby kto z więzienia wypuścił.

— Niechże jaśnie pan dopełni ten dobry uczynek — dodał Wydra — i zajędzie do nas na zaręczyny, aby Adela się przekonała, że się pan na nią nie gniewa. Dziewczyna honorowa, gdyby pan się uparł, słowo daję, poszłaby była za pana, choć tamtego kochała.

Mondygierd głową potrząsnął tylko.

Taki był koniec krótkiego marzenia o szczęściu pana Pawła, po którym zostało błogie uczucie powrotu do spokoju.

Trzeciego dnia z Kasprem się już kłócili, jak dawniej.

Pomimo, że ani panna Adela, ani Wydrowie nie mówili nikomu o rozchwianém małżeństwie, wieść o niem później rozeszła się nie wiedzieć jak i po ludziach chodziła. Rejent przycinał p. Pawłowi tém, że harbuza zarobił, do czego on nigdy w życiu się nie przyznał.

— Gdzie? jak? z palcaś to wyssał! — wołał — ja! ja żebym się żenił? Czy to do mnie podobne, ja? Przeżegnajże się... nigdy w świecie! Plotki, bałamuctwa! Sensu w tém nie ma... ani mi się śniło!...

A śniło się jednuk, choć, szczęściem — prześniło bez szwanku.

KONIEC.



I JAK SIĘ PAN PAWEŁ OŻENIŁ.



Cras amet, qui nunquam
amavit, quique amavit, cras
amet.

Stara pieśń weselna.

Jakiś czas upłynął od owéj bytności w Pińsku, która o losach pana Pawła rozstrzygnęła tak szczęśliwie. W piérwszych chwilach czuł się stary kawaler jakimś lekkim, uśmiechał się sam do siebie, podśpiewywał, winszował sobie, a Panu Bogu dziękował, że go salwował, prawdziwie cudownie, łaską swoją.

Dotrzymano mu słowa i wcale nie rozgłaszano o tém, że tak daleko zaszedłszy, zmuszonym się był wycofać. Pomimo milczenia Wydrów i plenipotentą, który się z panną Adelą ożenił, ludzie jednak coś, tędy owędy, przebąkiwali, Kasper coś wiedział, rejent albo się domyślał, albo doszedł. Stary sługa jednak przez litość nad panem, którego kochał i z którym się co dzień kłócił — nigdy nie okazał tego, iż wié historję całą.

Gdy trafem rozmowa potrafiła o osoby lub wypadki, będące w związku z owym niedoszłym projektem, patrzył w okno i udawał obojętnego.

Pan Paweł na wiosnę poszedłszy oglądać swe rowy, które lubił, porównywał do kanału Ogińskiego, myśląc o rzeczach przeróżnych, przypomniał sobie pannę Adełę, swe ocalenie z pod „złotego jarzma“ małżeńskiego, i dziwnym idei zwrotem, choć się cieszył z tego, co się stało, począł trutynować jak ta panna mogła jemu, dziedzicowi Kozłowicz, pięknego imienia i prezencji co się zowie, odmówić dla jednego książęcego, choćby i jenerałego plenipotentą.

Było to nieco uwłaczającym dla niego.

Ztąd assumpt wziął do filozoficznych poglądów na tę całą słabą płęć niewieścią, na niestałość jej, na naturę kameleonską, a miłującą się w zdradzie.

Przypomniała mu się pierwsza miłość, Melanka, która się doń tak uśmiechała z za drzwi, gdy pani matka nie patrzyła, która go ścisnęła za rękę, dała mu się pocałować i — wkrótce potem za mąż poszła.

Ztąd poszły refleksye nad opatrnością Bożą, której opieka zawsze w złych terminach ratowała pana Pawła u brzegu przepaści, — ocaliła go od niestałej Melanki, od płochiej panny Adeli, dała mu wykopać tyle tysięcy sążni kubicznych rowów w Kozłowiczach i t. d. i t. d.

Czuł się w téj chwili jakby do portu bezpiecznego zawijającym wędrownikiem, któremu już żadne nie zagrażają burze; to go trapiło tylko, że po sobie nie miał komu zostawić Kozłowicz i rowów, a te w lat kilkanaście, bez dozoru, znowu się zasunąć mogły.

Na to nie było ratunku.

Wrócił myślami do panny Adeli, do rozinowy z jój szwagrem, do téj chwili cudownej libertacyi, i śmiał się sam do siebie.

— Żdźbła brakło, a byłaby klamka zapadła! I co za konsekwencye? Dawne amory plenipetenta, wspomnienia, kwasy, — śmiecie w domu, niewieście krzyki, podział władzy!!

A takem ja sobie pan, sobie pan! i o nic nie dbam! podśpiewywał pan Paweł. — No... i teraz... zje kaduka kto mnie na nowo oplatać potrafi... *Expertus Robertus!!* Ha! ha! wiem teraz, że z kobietą należy ostrożność posuwać do ostatecznych granic. Ani się uśmiechać, ani patrzeć w oczy, ani za ręce brać, ani się wdawać w konwersacye dwuznaczne. O mietlicy, o rowach, o kurach, o gospodarstwie, więcéj nic. W każdym słowie ich wędka się ukrywa... a *cavo infirma!* — westchnął Paweł.

W nadzwyczaj wesołym humorze powrócił wieczorom do domu, nucąc, wywijając laską i uśmiechając się wiośnie, która choć w Pińszczyźnie ładną była. Słowiki już próbowały w krzakach swo-

ich instrumentów i stroiły gardziołka... Na błotach gwar ptactwa, jakby sejmikowały, rozlegał się ogromny.

Kasper w spencerze szaraczkowym stał około ganku.

Rzecz była szczególna w usposobieniach tych dwóch starych przyjaciół, kochali się, kłócili się, żyć bez siebie nie mogli, a regularnie gdy pan Paweł był wesół, Kasper stawał się kwaśnym; gdy Kasper miał humor lepszy, pan gderał.

Dnia tego sługa i pan, oba byli upojeni wio senką, ale pana Pawła zobaczywszy *in júbilo*, Kasper się skrzywił zaraz...

Dobry zegarka srebrnego i niby dla własnej informacyi, spojrzął na godzinę, ale był to wyrzut niemy, że pan opóźnił się na wieczerzę.

— Dawaj jeść, bom głodny! — zawołał w ganku, tymczasem zasiadając Mondygierd, oparł się o poręcz i zaśpiewał fałszywie, ot tak, z dusznej potrzeby wylania jakiegoś sentymentu.

Włazł kotek na płotek

I mruga!

Piękna to piosenka,

Nie długa!

Począł, bezmyślnie powtarzał to basem —
I mruga! — Nie długa! i t. p.

Słońce zachodziło pomarańczowo — wpatrzył się w zachód, dziwił się jasności owój i na jej tło

drżącym listkom młodym wierzb i olch... Świat mu się wydawał ślicznym! Kozłowiec rajem.

— Czego mi tu więcéj potrzeba! Karaj Boże do wieku. Wszystko jest! Ryby, grzyby... Pszenica będzie, musi być! Miotlica wyginie! na chlebie choćby i z masłem nie zbywa. Jedz, pij i puszczaj pasa... Kasper szedł właśnie z wazką i mlekiem, tak poważny jak gdyby niósł na węgłowi insygnia koronacyjne; tego dnia biała chułka na duszce i kołnierzyki zdawały się wyżéj podpiéte niż zwykle, siwiejące bokobrody półkoliste odbijały świetnie od rumianych policzków, srebrny kolczyk w uchu poruszał się z taką miną seryo, jak ten, któremu służył.

P. Paweł, znający tak swojego dożywotniego towarzysza, iż dosyć mu było końca jego nosa, aby z niego humor wyczytać. wiedział już, że Kasper był kwaśny. Ale to właśnie werwę jego obudzało do rozmowy; a gdy się kłócili, jadał lepiéj.

Postawiwszy wazkę, odkrywszy ją, gdy para z mleka buchnęła, do którój się uśmiechnął Mondygierd, łyżkę w ulubionéj potrawie zanurzając, spojrzał na stojącego w postaci kolosu, z założonemi na piersiach rękoma, Kasptra.

— No, cóż ty tam tak sumujesz? — odezwał się.

— A pan by chciał abym śpiewał czy co? — odparł sługa.

— Czemubyś nie miał śpiewać? hm? Żle ci się dzieje?

— Nie narzekam — rzekł Kasper — i urwał.

Po chwili podniósł głowę od mleka p. Paweł, spojrzał i spytał:

— Co??

— Nie! — odparł niecierpliwie Kasper i krokiem mierzonym oddalił się ku oknu.

— Przysięgnę, że coś masz do powiedzenia — zawołał Mondygierd — ale z tobą to tak zawsze, nosisz, dusisz, człowiek musi odgadywać. Do czego te komedye? Ja lubię prosto z mostu.

— Panu bo nigdy dogodzić nie można...

— A z tobą dojść do ładu? Cóż się stało? czy znowu gumieny, czy gospodyni, czy Stasiuk? gadaj bo...

— Nie ma nic — odparł Kasper, westchnął.

— Tyle tylko — dodał mruklawie — że oto nam Pan Bóg naszego pokoju pozazdrościł, było w Kozłowiczach, jak za piecem, a no teraz!!

Machnął oburącz.

— A teraz że co się stało!

— Czy to pan nie słyszał, że do Harasymówki najechało państwo.

— Co? gdzie? jak? nic nie wiem. Do Harasymówki! Gadajże! Kto? — począł, porzucając jedzenie, p. Paweł. — Wszakże mój poczciwy Zabielski umarł!

Tu musimy dla oświadczenia czytelnika w nawiasie objaśnić go, co była za jedna ta Harasymówka i kto był ten pocziwy Zabielski.

O granicę, rozdzielona tylko rzeczułką, zwaną Worobiej, od Kozłowicz, leżała wioska Harasymówka, na dawnych mapach, tytułowana Harylmowy Ostrów. Należała ona od wieków do Zabielskich, tak jak Kozłowicze do Mondygierdów. W młodości pan lowczy Zabielski z p. Pawłem do szkół jezuickich chodził w Pińsku. Byli przyjaciółmi najserdeczniejszymi od tych czasów po cząwszy, gdy razem wróble wykręcali, aż do tych gdy p. Paweł kochał się w owój Melance, a Zabielski w córce ekonoma, która go zdradziła na rzecz prowentowego pisarza. Jeździli razem bywało na kaczki i lapali piskorze...

Lecz Zabielskiego rodzice puścili potem na większy świat, i wieś zdawszy na ludzi, na dzierżawców, na ekonomów, w Warszawie siedział przy kanclerzu. Ledwie, że czasem o nich słuch doszedł. Jakoś późno już ożenił się ów Zabielski na Mazurach, i w parę lat bezdzietny zmarł, wdowie zapisawszy ową Harasymówkę...

Stary ekonom w niej po staremu rządził. A była wioska co się zowie, wysoki hrud obłany zewsząd wodami, z kądem i nazwisko ostrowu, lasu przepaść, sianożęci strach, choć błotnych, bodaj półtorasta włók peryferyi.

P. Paweł zawsze bolał nad tém, że ta Harasymówka tak marnie przepadała.

— A to pan nie wie — mruczał Kasper — wszak to tam bab najechało ćma, wdowa po nieboszczyku, siostra. jakaś kuzynka i jeszcze jakiś, czy jurysta, czy co? mówił Drop', który zajeżdżał do dworu po nasz bezmian, co go ekonom pożyczal, że tam sądny dzień. I jakoby się oni sztyftowali tu mieszkać.

P. Paweł milczał.

— To niechże pan miarkuje — dołożył sługa — ztąd do Harasymówki słyhać jak psy szczekają, przeprawiwszy się przez Worobieja, pod nossem dwór. Dawniój pożyczali bezmiana, półkorcówek, a cóż to teraz dopiero będzie przy kobiecóm gospodarstwie?

Milczał mocno się namarszczywszy p. Paweł, bo aprehendował ważność nowiny. Kasper raz rozpoczynawszy dalej ciągnął:

— Pan myśli, że oni nam dadzą spokój, że jegomości tam nie wciągną?

Potrzeba było widzieć minę Mondygierda, gdy to usłyszał. Dolną wargę oddał i głowę do góry podniósłszy, kilka razy nią poruszył w dół. Znaczyło to wyraźnie.

— Będą widzieli! Zapewne!

Kasper się niedowierzająco uśmiechał.

— Z panem to tak zawsze! Nie! Póki życia!
— mówił dalej — a niechno tylko zrobią krok,

zaproszą, skomponują sobie jaki interes... złapią jegomości, tak mi panie dopomóż.

P. Paweł się oburzył.

— O! ty! ty! ze swoim rozumem! *Mudraher!* Jak to ty mnie penetrujesz i znasz!! Tak to starego wróbla złapać łatwo?

Rozśmiał się.

— Co nie mam pojechać? Otóż pojadę! Pewno że się lękać nie będę... pojadę, zobaczę i przeto mi się nie stanie nic! Dlaczego mam się dziczyć? Cóż to tam osobliwego te mazury czy mazurki? Co mi tam ma grozić?

— Ja jegomości powiem co — odparł Kasper — oto, że dwór wezmą baby w rekwizycję... nie ma nic, stary ekonom opuścił wszystko, przecie panu tego mówić nie trzeba co Bałanowicz za jeden. *Chapokrysz!* o sobie tylko pamiętał! Pożyczali bezmiana, pożyczali półkorcówek, będą pożyczać, nie daj Boże wyprorokować, i cukru i kawy i świeżego chleba, i mleka... i... co ja tam wiem, a nas zaprzęgą w chomąt i, tyle! ot co! ot co!

Ożywił się mocno, mówiąc Kasper i uczynił wrażenie na panu Pawle, który wziął groźbę do serca.

— At bo pleciesz, roisz! Kumać się z niemi nie będziemy! do takiej konfidencyi ich nie dopuszczę, a przyjedzie Bałanowicz... to się mu

wprost powie, że u mnie nie sklep norymberski, ani tego!!

Wstał pan Paweł od wieczerzy, przeżegnał się, rozmowę przerwał, ale gdy mu później Kasper przyszedł buty zdejmować, bo to on najlepiej umiał, oparłszy nogę o jego kolano, gdy kozłowe ogromne chodaki ściągał, zagadnął go o Harasymówkę. Kasper zbył krótko, że tyle tylko wie, co od Dropia słyszał.

Drugiego dnia kazano do dworu przywołać Dropia, który był człek roztropny i dawniej służył nawet za młodu przy kredensie.

Pan Paweł go sam wziął na spytki o Harasymówkę.

Drop' miał zwyczaj, jak wielu włościan rozповідаć długo, powtarzając się i nie szczędząc szczegółów, można się więc było coś dowiedzieć.

Począł *ab ovo*, jak go posyłano po bezmian, jak dopłynął do Staszowego Worobiejem, czółen przywiązał do wierzby, a sam wiosło wzięwszy, do dworu poszedł. Wiosło zaś było dla opędzenia się od kundysów, które Bałanowicz trzymał.

Daléj opowiedział Drop', jak się niezmiernie zdziwił, widząc dwór pełen i to najwięcej bab... i jak mu stajenny Wasyl, co Bałanowicza woził, powiedział, że pani z pannami jakiemiś i jakimś panem najechała, że Bałanowicz włosy sobie rwał z głowy, bo tu się już jego panowanie skończyło,

a Balanowiczowa len i motki jakieś na strych pochowała.

Pana Pawła to niewiele zajmowało, chciał wiedzieć głównie, czy Drop' nie podpatrzył tych pań jak one wyglądały.

Na co dawny dworak odpowiedział, że i widział i słyszał te panie, bo okna w starym dworze były otwarte, a kobiety śmiały się i chichotały i biegały i służba, dziewczęta, lokaj, chłopiec, latali jak poparzeni ze dworu na folwark, z folwarku do dworu.

Drop' człek ciekawy, zdala widział jedną panią przystojną, tak w średnim wieku; drugą, musi być panną, téż niczego; trzecią dużą i niepiękną, a krzykliwą, i jegomości małego, trochę garbatego, co mu się włosy na głowie kręciły, bardzo wystrojonego i śmiejącego się ciągle. Oprócz tego garderobiane téż oglądał fertyczną, lokaja porządne go i wyrostka, który biegając, podskakiwał.

Tyle się dowiedział p. Paweł, i Dropia za informację poczęstowawszy wódką, odpuścił.

Przy obiedzie, już wiadomości zasiągnawszy u źródła, mógł z Kasprem mówić obszernie, lecz stary nie miał dziś ochoty do rozmowy.

Upłynęły cztery dni, a przepowiednia Kaspra wcale się nie sprawdziła, z Harasymówki nie dano znaku życia i niepotrzebowano nic.

— A co? — mówił Paweł.

I jak się pan Paweł ożenił.

— Niechno pan poczeka, niech się rozgoszczą i rozpatrzą — odpowiedział Kasper.

— Gdyby nawet się zgłosili — rzekł Mondygierd — nieby w tém nie było dziwnego. Wiesz jak ja z nieboszczykiem Zabielskim byłem, jak z bratem. Nie może to być, żeby wdowa o tém nie wiedziała. Prawdą a Bogiem, mnieby się jój submitować należało.

Kasper się rzucił z fukiem.

— A co? już jegomości korci? już korci? już? Biedy się zachciewa!!

P. Paweł zmieszał się strasznie, miał zacząć łajać, ale stary chwycił coś ze stołu i z pokoju wyszedł, drzwiami trzaskając. Zatarło się to później i nie było mowy o Harasymówce, gdy jednego rana p. Paweł siedzący w ganku, zobaczył chłopaka idącego do dworu. Poznał zaraz, że nie był żaden z jego wioski, bo tych wszystkich pamiętał, domyślił się, że z Harasymówki być musiał, bo tam oni siermięgi nosili trochę innym krojem i sukno ciemniejsze.

Chłopiec wprost do dworu kroczył; podszedł do ganku, pokłonił się nisko i z czapki wydobył pismo.

— Masz tobie! z Harasymówki — odezwał się pan Paweł, biorąc.

— Idźże do kuchni, poczekaj.

Obejrzał list. Wyglądał kapitalnie. Miał na sobie ceremonialną odzież, niby frak — kopertę

z tego papieru wystrzyżoną, niezbyt krzywą, pieczętkę herbową Zabielskich i obok niej kapkę laku, a na wierzchu charakterem niemieckim adres, wprawdzie z małą omyłką w nazwisku, ale do darrowania. Paweł poszedł go otworzyć do pokoju i nie bez ciekawości, rozłożywszy ćwiartkę zawartą w kopercie, czytał.

Brzmiał, jak następuje:

Wielmożny mości
dobrodzieju!

Wiedząc od nieboszczyka męża mojego, iż się przyjaźnią jego honorował: przybywając w te strony obca i nie znając u kogo w interesach zasięgnąć rady skutecznej, ośmielam się upraszać W. Pana dobr. abyś mnie, gdy mu czas pozwoli, zaszczycić raczył bytnością swą w Harasymówce. Spodziejając się, iż mi tego odmówić nie zechcesz, jako wdowie przyjaciela, piszę się z winnym respektem.

WPana dobrodzieja
najniższa sługa,
Hermancya z Grudzkich
Zabielska m. p.

List był tak pięknie wystylizowany. iż p. Mondygierd powziawszy z niego jak najpochlebniejsze wyobrażenie o pani Hermaneyi z Grudzkich Zabielskiej, stał jakiś czas w zadumie nie tyle nad jego treścią, co nad odpowiedzią. W pisaniu li-

stów nie był bowiem mocny, i miał awersye do pióra prawdziwie szlachecką. Oprócz tego na myśl mu już przychodziło, czy był w domu papier, czy pióro, któreby pisać chciało i było zdolne, znaleźć potrafi, naostatek kwestya atramentu, odżywianego w kałamarzu ciepłą wodą i wyglądającego zawsze jakby od barszczu w prostą linię pochodził. O laku przypomniał sobie pan Paweł, że kawałeczek przyklepiony do drewnianka był w szufladce, w której leżały nożyczki duże od papieru przez Pawła zdezelowane. Koperta była nieuchronną, a fabrykacya koperty — pot mu wystąpił na czoło. Miał myśl szczęśliwą, która go rozweseliła, użyć otrzymanej za wzór i podług niej nową wykroić. Papier wprawdzie gruby i siny, w szufladce się znajdował.

Stał jeszcze pan Paweł temi myślami zajęty, gdy z tryumfalną miną wszedł Kasper. Miał litość nad panem, nie mówił nic i poprawiał krzeselka, ale samo przybycie jego było wielkiego znaczenia.

Pan Paweł zażegnał burzę, z właściwą sobie przytomnością umysłu.

Rzekł poważnie:

— Pani Zabielska mnie zaprasza, jako przyjaciela męża, abym jój w interesach radził. Posłuchaj listu.

Ująć chciał Kaspra i odczytał mu, z pewną deklamacyą, list p. Zabielskiej; poczem spójrzał na niego.

Kasper stał jak drewniany, nie poruszyło go to bynajmniej. Pan Paweł w téj chwili uczuł, że mu brakło serca, że był grubianin bez wszelkiego sentymentu, ale list poszedł pisać, aby chłopca nie wstrzymywać.

Co go kosztowała umysłowa praca około téj odpowiedzi, której chciał nadać charakter poważny, następnie mechaniczne wykonanie, skrobanie dwóch żydów i jednej omyłki, zakopertowanie sygnetem — nie będziemy opowiadali. P. Paweł wstał złamany, dokonawszy dzieła.

List brzmiał:

Wielmożna Pani Dobrodziejko!

Szacowne pismo rąk jój, tak dla mnie pochlebne zawierające ekspressye, oraz wspomnienia mi najdroższego przyjaciela, którym był nieboszczyk, wraza mi prawdziwą wdzięczność. Nie omieszkam rozkazom Wiel. Dobrodziejki, które za ordynans poczytuję, submitując się, stawić w Harasymówce i u stóp jój czołobitność mą złożyć.

(Tu była trudność przyczepienia końca, rozwiązana w ostatku, w braku lepszej ekspressyi, po-spolitém):

Co wyraziwszy, piszę się z najgłębszym respektem i konsyderacyą.

WW. Pani Dobrodziejki i t. d.

Jakkolwiek styl listu niezupełnie samego autora zaspakajał, z powodu powtarzanych wyrazów i trochę zagmatwaną konstrukcyi, co było robić?

Zepsuł na koncept ćwiartkę, na list półarkusza, koperta kosztowała tyleż, nie sposób było dla wykończenia epistoły narażać się na większe jeszcze papieru marnotrawstwo.

Pczbierał zrzynki do sznfladki, bo te się na kwitki do arędy przydać mogły i list oddać kazał chłopcu.

W myśli swój postanowił jechać niedalój jak nazajutrz, po obiedzie. Do Harasymówki inaczéj jak obijanikiem się dostać nie było podobna; resztę drogi należało zrobić pieszo.

O podróży téj przy wieczerzy mowy nie było, pan Mondygierd wiedział, że o pewne szczegóły wyboru z Kasprem przekorą walkę stoczyć przyjdzie, odłożył ją do jutra. Kasper chodził milczący i dojadał tylko szyderskimi wejrzzeniami, których Paweł udawał, że wcale nie postrzega.

Nazajutrz uarada ze sługą była nieuchronną i rozpoczęła się przy kawie.

— Co pan włoży?

— No, a jak ci się zdaje?

— Albo jam wiem? ja panu dysponować nie będę.

— To radź!

— Co to ja światowy człowiek, żebym te rze-

czy znał? — mruknął, umyślnie się tak zaszywając w pokorę Kasper.

— Do kobiet jadąc — rzekł Mondygierd — juści ten frak trzeba włożyć granatowy, jeśli plama wygubiona!

— Plamy ani znaku... ale po co frak? po co?

— Bo mi się podoba!

Poczęli się spierać, Kasper obstawał i utrzymywał się przy surducie; buty, choć ciasne, miały iść karbowane, kamizelka jedwabna w kwiaty; naostatku i ów cylinder nadwerezony. Niestety! zapomniano go posłać do reperacyi do Pińska, i wydobyty z pudła na światło dzienne, okazał się kompletnym inwalidem. Nosili go do okna, próbowano zalepić — nie był do użycia. Zostawała czapka z rydelkiem, niebrzydka, świeża, niegdyś uchodząca za elegancką, trochę spłowiała leżeniem, i ta służyć musiała — nie było sposobu.

Kasper półgębkiem tylko nadmieniał, że onby przy téj okazji mógł dojechać do Bałanowicza, do którego miał interesik, lecz kazano mu przy domu pozostać.

Zaraz po obiedzie zaczęło się ubieranie, mozolne wciąganie butów, od których się odrywały rzemyki, zawiązywanie chustki, urządzenie czupryny.

Pan i sługa znużyli się tak, iż oba wielki świat i wymagania jego przekleli. Pan Paweł pokropił się zlekką ambłą, i poszedł do obijanika, któremu dywanik dano na pokrycie.

Z bijącym sercem zbliżył się ku staremu dworowi Mondygierd. Cznąć w nim było życie nowe... Nim do niego doszedł, w dziedzińcu spotkał ową figurę, znaną mu z opowiadania Dropia, małego garbatego jegomości, z twarzą długą, z włosami kręcącemi się, uśmiechniętego i ubranego najpocieszniej. Miał u kamizelki dwa łańcuszki, na palcach innóstwo pierścieni i mimo porządnego garbu, wiele pretensyi do elegancyi i wdzięku.

— Cha! cha! pana dobrodzieja! cha! cha! cha! pewnie sąsiad pan Montykirt? cha! cha! cha!

Z wielką powagą kłaniał się czapką za rydel ujawszy pan Paweł.

— Miło mi się prezentować szanownemu sąsiadowi, Fortunat Grudzki, brat gospodyni! cha! cha! cha! Śliczny czas! ale kraj! cha! cha! Co komarów! tyle co kaczek! cha! cha! cha!

To mówiąc, prowadził p. Pawła do drzwi.

— Siostra moja będzie bardzo wdzięczna, cha! cha! cha! bo my tu nikogo nie znamy!

Milczący siadł p. Paweł, gdy w progu ukazała się niewiasta, lat średnich, *praeter propter* trzydzieści i coś mieć mogąca, pięknego wzrostu, form pełnych, włosy ciemnego, oczu czarnych, ubrana starannie, w sukni jedwabnej, w mitenkach czarnych, z minką pańską, — co się zowie hoża, piękna i wesołej twarzy. Szczególniej oczy wydały się panu Pawłowi drapieżne. Patrzała niemi tak, jakby chciała dobywać coś z człowieka — aż strach...

Uśmieszek miała na ustach i taką jakąś assekurację w sobie całej, jakby wszystkie śwata potęgi ustraszyć jej nie mogły.

Nie zlekła się też ani Pawła, ni jego powagi, przywitała go ochoczo, i gdy ów jeszcze zaplatawszy się w komplement prawil coś, wprowadziła go do bawialni.

Komplement ten wstępny nie powiódł się delinkwentowi, czuł to, ale obiecywał się poprawić. Intymidowały go niewiasty, jak tylko nie w zgrzebnych koszulach, a tu zaraz na wstępie okazało się ich, z gospodynią licząc trzy.

Zaprezentowała mu ona siostrę pannę Filipinę Grudzką, młodszą od siebie, ze spuszczonei oczyma, bladą i odrobinę ospowatą, zresztą hożą i pięknej figury, a naostatku kuzynkę, pannę Bernardę Okulską.

Baba była jak kozak duża, nie młoda, drobinę ciemnego zarostu mająca w miejscu gdzie bywają wąsy i bokobrody, otyła, massyw (jak się wyrażał Paweł), ale dobrodusznie wyglądająca.

Panna Bernarda trochę dygnawszy gościowi, poszła zaraz z kluczami, a pan Fortunat z gospodynią zajęli się Pawłem, na którego blada panna Filipina zdala tylko poglądała, do rozmowy się nie mieszając. Udało się Mondygierdowi wcale dobrze wyrazić zdumienie, iż pani Zabielska w tak oddalony i odludny kąt kraju chciała się fatygować i t. d.

Ruszyła ramionami piękna wdówka.

— Cobo się acanu dobrodziejowi zdaje, że my kobiety odwagi nie mamy? Znajdzie się ona, gdy potrzeba. Otóż, przyznaję, że mnie tu nic nie ciągnęło, ale trzeba było saméj obejrzeć co mi nieboszczyk zostawił, interesa poregulować, na ludzi się nie spuszczać. Rodzeństwo kochane nie odmówiło mi towarzystwa...

Pan Fortunat wtrącił, że istotnie nie uwłaczając Pińszczyźnie, wydawała mu się ona krajem dziwnym, gdzie wody więcej było niż ziemi, trzęsawicy niż gruntu, komarów niż ludzi, i że nade wszystko wiunów, vulgo piskorzy do węzów podobnych, miał abominację!

Pan Paweł tedy z miejscową erudycją wystąpił, dowodząc, jak wielki z nich miał użytek chłop, który je i pożywał i niekiedy przyświecał sobie niemi, paląc je jak łuczywo.

Przyczém zgadało się i o onym mytycznym wiunie na łańcuchu, którego w Pińsku okazywano łatwowiernym.

Śmiał się pan Fortunat, przyznając do tego, że w tym kraju cudów i osobliwości, gotów był i w wiuna na łańcuchu dać wiarę.

Sztywny zrazu Mondygierd, gdy gosposia i jój brat poczęli rozmowę w taki jakiś sposób swobodny, ochoczy, łatwy, iż ją z prosta i bez wymusu prowadzić było można, widząc, że tu z partesów nie trzeba się sadzić, stał się téż naturalnym i poszło mu łatwo.

Nie trzeba jednak sądzić, ażeby o powadze, jaką zawsze zwykł był utrzymywać, zapomniał. Ta go nie opuściła. Śmiech nienstanny zacierającego ciągle ogromne ręce pana Fortunata, wesołe wejście pięknej pani, do téj powagi zmusiło przymieszać szczyptę humoru. Oczy téż nie próżnowały, zapomniał p. Paweł o niebezpieczeństwie wejścia i z uwagą się wpatrywał to w skromną, milczącą pannę Filipinę, to w wesołą, śmiałą i wielce powabną wdówkę.

Mówił sobie w duchu — kobieta *ut sic!* A znać było to w jego ustach wiele! *Ut sic* zawierało w sobie nie tylko powab niewieści, ale niewiasty charakter i dostojność. Jakoż w rozmowie swój pani Zabielska okazywała się tak zdrowo jako i wszystko pojmującą, tak rozumną a edukowaną wysoce, iż po godzinnej zabawie z nią — *ut sic*, zmienił pan Paweł na... co się zowie!!

Zachwyciła go. Kobiet w życiu mało widywał pan Paweł, a w tym rodzaju nic mu się spotkać nie trafiło, mowa i wdzięki były niewieście, rozum męzki, śmiałość osobliwa a nierzająca. Patrzył, słuchał, podziwiał. Co więcj, pod wpływem jéj, sam poczuł się innym, poostwierały mu się w głowie jakieś komórki, o których istnieniu nie wiedział. Język się rozwiązał, śmiech zawitał na usta. Wydał się może zanadto ze swą dobroduszością, charakterem, ze swemi myślami, których nie zwykł był powierzać nikomu, ale kobieta owa czyniła na nim

osobliwe wrażenie, zmieniała go na wskrós. Przypomniał sobie ze szkół i mythologii Circe, z tą różnicą, że tamta przeistaczała w bydlęta, a ta czarodziejka, pana Pawła niemal w światowego człeka metamorfozowała.

Mówiąc nie wiedzieć o czém, jakby o niczém, bo potém sobie przypomnieć nie umiał o czém była mowa, ani się spostrzegł, gdy dosiedział do wieczora. Wypili kawę, przyszła i owa troszynę wąsata panna Bernarda, która ośmieliwszy się téż paplała do rzeczy i śmiało, mówiła półsłówkami i panna Flipina, żartował i śmiał się Fortunat i tak, Panie Boże odpuść, przebaraszkowali do zmroku.

Spostrzegł się p. Paweł, że na pierwszą wizytę za długo siedział, porwał się więc do odjazdu, a tu dopiero pani Zabielska, żegnającego się za rękę pochwyciła.

— Cieszę się — rzekła — żeśmy zrobili znajomość z szanownym sąsiadem, ale na tém nie dosyć! Musisz mi acan dobrodziej w imię przyjaźni dla nieboszczyka poradzić w interesach. Kochany brat mój do tego się nie zdał, ja niewiele rozumiem, a tu i ciężary są i kłopot, co dalej! Sama nie wiem czy tu zamieszkać, czy puścić, czy sprzedać, wszystko to musimy powoli roztrząsnąć... rozmówić się, rozważyć. Spodziewam się, że światłkój swój rady mi nie odmówisz.

Pan Paweł tak już był wdziękiem téj niewiasty

skorumpowany, że nie odmówiłby jój piechołą iść bodaj do Kobrynia, choćby i dalej! Co się to z niego w kilka godzin zrobiło! Sam nie poznawał. Całując więc rączki, submittował się, że na wszelki ordynans stawi się punktualnie.

Ponieważ nazajutrz był piątek i post, a kuchnia nie w porządku, na niedzielę na obiad proszono. Pan Fortunat wziął kapelusz (ale jaki!) i odprowadził gościa do obijanika. W drodze zwierzył mu się, iż w Pińszczyźnie zakochanym nie był, szczególnie dla tego, iż oprócz komarów i wiunów, płeć niewieścia, której był wielkim adoratorem, podobniejszą mu się wydawała do małp niż do kobiet.

Wsiadł p. Paweł do obijanika, tak poruszony, tak do gruntu jakoś przeistoczony, iż się zląkł sam siebie. Chwilę siedział pod poklatem osłupiony, myśli mu wirowały po głowie, jak gdyby w nią wiatrak wstawił i skrzydła jego puścił na cztery wiatry... Potrzebował wydychać tę sprawę i kazał z Worobieja, pod pozorem zobaczenia sianożęci, choć mocno zmierzchało, zawrócić dalszą drogą przez Rosochę i Żyrnę... Obawiał się w tym stanie emocyi niezwykajnej pokazać Kasprowi, który tak dobrze w jego fiziognomii czytał, jak on w Kasprowej. A tu były niezarty!

Naprzód czuł się odmłodzony, co mu się dawno nie trafiło, zupełnie tak jak na weselu rejenta, po winie, choć tu wina kropli nie pił. Powtórę wdowa mu nadzwyczajnym, niesłychanym sposobem przy-

pominała Melankę, troszka panna Adela. Ta miała coś, niejakiś podobieństwo, gdy Zabielska głosem, ruchem, ot wszystkiem, całą sobą była tą Melanką, tylko nierównie od pierwszej piękniejszą i rozumniejszą.

— Niech ją bogi mają w swój opiece! — mówił do siebie Paweł, pot ocierając z czoła — osobliwa kobieta! Gdybym jęj nie widział, nie uwierzyłbym, że podobna być może na świecie, bo to chwilami, płanetami młodziutka, razem sensatka, wnet figlar-ka, patrz już matrona, nareszcie, skarz Boże, niby dziecko! a niech ją dunder... Nie dokończył i usta sobie zatulił, czując całą nieprzyzwoitość wyrażenia, którego nie rozumiał, a w niem mogło się coś nieprzyzwoitego ukrywać.

Ocierał wciąż pot z czoła i uspokoić się nie mógł.

— Niczego wcale i panna Filipina... ale do tój! ani się umywała. Do rzeczy ta, osobliwego imienia, Bernarda, chociaż łupinka nieładna, i... więcej! gdzie to kto widział!.. wszystkie przy niej... *kudy! kudy!* To kobieta godna choćby senatorskiego krzesła...

Pomiarkował się że zbredził, i plunął, wedle zwyczaju w wodę.

Spojrzał, ciemniało, Kozłowicz nie było widać jeszcze, obijanik przerzynał się przez trzciny na Żyrnę. Wieczór śliczny, dawał przeciw łunie za-

chodu dostrzegać na niebie niezliczone ćmy komarów zwijających się słupami na pogodę.

Panu Pawłowi głos ptactwa błotnego wydał się tego dnia dziwnie miłym, natura nadzwyczaj urocza, huczenie bąka romantyczném. Czegoś mu na świecie było tak wyśmienicie, że gotów był pływać całą noc i do Kozłowicz nie powracać, a myślami się zabawiać.

Widok brzegu i oczekującego przy nim Kaspra, wrócił go na chłodne rzeczywistości łono z krainy marzeń i ideałów.

Potrzebował całej mocy, jaką miał nad sobą, aby Kasprowi nie dać poznać, że te odwiedziny wywarły na nim wrażenie tak ogromne... Utaić się przed nim, wymagało nadzwyczajnego kunsztu, a tego pocziwy Mondygierd nie miał ani od natury, ani życiem wyrobionego. Kłamstwo i dyssymulacya przychodziły mu zawsze z trudnością wielką i wątpliwym skutkiem. Jakkolwiekby, otwartém przyznaniem się do nagłej zmiany wyobrażeń i postanowień, do wrażliwości, słabości charakteru, nie chciał się kompromitować. Sztuki choć niezręcznie zażyć wypadało.

Wysiadając z obijanika, począł narzekać na zmęczenie wielkie, na wilgoć wieczora i wtrącił kilka zapytań gospodarskich. Kasprowi z miny widać było, że pana weźmie na spytki. Wieczera podawała ku temu zręczność, pan Paweł ledwie się nie był gotów wyrzec wieczery, ale w żołądku, nawykłym

do regularnego odżywiania, czuł wymowne protestacye przeciwko myśli tak zuchwałój. Przypomniawsobio, że ile razy spać szedł bez wieczerzy nietylko mu się cygani śnili, ale sen nie brał aż do rana. Zawstydził się sam przed sobą małoduszności.

— Ale cóż bo znowu za dzieciństwo — rzekł w duchu — obawiać się sługi? Przecież u Kaspra w niewoli nie jestem!!

Szli ku dworowi w milczeniu, Kasper już niewytrzymawszy, zapytał w drodze:

— A cóż? proszę pana? a co w Harasymówce? Bardzo znać ugaszczali, bo jegomość długo się zaszedział.

— No, nie było tam tak dalece nic szczególnego — rzekł Mondygierd niby obojętnie. — Baby, zwyczajnie baby, kłopotczą się interesami, kraju nie znają, nie wiedzą co z Harasymówką robić.

Tu p. Paweł, dla uczynienia silnój dywersyi, łgnał.

— Gdybym tak pieniądze miał, słowo daję, kupiłbym, bo to szkoda puścić w złe ręce.

Kasper dał się w istocie obalamucić i zawiezdzony w nadziei trochę, wprost poszedł do kuchni po kotlety na zieleńniku i naleśniki. Mleka tego dnia nie było, tak wypadało z prawa przemiany i szyku raz na zawsze przepisanego.

Przy świecach Kasper miał dopiero możność wyegzaminowania twarzy pana. Wyraz jój był za-

gadkowy wielce, okrywała czoło zaduma, usta powaga, w oczach migało coś nieokreślonego.

Odmieniając talerz Kasper się odezwał:

— Drop powiada, że kobiety niestare i wcale przystojne?

— He? — rozśmiał się, naleśnik krając Mondygierd z perfidyą niesłychaną. — Pewnie. Dropiowi każda niewiasta nmyta musi się wydać przystojną, nie ma tam nic osobliwego!! At. Wdowa po Zabielskim ni młoda ni stara, tak sobie (usta trochę skrzywił), siostra ospowata i blada. a trzecia z wąsami! Ha! ha! ha!

Temi wąsami panny Bernardy tak dojechał Kaspra, że się zupełnie uspokoił o wrażenie, jakiego pan doznał.

— Co bo pan takie rzeczy gada! Gdzież kto widział! Co bo znowu! Jakie tam wąsy! — zamruczał Kasper.

— Powiadam ci... wąsy! — zamknął Mondygierd, nadzwyczaj rad, że Kaspra wyprowadził w pole.

Nastąpiło milczenie. Nie można było staremu słudze zataić zaproszenia na niedzielę, wtracił więc zaraz:

— Istotnie kłopot dla mnie z tą Harasymówką... baby sobie rady nie dadzą, proszą, że się oprzeć nie można. W niedzielę dla konportacyi dokumentów jakichś muszę na obiad jechać, no i wynudzić się nad papierami! A, co robić! przyjaźń ma swe prawa!! co robić!

I jak się pan Paweł ożenił.

Kasper ramionami ruszył; Mondygierd zafrasowane przybrał oblicze...

— Kochałem nieboszczyka — dodał — są obowiązki!

Chrząknął sługa tylko, talerz po naleśnikach był już czysty. Paweł piórkiem robił porządek w zębach, napił się wody i wstał. Na tém skończyła się rozmowa.

Po obiedzie w piątek, nazajutrz (który był pośtny, wedle zwyczaju), p. Paweł w ganku drzemał, głowę osłoniwszy chustką i oprócz tego zmuszony ciągle muchom się opędzać, które dnia tego nadzwyczaj były dokuczliwe, gdy Kasper nadbiegł nadzwyczajnie poruszony. Zdala już głośne wykrzyki jego obudziły Mondygierda, po śnie zawsze będącego w złym humorze.

— Czegoż ty się tam drzesz? co ci się stało? Lecisz jak sfiksowany?

— Albo nie mówiłem — wołał Kasper — my z tą Harasymówką pokoju mieć nie będziemy... Niech się pan sztyftuje. Spocząć nie dadzą, tuż, tuż gość z Harasymówki. Chłopcy ze wsi za nim biegną, bo garbatego nigdy nie widzieli.

Porwał się pan Paweł, ścierając resztę snu z twarzy.

— Gdzie? gdzie?

Kasper wpadł już do kredensu, a we wrotach postrzegł gospodarz śmiejącego się i zacierającego ręce pana Fortunata.

Zszedł z ganku do niego.

— Czołem...

— Do nóg upadam.

— Ślicznie pan sobie, czyściuchno cha! cha! miluchno! prawdziwie po kawalersku, cha! cha! się urządziłeś, wioska i folwark jak cacko!

Pochlebilo to Mondygierdowi, który chciał zaraz pochwalić się rowami, ale się wstrzymał przez skromność.

P. Fortunant wszedł do dworku, wychwalając wszystko i unosząc się nad przyjemnościami swobodnego żywota kawalerskiego, co zdumiało gospodarza, dając mu do myślenia, iż p. Grudzki miał towarzystwa sióstr i kuzynki do syta...

Kasper mimo złego humoru, nie potrzebując dyspozycyi nagotował kawę, sucharki, holenderską bieliznę, butelkę węgryzna, nowe łyżeczki srebrne i wszystko, co mogło dom w dobrém świetle okazać. W tych razach, dbały o honor Kasper był nieoszacowanym, a znał miarę i wiedział z taktem przedziwnym, kiedy mógł bez kompromitacyi dać serwetę kolorową, a kiedy białą i cienką. Tymczasem ichmeść już rozprawiali o rowach, których całą historją, poczynawszy od pierwszej idei do ostatniego sążnia wykonania, opowiedział Mondygierd.

Nie omieszkiał dodać, że jeśli Rzpta chlubiła się kanałem Ogińskiego, on mógł stosunkowo rowami swemi być dumnym. P. Fortunat, choć słuchał z atencją, nie okazał jednak tego współczucia,

tėj żywėj sympatyi, na jaką rowy zasługiwały. Co do sążni kubicznych, zdradził nawet nieświadomość grubą, i z tėj strony nie podobał się p. Pawłowi.

Zatarło się to jednak żywą rozmową późniejszą, w którėj tak był zabawnym. miłym i przyjacielskim, tak p. Pawła rozerwał i rozśmieszył, iż odprowadzając go do obijanika, w najlepszym już był humorze. Przypomniął mu p. Fortunat niedzielę i obiad, żeby się nań nie spóźnił.

Z konwersacyi dowiedział się Mondygierd wielu ciekawych rzeczy o pani Zabielskiėj, jėj humorze, dobroci, rozumie, przymiotach, interesach i o nadziei, jaką pokładała w p. Pawle, iż jėj w pomoc przyjdzie światłą radą swoją.

— Ja do interesów się nie zdałem — wyznawał p. Fortunat — mieszczuch jestem, bawić się lubię; muzyką się rozrywam i głowy łamać nad zawiłemi sprawami, nie moja rzecz!!!

Z wizyty p. Fortunata, chociaż przy wieczerzy wywiązało się małe popstrzykanie pana ze sługą, p. Paweł je prędko jakoś załatał, nie chcąc Kaspra narażać sobie, potrzebował jego pobłażliwości.

W sobotę, jak to czasem bywa, kiedy się szkuta z gośćmi rozbije, nadjechał po obiedzie Sawicz.

Ten już wiedział, że Mondygierd był w Harasymówce i umyślnie zjechał, ciekawy powziąć języka, czy myśli Zabielska tu mieszkać, jaka to kobieta, co się tam u niėj święci, co p. Paweł myśli i t. d.

Paweł dyplomatycznie się znalazł. Złożył się małą jeszcze znajomością osób, przybrał ton poważny, kobiety chwalił, Fortunata nacechował, że był człek przyjemny, a co się tyczy przyszłości, bąknął, że to zależy jeszcze od rozpatrzenia się, od okoliczności i — zapewne od jego decyzji; bo był wezwany do rady...

Tój roli opiekuna nadać umiał należną wagę.

— No... słuchaj — przerwał Sawicz — ja ci powiem jedno. Ludzie jesteście, strzeż się ty, kochanie, abyć w Harasymówce biedy nie napytał. Wdowa, kto wie, gotowa cię bałamucić, aby miała na kogo zwalić ciężar interesów, pilnuj się! każ się podkuć na cztery nogi!

— Dajno pokój — rzekł kwaśno p. Paweł. — Ona o tém ani myśli, a mnie znasz!

— Otóż to że cię znam — śmiejąc się zawołał kołtunowaty — tobie tylko okazyi brakło, a dawno byś był pod kobiecym regimentem...

— Proszę ciebie! bez tych żartów!

— W żartach coś prawdy jest — dodał Sawicz — nie byłoby nic złego, gdybyś do Kozłowicz przyłączył Harasymówkę.

— A tak! i znowu kilka tysięcy sążni kubicznych rowów kop! — wyrwał się p. Paweł — daj ty mi pokój.

— Ja ci z własnego doświadczenia dodam jeszcze — zawołał Sawicz — że... nie ma jak żyć po Bożemu, w świętym stanie małżeńskim. Ja codzień

dziękuję przy pacierzach Opatrzności, że mi żonę dala... Dopiero oddycham. Powiadam ci, rejestra, dyspozycye, wszystko co na mojej było głowie dawniej, teraz, ani znam ani wiem. Mogę dwa, trzy dni w kożuchu przy piecu siedzieć i nie wychodzić... Ale, znowu takiej kobiety jak moja ze świecą szukać, bo i do stroju i do łajañ perfekcyja!!

Zmilczał Mondygierd, a rejent który widać potrzebował się wylać na lono przyjaciela, dokończył:

— Wierzaj mi, wszystkie te facecye o stanie małżeńskim, brednie. Starzy kawalerowie przez zazdrość to komponują! to przecie sakrament! a Pan Bóg wie co i dlaczego jak każe nazywać!!

Rozstali się starzy przyjaciele w dobrej komitywie: Paweł tylko niezmiernie ciekawemu Sawiczowi musiał dać słowo, że po bytności w Harasymówce będzie u niego i opowie, jak tam i co postanowiono...

Na niedzielę już przez konsyderacyą należną dniowi świątecznemu, a przytém jako na obiad proszony, wydobył frak granatowy. Jeszcze raz zdjęto z szafy kapelusz dla smutnego przekonania się, że nie było sposobu zużytkowania go, nawet w pomoc wzięwszy karuk i atrament. Blizna była tak widoczną, jak gdyby drną serdeczną p. Mondygierdowi przypomnieć chciała. Jednakże kapelusz znowu npakowany poszedł na szafę, w przewidywaniu, że w Pińsku znaleźć się może artysta zdolny mu przywrócić dawną powierzchowność. Tego kapelusza pan

i sługa odboleć nie mogli, nie był bowiem prawie używany i tak jak nowy!

W czasie ubierania, również jak czasu podróży obijanikiem, pan Paweł nieco ochłonawszy z pierwszych wrażeń, jakie na nim uczyniła pani Zabielska, upokorzony swą wrażliwością z poważniejszym wiekiem niegodzącą się, sam o siebie niespokojny, dawał sobie admonicje ojcowskie. Była to forma przez niego często używana w rozmowach z samym sobą.

— Pawelku mój! — mówił sobie — na rany Chrystusowe, miej ty rozum, pamiętaj na metrykę, nie dawaj się paniom uwodzić i ciągnąć na bezdroża. Zaledwie jedno glupstwo odbolełeś, ledwie się zatarło, już ci pachnie drugie, stokroć gorsze, bo piękna wdowa w oczy ci plunie.

Miłość własna się oburzyła.

— Ale ba! ale ba! — mruknęła z kątką.

— Nie, nie pochlebiaj sobie — ciągnął rozum dalej — co prawda, to prawda. Młodzieniaszkiem nie jesteś, niechże owo fiu bździu raz z głowy wywietrzeje. Po co ci żona i niewola? to nie ma sensu. Konia gdy od ósmego roku nie otargano, darmo go zaprzagać, tak i z tobą. Do jarzma się nie nałożysz, poczniesz wierzgać, ty sobie, jejmość sobie, wojna domowa... Tfu! porzuć.

Żadnych wejrzeń pożądlivych, żadnych uśmiechów przymilających się, żadnych nierozsądnych porywów, żeby mi nie było.

Po téj przemowie rozumu, nie będąc pewien jój skutku, zmieszany swą słabością, pan Paweł udał się po wypróbowaną opiekę do modlitwy i zmówił ulubioną koronkę do Przemienienia Pańskiego.

To go uspokoiło, jak ręką odjął. Powiedział sobie, że niepotrzebnie tchórzy i że głupstwa nie zrobi.

Zamileczym już o innych różnych środkach, jakie obmyślał pan Paweł, ażeby w razie emocyi powstrzymać się i nie dopuścić do żadnych kroków, fałszywemu tłómaczeniu podlegać mogących.

Było około pierwszej z południa, gdy p. Paweł wysiadając z obijanika, znalazł u brzegu wyczekującego nań i drepczącego ze śpiewką na ustach, wesołego p. Fortunata. Pobrawszy się pod ręce, kroczyli ku dworowi, w którego ganku widać było całe żeńskie towarzystwo w toaletach niedzielnych. Zdala już dostrzegł Mondygierd ubranie wdowy, która jakby czyhajac na spokój jego, ustroiła się z zalotnością przechodzącą wymagania niedzielne i zwyczaje wiejskie.

Miała na sobie suknię papuzią wiśniową, jedwabną z różowemi fontaziami i czarnemi koronkami, w której jój było — jak bogini (mówił pan Paweł), trzewiczki haftowane jedwabiami na korkach, włosy ślicznie w górę podpięte i utrzymywane, a z rękawów i koronek ręce wyzierały do berła stworzone (zawsze pan Paweł). Na szyję wdziała kolorowy naszyjnik i z tegoż wyrobione spięcie

w złoto oprawne przytrzymało na piersi wypukłej, osłaniając ją koronkową chusteczkę. Zobaczywszy ją Mondygierd, panny Filipiny ubranéj biało i panny Bernardy ciemno z pasowém, już wcale nie dojrzał — olśniła go; olśniła tém, że wyszła drepcząc na tych trzewiczkach z korkami do pół dziedzińca, i podając mu dziwuój, atlasowój miękkości paluszki do pocałowania, przywitała nadzwyczaj uprzejmie i serdecznie.

Panna Filipina i Bernarda nie uchybiły mu także, szczególnież pierwsza uśmiechnęła mu się przjemnie, ale po uśmiechu jejności, jój ręce jak konfitura słodkie, jej słowa jak miód pierś kalmujących — co to wszystko znaczyło.

W progu już pan Paweł o wszystkich swych w podróży powziętych najmocniejszych postanowieniach zapomniał.

Uczuł nawet, że nie był panem siebie, ale ta czarownica Circe panią jego się stała.

Dobył na jój posługi jak najlepszego humoru i stał się tak nieopatrznie naturalnym, gadatliwym, jakby mu tu nic nie zagrażało.

Po krótkiej rozmowie w ganku, dano do stołu. Gospośia podała rękę gościowi, który doznał emocyi niesłychanej dotknawszy jój i poszli do dużej izby, trochę pustej, w której było nakryto. Gospodyni z góry przeproszała za obiad, bo kuchnia nie została jeszcze urządzona jak należy, i nawet nie dostać nie było można. Pan Paweł nawykłym bę-

dać do tego co mu gospodyni dawała, wcale nie przebierał w potrawach.

Pan Fortunat naprzód poczęstował go wódką gdańską przedziwną i wędlinką na zakąskę, wcale smaczną. Ale jakież było zdumienie, przygotowanego do bardzo skromnego przyjęcia Mondygierda, gdy począł jeść.

Już pierwsza polewka zawieszista, korzenna, tłusta, smaczna, zapowiadała kucharza, który i u księdza biskupa mógł gotować — z dziwu w dziw obiad cały szedł, w zachwycenie wprawiając p. Pawła, który nie pamiętał, żeby kiedy jadł tak smacznie. Po zupie dano paszteciki w francuskiem cieście z mózdzkami, delicje, dalej sztukę mięsa szpikowaną z takim sosem, jakby go aniołowie przyprawiali, dalej była i potrawka z kury z grzybkami i jarzyna z wątróbką i pieczone z indyka i sałata do niego osobliwa, nieodgadniona, wyglądająca niepozornie, a której odjeść się nie było można. Na ostatek dobił budyń z rodzenkami, sos winny — niech go kaci!

Mondygierd w początku uwierzywszy w słowa gospodyni, nadto się sztuką mięsa uprowidował (dla sosu), dalej skusiło go to i owo swym smakiem, a że mu i siedząca przy nim gospodyni dokładała na talerz, pod koniec obiadu uczuł się strasznie ciężkim.

Dodać należy, że z drugiej strony usadowiony pan Fortunat, niemiłosiernie pilnował, aby się gość

czysto ze szkłem obchodził. Więc pili a pili. Wiadoma rzecz, że jedząc dużo, pije się chętnie i dopóki trwa ten proces — idzie wszystko gładko, dopiero kiedy się on skończy, gdy wstać potrzeba i trawić, zaczyna się kara za grzechy.

Przy budyniu już pan Paweł czuł się niepomier- nie obładowanym, i w oczach jakoś było mu nie- zupełnie jasno. Fantazyą nadrabiając, dużo mówił i szło mu niezgorzėj.

Trwożyło go tylko to, że gdy w chwili trawie- nia, wymagającój spoczynku, wypadnie się zająć interesami, może nie mieć umysłu tak żwawego i otwartego, jak okoliczności wymagały.

Trwoga była po niewczasie.

Wstano od stołu, a że zaraz podano kawę, która dla konkocyi jest bardzo zbawienną, dużą filiżankę czarnej kawy wypił pan Paweł i to go na nogi postawiło. Czuł, że był on i jego reputacya ocalona.

Tymczasem prawiono o fatałaszkach, a o inte- resach ani słowa. Na niebie chmurzyć się poczęło, pan Paweł uznał swym obowiązkiem przypomnieć gospodyni, że gotów jest na jój usługi.

Wnet panien reszta rozbiegła się, a p. Fortunat poszedł i przyniósł w dużej chustce związany plik papierów. Zasiadł Mondygierd przy okrągłym stole, wdowa naprzeciw niego, przystąpiono do egzaminu.

— Ja, szanowny sąsiedzie, naprzód ci wyznam — mówiła. szczerząc ząbki wdówka — nie a nie nie

rozumiem się na interesach, a mam wstręt i obawę nadzwyczajną prawników. Popaść w ręce jurystów kobiecie, to znaczy kamień sobie do szyi uwiązać.

Będę z panem otwartą, mojego własnego nie wiele mam, to co po rodzicach zostało, tylko dla Filipiny na posag dać myślałam, że z Harasymówki będę mieć aż nadto. Ludzie mi obiecywali złote góry, kilkaset włók, a tu Bałanowicz grozi, że może na chleb mąki zabraknąć.

Westchnęła pani Zabielska.

— Ja jestem trochę zepsuta — dodała — lubię wygodki, radabym się i ubrać i ludzi u siebie widzieć...

Załamala ręce białe.

— Co tu robić kochany sąsiedzie? — dodała — Bałanowicz mnie przeraża... wiosną, slysze, woda wszystko zalewa, miotlica jakaś zboże głuszy, a tu jeszcze na Harasymówce jest suma do klasztoru w Horodyszezu, dziesięć tysięcy złotych, prowizye zaległe od lat pięciu. Jakims Symonowiczom rękodajnej sumy dwadzieścia tysięcy, Parafińskiemu dwa tysiące, a! czy ja to spamiętam!!

Radź i rozpatrz się, mów... będę posłuszną... bom przestraszona. A! ten Bałanowicz.

Westchnęła w sposób serce rozdzierający, Paweł się namyślił i rzekł poważnie:

— Nie zinkwirowawszy rzeczy do gruntu, trudno, moja mości dobrodziejo, lekkomyślnie fercwać dekreta. A to jedno wiem, że Harasymówka

wieś jest dobra, rozległa, grunta wysokie, urodzaje bywają doskonałe, las nad wodą, dawniej był niezniszczony i dziś pewnie się z niego towarne go coś da wyciągnąć.

Desperować niema czego!

— Ale Bałanowicz! — powtórzyła wdowa i mówiąc to, dwa białe kułaczki położyła na stole przed panem Pawłem, dwa takie białe śliczne kułaczki, że trudno było od nich oczu oderwać. Pan Paweł mijał pasyę do rąk kobiecych, jak wielu mężczyzn (co i my już *ex re* panny Adeli uczuć dali) — otóż w chwili, gdy zobaczył ręce na stoliku, zapomniał o sumie klasztornej, o rękodajnej Szymonowiczów, o Parafińskim, o Harasymówce i wpatrzył się w ręce tak, że pani Zabielska posądziła go, iż chyba coś rachuje mentalnie.

Gdzie tam! człek słaby rachował ileby na każdym z tych palców, zakończonych różowemi podługowatemi paznogietkami, pocałunków się zmieściło. Ciekła mu ślinka, nieszczęśliwy był — posmutniał.

Ocucił się dopiero, gdy wdowa dodała:

— Zapomniałam o najgorszym, wszak i proces jest jakiś ze Skirmuntami.

— Ej to... to jest nic — uśmiechnął się Paweł — ja wiem o nim! trwa lat dwadzieścia, chodzi o wydnięcie piaszczystą na Prypeci... z tego się śmiać!

Wdowa, widać żwawa i w gorącej wodzie ką-

pana, usłyszawszy to, oczy w niego wlepiła śmiało, przysunęła się tak, że poczuł suknię dotykającą nóg jego, i zaczęła:

— Więc, kochany sąsiedzie, krótko a węzłowato, otwarcie, proszę (tu ręki jego dotknęła i ciarki po nim przeszły) — mów co Harasyńówka warta? co ja za nią wziąć mogę? Czy mam ją sprzedać? czy puścić? czy gospodarować samój?

Zarzucony temi pytaniami, pan Paweł otarł pot z czoła, bo go ten exemen, obiadowanie, kawa, ba i oczy wdowy jak ukropem oblewały — zamyslił się.

— Mów, proszę, otwarcie — dodała natarczywie wdowa — mój mąż zawsze mi o panu wspominał, jako o najlepszym swym przyjacielu; kilka razy, już gdy był chory, napomykał, abym mu się z całą ufnością oddała w opiekę.

Tu pochwyciła go za rękę, pan Paweł nawzajem ujął chciwie jój białą łapkę i pocałował, aż się sam zarumienił, z gorącością więcej niż przyjacielską.

Wdowa nietylko, że się nie pogniewała, ale widocznie była rada.

— No, mów, proszę — nalegała siadłszy znowu trochę dalej.

— Wszystko to są kwestye — odezwał się pan Paweł — jakby się wyrazić? skomplikowane, nie łatwe do natychmiastowego *ex spromptu* roztrzygnięcia; jednakże będę *tentował ażali mi się nie

uda uspokoić acanią dobrodziejkę, nie czyniąc jój illuzji.

— Tak! tak! mój dobrodzieju, żadnych illuzji... proszę! — zawołała wdowa.

— Więc przystępuję do referatu — rzekł Paweł odchrzakując. — Primo, co Harasymówka warta? Powiem acani dobrodziejce od siebie rzucając dwakroć, a potargowawszy się i więcej, i więcej. Secundo, czy ją acani dobrodziejka masz sprzedawać, zależy od jój dalszych projektów, ja stoję przy tém, że ziemi się, mając ją, nie powinno sprzedawać. Tertio, czy ją puścić? nie wotuję za tém; ultimo, czy gospodarować samój? jeżeli się nie ma innych projektów i widoków, a dlaczegóżby nie?

Zaś, dyskursywe i zupełnie konfidencyonalnie dodam, a proszę mnie nie zdradzać, Bałanowicza trzeba wyforować, bo to jest drapieżny zwierz. Będzie on płakał, że nędza go je, ale poczekawszy wioskę kupi...

Kończył swój referat pan Mondygierd, gdy razem łysk straszny oślepił go, łoskot ogłuszył, i

— A słowo się stało ciałem! — rozległo z pokojów.

Piorun palnął w ogromną topolę nad wodą i wiosenna burza gwałtowna szaleć poczyniała. Zamykano okna, panna Bernarda wbiegła proponując zapalenie gromnicy, bez której się naówczas dłuższych podróży nie odbywało — wpadł p. Fortunat przerażony, bo jak żyw w mieście burzy takićj nie widział.

Dano tedy pokój náradzie i całe towarzystwo zebrało się w jednym pokoju, czekać aż burza przeminie. Trzeba zaś wiedzieć, że na lasach i błotach, gdy raz chmura zawiśnie nad niemi, jakby ją przykul, trafia się, że dwadzieścia cztery i więcej godzin pioruny się tu wyladowują i strumienie deszczu leją, wracając do błot, z których powstały. W jednej chwili niebo się zaciągnęło płowem, i artylerya niebieska dokazywać zaczęła. Błysk jeden gonił za drugim, grzmot nie ustawał, a wśród huku tego, kiedy niekiedy tylko trzasnęło straszliwie, jakby osie świata się łamały. W dodatku przyszedł grad jak gołębie jaja i nuż walić w dach a okna wybijać. Zaczął się sypać przez jeden komin, tak, że musiano posłać stróża, zrobić choć babę (worek ze słomą, tak nieprzyzwoicie nazywany) i komin zatkać.

Panu Mondygierdowi przyszło na myśl, a nuż ludzie z obijanika kilimbu nie zdjęli, ale tego nie dał poznać po sobie. Co się tyczy okien w Kozłowiczach, o te był spokojny, że Kasper je pozamyka, bo po szklarza, Boże uchowaj konflagracji szyb, trzeba było posyłać do Pińska.

Grad narobiwszy szkody, poszedł na lasy, ale ulewa, niewidziana, niesłychana, opętana, szalona, nie dozwalała nawet myśleć o powrocie, a tu robiło się ciemnawo. Stał wprawdzie parasol za szafą karmazynowy, dobry, fundamentalny, na żebrach ze

trzciny, ale go do obijania nie wzięto. Kto może przewidzieć wszystko.

Lało i lało, pioruny waliły choć rzadziej, ale blisko i potężnie. Kobiety się trochę uspokoiły, kazano podawać podwieczorki, pan Paweł patrzył w okno.

— Piękny interes! jak się tu dostać do domu! Płaszcz Kasper nie dał, frak ryzykować na deszcz było szaleństwem. Sajetę nowiuteńką!

A tu wyraźnie zmierzchało. Niepodobna jest odmalować stanu ducha p. Pawła — posmutniał. Co spojrzy w okna w interwallach rozmowy, leje, ale to leje jak z cebra — a mrok zapada coraz gęstszy.

— Ja bo uważam — odezwała się wdowa — że acan dobrodziej się niepokoisz powrotem. A to daremnie o tém i myśleć. Nieprzyjaciela się w taką ulewę z domu nie wygania!

— O! jak Bóg miły, ja do siebie pana biorę i nocujemy razem, a do poduszki zrobić ponczyk i palce oblizywać! Cha! cha! cha!

Zdetonował się p. Paweł — nocować! ale gdzież znówu.

Począł się jękać, że nawet na dzień jutrzejszy pańszczyzna nie była dysponowana.

Rozśmiał się pan Fortunat.

— To wyjedziesz asindziej do dnia... ale w burzę tę...

— Ale ja nie puszcę! - dorzuciła wdowa z u-

I jak się pan Paweł ożenił.

śmiechem wdzięcznym, nawet rozmowyśmy nie do-
kończyli.

— Już ci ciągle tak lać nie może! — rzekł Mondygierd.

— O! nie — wtrąciła panna Bernarda — bulki
stoja na wodzie, deszcz długi, słowo daje.

Wiedział o tém i p. Paweł co bulki i bąble na
wodzie znaczą, ale zamilkł.

Lało a pioruny wały.

Podano podwieczorek, a po nim znowu nastąpiła
konferencya z panią Zabielską, poufalsza już. Mon-
dygierd obstawał, aby nie marnować Harasymówki,
która z czasem, wybiwszy trochę rowów, stać się
mogła złotem jabłkiem.

— Ale ja sobie rady nie dam sama! — we-
stehnęła wdowa.

— Przecież ja niedaleko, służa acani dobro-
dziejki — rzekł Mondygierd.

Ściśnięto mu rękę, przez wdzięczność ucałował
pałuszki. Sam czuł, że to ustawiczne całowanie było
zbytieczném i — nieprzyzwoitém — ale wstrzymać
się nie mógł. Na podwórzu lało.

Wieczera była skromna, ale znowu tak sma-
czna, szczególnież z sosem do kaszy, że Mon-
dygierd zjadł talerz pełny.

Lało i lało; jeszcze się deszcz poprawił. Da-
wszy dobranoc, poszli z panem Fortunatem spać.
Tu czekały ingredyencye ponczowe do poduszki

i garbus zrobił coś tak smakowitego, że para szklanek poszła niepostrzeżona.

Obok tego, że na ścianie wisiała gitara, a był na niej wirtuozem, siadłszy na łóżku pan Fortunat, jak zaczął różne piosenki wyśmienite wyśpiewywać, co się pan Paweł naśmiał, nie pamiętał kiedy tak był wesółym.

Posłano mu na sofie, ale téż wygodnie, że gdy po ponczu leżał i zasnął, obiecując sobie wstać przed świtem, czy skutkiem ingrediencyi ponczowych, czy zamknięcia hermetycznego okiennicy, gdy się przebudził i postrzegł pana Fortunata na nogach — była już godzina (nie do wiary) dziesiąta.

Desperacya i wstyd zarazem porwał, co najprędzej więc, nie żegnając już gospodyni, tyłami po za dworem, pobiegł po błocie i kałużach do obijanika. Tu się ledwie oblopecz dowolał. Deszcz jeszcze mżył, ale drobny. Fraszka on, ale z Kaspresem przeprawa! nocowanie w cudzym domu! Gdzie? u pani Zabielskiej!! Trzeba się było w męstwo uzbroić.

Gdy po długim kłopotaniu się w wodzie, stanął obijanik u portu, nikogo tu nie zastał.

W deszczyk więc we fraku, bo kilimka zmokłego do okrycia się użyć nie było podobna, w butach na jednej podeszwie karbowanych, zabłoconych, zły, zmokły, wpadł do dworu.

W téjże chwili Kasper wychodził z kredensu, jak sadzia straszny i nachmurzony.

— A ja już myślałem, że pan chyba nie wróci — odezwał się szydersko. — Czekalem po obiedzie. na wieczerzę, o mało niecałą noc... Taż to jedenasta godzina!

— No, to co? to co? Nie mam prawa już prze-
nocować u przyjaciół, żebyś nie gderał...

Kasper uciał nagle.

— A pięknie się pan oporządził, jak Boga ko-
cham — zawołał — buty djabli wzięli i frak! Kto
wie co będzie.

Mondygierd wszedł do pokoju nie słuchając gde-
rania. Gryzło go sumienie. Kasper ulitowawszy się
mruczał tylko, lecz twarz jego mówiła wiele. W isto-
cie mógł Mondygierd znaleźć środek, bo Balanowicz
miał parasol granatowy, znany aż pod Pińsk i byłby
go pożyczył, ale to mu teraz dopiero na myśl przy-
szło. Po czasie.

Przez cały dzień, jak wyrzut sumienia miał frak
leżący i wysychający w jednym pokoju, gdy w dru-
gim na prawidła wbite buty się rehabilitowały.

Z Kasprem o Harasymówce mowy nie było.
Rzucał on wejrzenia tak kommizeracyjne na pana,
jakby go za zgubionego uważał...

Kilka dni przeszło spokojnie i bez wiadomości
od pani Zabielskiej.

W rozbiór stanu duszy i serca naszego sta-
rego kawalera trudno jest się zapuszczać. Sam
on nie zdawał sobie jasno sprawy z uczuć swoich.
Extra mu smakowała wdówka, a bał się jęć jak

ognia. Cieszył się, że przez kilka dni nie było żadnej wiadomości i że mu pokój dano, a razem doznawał jakiejś przykrości, że go już nie potrzebowano. Jechać sam nie chciał, miałoby to znaczenie, pragnął być pożądanym i powołanym. Nie dawano znaku życia.

— To i lepiej! -- mówił sobie, a zaraz dodawał — osobliwa rzecz, tak jój było pilno się radzić, ledwie słowo rzekł, nie rozwinawszy nawet racyi pro et contra, papiery nierozpatrzone i — milczenie.

Trafił na tę myśl, że się jój może rada nie podobala.

— A to znowu trudno, człowiek sumienie ma!!

Ale niespełna w tydzień przybył Fortunat, taki serdeczny jak był, opowiadając żartobliwie, że jechali do Pińska, dla zobaczenia wiwna na łańcuchu, że ta podróż im czasu dużo zabrała i że siostra go zaprasza dla interesów.

— Asindziej bo — dodał przy kieliszku poufale — słowo daję, takeś się siostruni podobał, że ja się z niej śmieję...

Zaczerwienił się strasznie pan Paweł i tylko baknął:

— Ale, mój moci dobrodzieju!

A Fortunat jeszcze przyłożył, że nie widział Hermancyi, żeby tak kogo faworyzowała i miała w nim ufność jak w panu Pawle. Wypili z nim butelkę wina i Mondygierd przyrzekł się stawić nazajutrz po obiedzie. Nie wiadomo jakim sposobem

się to złożyło, zastał tylko Fortunata i wdowę, panny z całym fraucymerem i dziewczkami z folwarku puściły się dnia tego na grzyby. Fortunat zaś absentował się co chwila, jak się zdaje czatując na młodszą Bałanowiczównę, wcale przystojną panienkę, do której się po warszawsku zalecał. Stary Bałanowicz, lis wielki, zamykał na to oczy w nadziei, iż przez Basię wyrobi sobie utrzymanie się na zachwiałym nieco urzędzie.

Dosyć, że Paweł z wdową był prawie sam na sam, całe poobiedzie. Mówiono pryncypalnie o interesach, ale dyskursywe i różne inne materje się potraçały.

Więc, gdy przyszło do utrzymania się i gospodarowania w Harasymówce, p. Paweł się z tém odezwał, że — acani dobrodziejka w swych latach i wdziękach długo wdowę pozostać nie możesz, bo się do zbytku pretendentów nadarzy.

Wdowa się poczęła śmiać, położyła mu rękę na dłoni i rzekła:

— Juźcić mi się szalaputów trafiało co niemiera, to prawda, ale ja świszczypałków nie lubię. O! ja jestem bardzo trudna, wierzaj mi acan dobrodziej. Pretenduję, gdybym za mąż iść miała, człowieka z sercem i charakterem. To pryncypalne. To się niełatwo trafia, nie mówiny o tém.

A kończąc spojrziała na pana Pawła tak przyjemnie, że mu się zrobiło błogo, zadumał się i popatrzwszy na jéjmość, umilkł...

Przy téj konferencyi zdawało mu się wszystko wyczerpaném; a jednak żegnając sąsiada, wdowa mocno się dopominała, aby ją nie opuszczał i zamawiała sobie jego opiekę.

— Już choćbyś asińdziej nazwać mnie miał natrętą, niežnośną, czepiam się go jak mojego jedy-
nego protektora... i nie puszcze!

Słowa te z lubością powtarzając sobie pod poklatem obijanika, wrócił pijany niemi do domu p. Paweł: aż Kasper przy wieczerzy ze złośliwością wielką syknął:

— Coś par bardzo na fis bierze, czy nie myśli o przyłączeniu Harasymówki do Kozłowicz.

Ale na to jak mu bryznął obcesowy Mondygierd:

— Nie bądźże ty k.... proszę ja ciebie!

Kasper umilkł jak zamalowany.

W parę dni przypomniał sobie p. Paweł, że rejentowi obiecał się z raportem o Harasymówce. Miał czy nie intencję wypowiedzieć mu się szczerze, ale pojechać jużcić trzeba było.

Ruszył tedy ze Stasiukiem drogą lądową i z przyjemnością postrzegł na ganku koltunowatego, który drzemał. Zdawało mu się, że miał miny tak nadzwyczaj szczerzej, jak gdy się chwalił przed przyjacielem ze swego małżeństwa.

I w istocie był kwaśny. Od trzech dni żona jego wyjechawszy do ojca do Sernik, siedziała tam nie wiedzieć czego. Rejent był zły, gdyż nie tajno było nikomu, że rejentowa tam na lat trzy przed

wyjściem za mąż miała amanta, który się żenić zamyslał, ale zaszły plotki i romans rozerwały. Otóż Sawicz posadzał żonę o reminiscencye wcale niesłusznie, gdyż owego pretendenta nawet w Sernikach nie było. Tego więc dnia stan małżeński w inném świetle poczał przedstawiać przyjacielowi. Było to męczeństwo i — zgaga.

— My, stare graty, mój dobrodzieju. żenić się nie powinniśmy. Djabel nie śpi, a gachom takich mężów potrzeba. Oni na to jak na lato.

Pan Paweł nie miał nic przeciw aksjomatowi, ale „my stare graty” oburzyło go. Nie czuł się wcale starym! Ale ba!

Gadu, gadu, podano nalewkę, bo rejent, szczególniej malinową lubił, aż kołtun nagle, słuchając o Harasymówce, wybuchnął:

— A no! ba, byłbym na śmierć zapomniał; ta to interesa mam do ciebie. Zbiera się tu na jedną rzecz, do której ty nam jesteś potrzebny. Zabielska była w Pińsku, tam ją zobaczył Symonowicz. który ma kapitalik lokowany na Harasymówce, wdowa mu w oko wpadła... chce się starać. Ty mu musisz dopomódz.

Jakby go ukropem zlał, poskoczył Mondygierd.

— Człowiecze! co gadasz! — zawołał — a daj ty mi święty pokój. A to mi się podoba! Wiesz czy nie, że nieboszyk na łożu śmiertelném powierzył wdowę mojej opiece, a ja ję mam Symonowicza swatać!

— Fiu! fiu! fiu! a cóż to Symonowicz? cóż mu to braknie?

— Wiatrogon, pusty człek, palkę zalewa i na nic się nie zdał! — wyrwał się gwałtownie Paweł. — Przy kielichu ja go lubię, ale kobietę za niego dać! Nie znasz jego awantur?

Rejent się schmurzył.

— Co bo bierzesz tak gorąco! Szalał to się ustatkuje! Chłopak do rzeczy, chłopiec wioskę ma, no i kapitalik... i do rzeczy jest, światowy! Zabawny...

— A już ty mi nie gadaj! — zawołał p. Paweł — niech się sobie stara, niech się sobie żeni, jakem żyw, pomagać mu nie będę... nie będę!

— Chandra cię napadła! — mruknął rejent — nie irytuj się, dajmy pokój!

Pan Paweł się nierychło uspokoił, później przyszedłszy do siebie, choć na pozór chłodny, czuł się tak zburzony, że wcześniej do Kozłowicz powrócił niż sobie obiecywał. Przez całą drogę myślał, jak Symonowiczowi stołka podstawić, jedynie przez sumienie, przez obowiązek przyjacielski...

— Ja tam sobie pretensyj żadnych nie roszczę i projektów nie snuję, ale żeby taki z pozwoleniem, błazen, miał taką kobietę wziąć, niedoczekanie! Ja go zdemaskuję! obowiązek sumienia, więcéj nic... jak mi Bóg miły, więcéj nic!

Tak się to mówiło, ale coś więcéj było niż obo-

wiązek sumienia. P. Paweł czuł, że zaszcłapał, choć się do tego przyznać nie chciał przed sobą.

Gdy Kasper przyszedł mu zdajmować buty, Mondygierd się do niego odezwał po staremu konfiden-
cyonalnie :

— Będziemy mieli sąsiada! he! Ta to słyszę Symonowicz myśli się starać o wdowę.

— Który Symonowicz?

— A starszy! Ten wisus! No, wiesz. I ja ci powiem w co bije, mają sumkę na Harasymówce, pozwą o nią, wdowa gotówki nie ma, kawaler się nastreczy, a ma prezencyę... no! i babę lichozwiele!

— Albo to ona nosa nie ma! — odpar Kasper. — Co panu się o kobietę turbować?

— Ja się nie turbuję! — wyrzekal się Paweł — wcale się nie turbuję.

— Da ona sobie rady! — dodał Kasper — ludzie o niej mówią, że nieboszczyka za nos wodziła jak chciała. Umie wpędzić i opytać i wybrać i wie co robić.

— A jak Symonowicz kapitału zażąda?

— A co bo jegomości w głowę, to utrapienie wlało! Odżegnaćby się... Co nam do niej.

— Co? — odparł Mondygierd — otóż chyba nie wiesz, że na łożu śmiertelném, mój drogi, kochany Zabielski oddał mi ją w opiekę.

Kasper ruszył ramionami.

— Tego tylko brakowało! — rzekł i wyszedł.

Tu nam wypada coś powiedzieć o panu Piotrze Symonowiczu. dziedzicu części wioski w Zagrzeziu. Był to młodzieniec lat trzydziestu kilku, który trochę, po ojcu chcąc iść, palestry próbował, ale szczególniej praktykował przy kieliszkach i na polowaniach. Wesół był. wyglądał junacko, nosił się kuso, tańczył sławnie, handlował końmi i hulał. Nie mu oprócz tych kawalerskich defektów zarzucić nie było można. Lubiono go, ale gdy się starał o starszą podsędkównę, ojciec mu odpowiedział:

Dalbym ci ją, aleś się jeszcze nie wyszumiał, a ona czekać nie może. Jeżeli się ustatkujesz, a młodsza tymczasem dorośnie, to ją weźmiesz. Teraz, kochanie, nie ma sposobu.

Pocałował go w głowę, on go w rękę, i tak się wesoło rozeszli.

Fortuna Symonowicza pół wsi w Zagrzeziu była bardzo szczupła, podpierać ją miał ów kapitalik na czarną godzinę zostawiony. Uśmiechało się Symonowiczowi razem przyjsć do Harasymówki za kapitał, a w procencie dostać żonę, jak on sam mówił po junacku. — Choć się w pyski bij przed nią!

W Pińsku, z racyi owój sumy poznał się z panią Zabielską, zaraz mu ta myśl przyszła do głowy i chwycił się pana Fortunata, żeby go sobie zjednać. Swoją swego poznał; jednego wieczora zrobił p. Fortunat ponczyk, drugiego Symonowicz zaprosił na wino. Spili się doskonale, a że przyjaźń po pijanemu wiąże się łatwo, pokumali się serdecznie.

Symonowicz pistolety tureckie darował na zadatek drużby Fortunatowi, ten łańcuszek od zegarka złoty i sepecik wysadzany.

Postanowiono było, że Symonowicz miał przybyć, niby dla swojego interesu do Harasymówki, ale się sztyftował aby wystąpić i kazał sobie szyć bardzo bogato sznurami i pętlcami ozdobną tarcatkę z jakimiś figlami. Panu Pawłowi że o tém nie nie mówiono, nietylko że się dziwił, ale był prawie zły.

— Taki ze mnie opiekun! — mówił — tu niebezpieczeństwo grozi, a przedemną wszystko taja. No, to chyba kwita i z opieki i z przyjaźni! Ja się nie nabijam, ale słowa prawdy że powiem ustępując, to powiem. Ja ręce uniję!!

Pocziwy pan Paweł tak jakoś tę sprawę wziął mocno i gwałtownie do serca. tak się nią rozgrzał, że w niej widział (choć jeszcze się nie rozpoczęło) osobistą urazę, bo czemuż się go nie poradzono? dalej niebezpieczeństwo z takiego sąsiada niespokojnego dla Kozłowicz, sumienny obowiązek zapobiegania zgubie uczciwej kobiety i wiele innych konsyderacyi. W gruncie jednak szło podobno o to tylko, że fertyczny Symonowicz miał mu śliczną wdówkę pochwycić, której on też gorąco pożałował.

Ponieważ rejent bąknął coś, że się Symonowicz sztyftował wystąpić strojno w Harasymówce, p. Paweł też zwrócił uwagę na to, że jego garderoba, chociaż mało używana, mogła wymagać pewnych

dopełnień i odświeżenia. Potrzeba było przystąpić do surowego jój przeglądu i sumiennój krytyki. Ale co na to miał powiedzieć Kasper.

— A niech go kaczki depczą! — zawołał w ferworze wielkim Mondygierd — będzie mi táfry stroił i gderał, no... to kwita z przyjaźni i fora ze dwora.

Wyrzekł to gorączkowo, nie zastanawiając się nad tém, że rozstać się z przyjacielem takim nie było łatwo. Czasem gdy Kasper wybrał się na toki i wieczorem go nie było, a chłopak kredensowy buty mu tylko przychodził zdejmować; mała rzecz! a za Kasprem się stękało, bo nikt tak nogi podstawić, buta ująć i jednym zamachem go zdjąć nie potrafił jak on. Cóż dopiero w innych rzeczach!!

Rywalizacya z Symonowiczem, który szyć sobie kazał taratatkę, zdecydowała krok stanowczy. Rano nazajutrz przy kawie pan Paweł rzekł tym głosem, który nie dopuszczał repliki:

— Słuchajno Kasper... potrzebuję zrewidować garderobę, nie mam się w co ubrać...

— Kasper stanął osłupiały.

— Pan Jezus przy dziecięciu! otóż co? — zapytał. — Pan, pan się nie ma w co ubrać? Szafy pełne, komoda, kufer, a panu tego jeszcze mało.

— Mało czy dużo, odzienie się postarzało, ludzie inaczej chodzą, rozumiesz. *Sic volo, sic jubeo*, kwita! Rewizya generalna garderoby! Słyszysz!

Ruszał ramionami Kasper, jakby nad obląkaniem jakimś ubolewał; wyniósł kawę. Tymczasem Paweł chodził wielkimi krokami po pokoju. Czekał na powrót jego. W pół godziny zjawił się, ocierając usta po śniadaniu, w humorze jakimś wesołym, srydezskim, niemal obrażającym.

— Rewizya jeneralna garderoby! — zawołał Paweł rozkazująco.

Szli milczący do sypialni, Kasper otworzył szafę. Na dole jęj stało obuwie, którego wyłączyć nie godziło się, na przekór więc rozpoczął od wystawienia na światło dzienne całego szeregu butów. Upiory z grobu wstały! Były tam buty ze sztylpami niegdy żółtemi, które się stały plamiste, buty myśliwskie do pasa niemal, trzewiki ze sprzążkami, buty ze spiczastemi nosami karbowane, juchty gospodarskie, kozłowe ranne i wytarte szlafrokowe, pąsowe, haftowane, w prezencie niegdy ofiarowane Mondygierdowi. Rozmaity ich kaliber, fizyognomie, ślady używalności, na niektórych pęknięcia, łaty były żywą historią lat długich... Niektórych cholewy jak znużone schylały omszone pleśnią głowy, zdając się usypiać po pracy, na innych mnogie złamania i marszczki stały jak znamiona starości, trzewiki prawie nieużywane bolały pod poniewierką, w jaką poszły pogardzone. Kasper posłyszawszy o rewizyi jeneralnój, dobył wszystko, aż do starych pantofli, które miały téż przywiązaną

do nich legendę, o powstaniu w pewnej chwili kaprysu ze starych butów.

Pan Mondygierd zniósł satyryczne wystąpienie z cholewami, ze stoicką krwią zimną.

Poczęło się zdejmowanie z kołków od taratki. Musimy uczynić tu uwagę, iż pan Paweł ze starymi przyjaciółmi, czy oni byli z nankinu, sukna, czy olepinu, czy ze skóry, z trudnością się rozstawał. Dziurawe nawet i łatane rzeczy zachowywał mówiąc:

— Niech to sobie będzie! co to komu szkodzi?

Taratka miała wiek nader poważny, pochodziła z tej epoki, gdy p. Paweł nie rozrósł się był, nie rozwinął. nie zgrzebiał. a że oprócz tego wiążąc długo nieco się zbiegła, dziś ona już nie na wiele się przydać mogła. A że była suto nazywana, sznurami ozdobna, niegdyś elegancka. choć jedwab na niej zrudział miejscami, a szmuklerszczyzna wytarta do podkładek. tu i ówdzie bieląca.

Wszelako, ponieważ Symonowicz się zapowiadał w taratatce, zwróciła ona szczególną uwagę p. Pawła.

— Pokaż no! cale nie zła! — odezwał się — daj no ją tu.

Kasper się wysunął w obu rękach ją trzymając. Mondygierd zrzucił siwy kubrak i żywo wciągając począł to wspomnienie lat młodych.

Niestety! ręce nie chciały już wchodzić w rękawy. Zbutwiała podszewka ze złowrogim chrzę-

stem jakimś pękała, a gdy na gwałt wdział ją pan Paweł, nie schodziła się na przedzie, nie spinała na piersiach.

— Pan, jak Boga kocham, wyrósł — prychnął Kasper.

— Gdzie tam, to ta głupia się zeschła czy kat ją wie — odparł Paweł.

Odrzucono ją na stronę. Surdut granatowy okazywał mnogość plam wywabionych trędowacizny i brakło mu pary guzików, czarny na łokciach był wyslizgany, z fraków dwu, granatowy świeżo szwankował, czarny krojem jakoś do obecnych czasów się nie nadał. Z kamizelek wiele było w stanie oplakany, inne kończyły się tak wysoko, iż z odzieżą po nich następującą w zgodzie nie były. Wszystkiego było dosyć, nadto, ale surowy sędzia p. Paweł w duchu musiał wyznać, że fundamentalna restauracja garderoby była wskazana przez sytuację, w logice wypadków.

— Już ty tam sobie gadaj co chcesz — odezwał się do milczącego Kaspra — to są... to są rupiecie. Póki nikogo w sąsiedztwie nie było, uchodziło i tak, a no, teraz nie można!

Nie... tak się dłużej ostać nie może! — dodał chodząc wśród rozłożonej garderoby pan Paweł. Przyszła mu myśl szczęśliwa zawarcia ust Kasprowi, oczyma wyszukał co było najgorszego, najmocniej zdesperowanego, wybrał to i rzucił na ręce Kaspra.

— To dla waszeci!

Skłonił się obdarowany.

— Ale, słuchajno — dodał, korzystając z ułagodzenia sługi — co człowiek musi, to darmo... *Kruty ne werty, treba umerty*, także i to. mospañie, muszę coś sprawić, a jeśli nie sprawić to poprawić. Duchem przez Dropia do Pińska nakazać do Icka krawca, ażeby się tu stawił. Już jeżeli nie Icek to nikt.

— Pewna rzecz — potwierdził Kasper, myśląc i o sobie — że Icek i wie i umie, i *chytro, mudro*, potrafi ze starego nowe tak zrobić, że ani poznać.

— Otóż to jest, bo znowu nadzwyczajnych wydatków nie chcę ponosić, byłoby to głupstwem — dodał Mondygierd.

Pochowajże ty to wszystko, a po Icka niech Drop` jedzie i powie, żeby z sobą zabrał co potrzeba do roboty, jedwab, nożyce i żelazko.

— Jednakowoż się nie obejdzie bez powtórnego posyłania — wtrącił Kasper — boć on nie wie jeszcze, co ma robić, a i do szmuklerza będzie trzeba, i bez podszewek nie wywinie my się, a na kołnierze mانشعترu, a guziki, a...

— No, to pojedzie na szabas do Pińska i powróci w niedzielę.

Stańeło tedy na powołaniu Icka. Był to artysta w Pińsku najlepszej i zasłużonej sławy używający, czy wypadało robić — z nowego — czy stare nowém uczynić. Szczególny zaś miał talent w swych klientów wmówić, że to co zrobił, ani w Warsza-

I jak się pan Paweł ożenił.

wie lepiej nie mogło być wykonaném. Chwalił się, że miał wiadomości zawsze o najświeższych modach. I nie kto inny mógł szyc ową taratatkę dla Symonowicza, bo w węgierkach i taratatkach Icek był szczególniej mocnym.

Choć panu Pawłowi śpieszno było do Harasymówki, lecz postanowił nie pokazywać się tam aż do odnowienia, choćby częściowego garderoby.

Przywieziono Icka, który choć znał oszczędność, drobnostkowość, nudziarstwo pana Pawła podszyciego Kasprem, lubił tu robić, bo koniec końcem wytargowawszy się do upadłego, wziął zawsze więcej niż gdzieindziej. Mondygierd z wielką polityką nie okazał Ickowi, ażeby mu było tak bardzo pilno garderobę restaurować, nie dał nadewszystko poznać żadnego radykalizmu przekonań, począł flegmatycznie.

— Trzebaby tam, mój Icek, rozpatrzyć się w garderobie, bo wiele rzeczy leżąc się zdezelowało, tam i siam czegoś brak... hm!

— Ja bo się dawno dziwuję, że jasny pan tak indyferentny — rzekł Icek — przecie człowiek ubrawszy się, zaraz inaczej wygląda, a chwalić Boga, pan jeszcze młody i przystojny. Niech pan żyje sto lat!

Podniósł jarmułkę — mruknawszy coś poprowadził Paweł do szafy. Nastąpiła rewizya powtórna.

— Tylko proszę cię Icek — rzekł, po ramieniu go klepiąc p. Paweł — ty mnie znasz, ja zbyt nich wydatków nie lubię, co potrzeba! rozumiesz.

Wyszła na okaz pierwsza owa taratotka, żyd ogłądał w milczeniu.

— Hm! — rzekł p. Paweł — jeszcze nie zła, zbiegła się trochę!

Icek głową kiwał, niewiele czyniąc nadziei.

— Co mówisz? ja powiem ci, życzyłbym sobie mieć piękną taratatkę. Może dobrawszy cośkolwiek sukna? hm? Kazawszy szmuklerzowi odświeżyć potrzeby? hm? Jak ci się zdaje.

Icekowi się nie zdawało, głową kręcił.

— Nic z tego taratków nie będzie, nie — rzekł w końcu.

— A gdyby z czarnego surduta — zdejmując go z kołka — zrobić nową taratatkę? co mówisz?

Icek ogłądał surdut, kłapy były sosami poszpcone, wskazał na nie.

Toby się przecie potrzebami zakryło — westchnął Mondygierd.

— To jest kiepski kałkułacyi — odezwał się Icek. — Takiemu panu, jak jaśnie pan, to nie przystoi. Z surduta, jak ja jego wezmę po swojemu, jak ja jemu dam podszewkę, jak ja jemu wpakuję kołnierz, nowe guziki, jak wyprasuję, jak wychucham, to będzie nowiuteńki, piękny, na niedzielę i święta, a taratków, mam życzyć jasnego pana? zrobimy nowego. Pan zna pana Piotra Symonowicza? Coby pan jego nie znał? Ja jemu uszył takiego taratutki. świat i korona polskie nie wi-

działa? Czemu jaśnie pan nie może mieć to, co ma pan Symonowicz? albo jeszcze lepsze?

Pan Paweł wziął go za rękę.

— Słuchaj Icek, zgoda, niech będzie nowa, ale taka jak u tego blazna Symonowicza, żeby nie była! Ty to rozumiesz! Co Symonowicz, to nie ja! To szalawiła, wiercipięta, szalaput, a ja człowiek stateczny... Owszem, taratatkę chcę mieć, ale taką, jaka mnie przystała. Nie pożałuję na nią. Ale mi zrobisz inną i piękniejszą!

Icek w rękę uderzył.

— Co nie ma być? wszystko będzie! — zawołał

— Tylko bez zdzierstwa!

— Pan mnie zna, ja człek sumienny — odrzekł na płask rękę szeroką przykładając do piersi Icek — pan mnie zna! Ja... u mnie rzetelność! to jest mój majątek. A że mnie pan, jak się dobrze skończy robota, da ćwiartkę pszenicy prezentu, to ja wiem!

— O, zaraz pszenicy! — zawołał Paweł — widzisz.

— I korzec grochu — dorzucił Icek.

Mondygierd wziął się za głowę. Tu tedy wystąpiła kreda na płac i rachunek, ile to będzie kosztować.

Spuścmy zasłonę na tę walkę, choćby dlatego, że nasz bohater, któremu się zdawało, że bitwę wygrał, na głowę w nią został porażony. Oba spotnieli. Icek ochrypl. Szmuklerska robota, która miała stanowić główną ozdobę taratutki, była najkosztowniejszą, ale Icek, Icek musiał ją zamówić

u szmuklerza, a ten był nieublaganym, bo jedynym na cały Pińsk. Za to obowiązywał się dopilnować jedwabiu czystości i niektórych sztuk dodatkowych, dla ewentualnej restauracji tych miejsc, które w taratatce ulegały najprędzemu zniszczeniu.

Stało na tém, że do niej miał też być cały garnitur nowy, a reszta garderoby zrestaurować się tylko i do nowój zastosować mody.

Odetchnąwszy wzięto miarę

Na ostatek szło o to, że p. Paweł (co zdumiało Icka mocno), chciał mieć garnitur ów jak najprędzej, choćby przyszło i nocy zachwycić nad robotą. Dlaczego? Pan Paweł nie tłumaczył. Tegoż dnia starozakonny artysta wyruszył nocą do Pińska po materiały; taratka obiecywała się za dni cztery, jeżeli szmuklerz nie chybi. Kazano mu dać termin prekluzyjny pod sztrafem.

Gdy po tej gorącej przeprawie z Ickiem, siadł wytchnąć p. Paweł, gdy obliczył co go ta fantazja miała kosztować, począł sobie wyrzuty czynić i posmutniał. Zgryzoty przychodziły za późno.

Cztery dni owe w gorączkowym przeszły niepokoju. Nieustannie kogoś, po coś trzeba było posyłać do Pińska, najczęściej Dropia, potem, bo to żydowi nigdy wierzyć nie można, przy krajaniu stał sam pan Paweł, ażeby i kawałki zrekognoskować, przy robocie prawie nieodstępnie siedział Kasper, a Icka z czeladnikiem trzeba było i poić i karmić. I co wyszło jaj, cebuli, słodkiej wódki, kugla od

areńdarza, ryby, łokszynów, trudno zliczyć. Naostatkiem spróbował p. Paweł taratunki jeszcze niewykończonęj przy Kasprze i przy lustrze. Icek się zachwycał, leżała jak ulana. Mondygierd wyglądał w nięj inaczej, młodszym i zuchowatszym. Uśmiechał się do siebie, gładząc włosy. Fastrygi z białych nici nieco efekt ogólny psuły, a jednak — taratunka była wspaniała, majestatyczna, i choć w pachwiach trochę kasała, Icek ręczył, że inaczej to nie może być, by leżała elegancko!

Kasper ruszał długo głową, podziwiając kunszt Icka, który był z siebie bardzo kontent.

Czwartego dnia późno wprawdzie, sznury były umocowane, baryłki poprzyszywane i taratunka gotowa, choć czuć ją było mocno ostatnią wieczera pracowników i musiano ją przez noc wywiesić wieńczyć...

Nazajutrz wybierał się Mondygierd do Harasymówki.

Kasper ujęty, skorrumpowany tém, że nietylko dostał podarek z garderoby, ale surdut własny na koszt pański ozdobił mانشستrowym kołnierzem, nie mówił nic.

Niemniej widział jasno na co się zanosilo — a! co miał robić!

Resztę robót wzięli z sobą krawcy do Pińska, a oprócz tego powierzył Ickowi do wiernych rąk pan Paweł skałeczony na weselu kapelusza, który miał być w Pińsku odnowionym. Kasper, gdy pan

jego szedł wystrojony do obijanika, krok w krok stapał za nim, jedynie dla nasycenia się jego ubraniem. Rzeczywiście wyglądał stary kawaler wcale przyzwoicie, jedno mu tylko zarzucić było można, iż o nowém odzieniu zbyt pamiętał i niepokoił się o nie.

Nie dochodząc do dworu w Harasymówce, śmiechy i ożywiona nader rozmowa nieprzyjemnie uderzyły Mondygierda. Był już najpewniejszym, że Symonowicza zastanie.

Towarzystwo w istocie tak się dobrze zabawiało tym gościem, że nie postrzegło przybywającego aż wszedł i do ucałowania ręki gospodyni przystąpił.

Piękna pani Zabielska miała rumieńce na twarzy, uśmiech na ustach, śmiała się blada panna Filipina, prychała panna Bernarda, Fortunat siedział z gitarą na kolanach, a Symonowicz tuż przy gospodyni.

Mijając go zmierzył oczyma taratatkę pan Paweł — ale gdzie, do jego ani się umywała.

Symonowicz z nadzwyczajną uprzejmością i nadskakiwaniem począł za ręce ścisnąć przybyłego, skoczył doń i p. Fortunat podśpiewując jakąś piosenkę osobliwą:

Przy kobiecie
Na tym świecie,
Tylko raj!
Kochać wiecznie
I statecznie,
W to mi graj!

Towarzystwo tak jakoś rozochoczone, nie podobało się Mondygierdowi. który przesadzoną powagą chłodną okazać się to starał.

Pan Fortunat i Symonowicz byli widocznie po obiedzie i podchmieleni, gość miał już minę tak spoufaloną, tak zuchwałą, iż aż nadto go znajdował p. Paweł przyswojonym.

Wyśmienity humor dowodził, że z przyjęcia był szczęśliwy. Nie ustąpił śpiewający i chichoczący pan Fortunat od natychmiastowego utraktowania winem przybyłego.

Tymczasem wdowa go spytała, dlaczego tak o niej zapomniał.

— A, moja mościa dobrodziejko! — odparł zagadnięty — zawsze służeczka jój, i na ordynans, ale naprzykrzać się nie chcę. A pani dobrodziejce na weselszych niż ja gościach, widzę nie zbywa.

Spojrzała nań z uśmiechem p. Zabielska, jakby myśl zazdrosną odgadła.

Pan Fortunat właśnie był odwiódł na stronę Symonowicza i tam czegoś pocichu szepcząc, śmieli się do rozpuku.

Wdowa pochyliła się niemal do ucha p. Pawłowi, z minką bardzo wdzięczną.

— A ja właśnie mocno pragnęłam pomówić z kochanym sąsiadem. Tylko nie tu — dodała — nie tu! Wypij asindziej wino dla konkokeyi, to nigdy nie szkodzi. Gorąco straszne w pokoju, możebyśmy wyszli trochę do ogródka.

Mondygierd pospieszył spełnić duszkiem, uśmiechał mu się ogródek.

Nadzwyczaj zręcznie, jak to kobiety umieją, naprzód niby po pokoju z p. Pawłem się parę razy przeszedłszy, potem ot tak — przypadkiem wyciągnęła go na ganek, a z ganku do tego, co się ogródkiem zwało.

Niegdyś to musiał być pewnie ogród, bo w nim siedziało lip kilka i zdziczały agrest tu i owdzie niby kwatery oznaczał. ale czasu bezkrólewia Bałanowicz sadził tu kapustę a jejmość cebulę i te dotąd uzurpowane terytoryum załęgały. Ścieżki były wąskie i wydeptane tylko. Starój jabłoni sterczała połowa z boku i smołanka uschła konary obnażone podnosiła z drugiej strony. Zdziczałe to było i smutne.

— Wiesz acindziej — odezwała się schodząc z ganku — trzeci dzień Symonowicz tu siedzi. Formalnie się począł załęcać.

Spojrzała mu w oczy, jakby pytając: Co mam począć?

P. Paweł kołnierzyki poprawił, zmilczał nieco.

— Cóż acani dobrodziejka na to? — rzekł poważnie.

Ruszyła ramionami.

— To sekatura dla mnie — odezwała się zwołna — nie wiedzieć co robić? Lękam się go z powodu téj sumy, a...

Paweł ręką machnął.

O sumie acani dobrodziejka nie masz co my-

śleć — rzekł — niech ona w żaden rachunek nie wchodzi. Gdyby nawet, czego nie uczyni, pozwał, sprawa się przeciągnie, wreszcie Harasymówka przeciążona nie jest długami, kapitalik dla eliberowania się znajdziesz acani dobrodziejka.

P. Zabielska popatrzyła nań.

— Ale czy znajde?

— Najpewniej — odparł Mondygierd.

Tu mu się nastęrczała zręczność właśnie ostrzedz kto i co zacz był Symonowicz, ale materya zdała mu się delikatną. A nuż wdowa poweźmie suspicyę, że on sam ma jakieś intencye? Tego sobie nie życzył, był bowiem w tém stadyum jeszcze, że i chciał i lękał się i gotów był i trwożył, i korciła go wdówka i następstwa nieobliczone nabawiały febry...

Radby był, przez sumienie, odpędził Symonowicza, a sam chciał jakiś czas jeszcze lawirować. W Harasymówce będąc, patrząc na jejmość w myśli szedł z nią z zawiązanymi oczyma do ołtarza, wróciwszy do Kozłowicz wzdrygał się na szaleństwo własne.

I w dodatku jeszcze harbuza wziąć! myślał — a! co to... to nie!!

Była więc bardzo delikatna materya.

— Nic nie mam przeciwko panu Piotrowi Symonowiczowi, człek no, niczém się nie splamił. Co prawda, prawda... ale wiater, wiater, lekkosz, tego... te... hm, młokos... tego...

Ramiona i ręce dokończyły.

— Jać to widzę sama! — westchnęła wdowa. — Fortunatowi przypadł do serca, ale bo i ten pocziwy balamut straszny. Chłopak zabawny, wesół, pocieszny.

P. Mondygierd patrzył na uschlą jabłoń, milczał.

— Ja tylko jedno acani dobrodziejce powtórzyć mogę, niech ją ta sumka nie trwoży.

Uderzył się po taratatce, a ręką jęj dotknawszy przypomniał sobie, jak powinien był obchodzić się z nią z respektem.

Wiadomą bowiem powszechnie rzeczą jest i długoletnią experyencyą wypróbowaną, że gdy się odzienie pierwszy raz włoży i splami, jest to *omen* jego przyszłych losów, padnie ofiarą plam.

Stał p. Mondygierd właśnie przy krzaku agrestu, którego nie widział, patrzył w oczy wdowie, nader mu czule się uśmiechającj i nagradzającj go podaniem rączki. Jak było nie pocałować tego marcypaniku. Posunął się niebaczny p. Paweł, a wtém gałąź agrestu, która się znalazła pod połą, uchwyciła nową, jedwabną podszewkę — krach! Usłyszał pan Paweł szarpnięcie i uczył jakby mu kto żywe rozdarł ciało.

Kawał nowiuteńkiój podszewki wisiał oddarty sromotnie.

— A! rozdarłeś pan! — odezwała się Zabielska spoglądając — podszewka wisi.

Mondygierd udał obojętnego, tak wypadło.

— E! to nie! to nie! — wybąknął opatrując pole.

— Ale pozwólże — odezwała się Zabielska, dobijając szpilkę — choć tymczasem przypnij. A żebyśmy się nie kłócili, choć panu szpilkę daję.

Ukłuła w palec Mondygierda śmiejąc się, ten ją znów cmoknął w rączkę. — Delicje!

Na chwilę zapomniał o jedwabnej podszewce, choć z nią serce mu się rozdarło. Pierwszego dnia, nowiuteńka!!

Powrócili na ganek, a po chwili do pokojów. Tu już Symonowicza znaleźli przy pannie Filipinie, a panna i rumieńców dostała i śmiała się, i zdawali się w komitywie najlepszej.

Był to już taki człowiek z tego Symonowicza. Co na placu, to nieprzyjaciel. Wieczorem gotów był do stróżki stroić koperczaki!

A że Fortunat był nielepszy, dobrana para rozstać się nie mogła.

Po powrocie do salonu, brat jejmości, zawsze z gitarą i pobrzękując na niej, zbliżył się do pana Pawła.

— Wiesz, kochany sąsiedzie — szepnął — parol ci daję, ten Symonowicz to przedziwna rzecz! Nigdy się nie spodziewałem w Pińszczyźnie takiego wiuna złapać. Mówię ci, paradny! Pije jak gąbka, wesół, chichot, do kobiet jedyny i koleżka jakich mało.

— Szczęśliwy jest — odparł sentencyonalnie,

z pewną urazą Paweł — że się acanu dobrodziejowi podobać umiał!

— Nietylko mnie, ale i siostrze i Filipce i panna Bernarda w admiracyi! — rzekł Fortunat — ja go ztąd rychło nie puszcze, bo mi z nim rażno!

Nic nie rzekł, trochę się nadawszy zagadniony. Fortunat mu do ucha się nachylił.

— Coś mi się ochapia — dodał że się ma do Zabielskiej! he?

— A pan co na to? — odrzekł Mondygierd.

— Ja, mój kochany sensacie! ja! cha! cha! cha! — począł na gitarze głośniej pobrzakując Fortunat — ja jestem filozof! Podoba się mojej siostrze bodaj parobek? chce iść! Z Bogiem! Sercu rozum gwałtu nie powinien zadawać. Życie krótkie, pijmy wódkę! cha! cha! Kobieta zamiast wódki ma miłość, więc kiedy jej w smak! cha! cha! Co mam oponować! Ja jestem filozof!

I uderzywszy w struny zaśpiewał:

Kukułeczka kuka,
Panna serca szuka,
Nie szukaj daremnie,
Weźmij je odemnie!

Dziwnie się te piosenki niesmacznemi wydawały p. Pawłowi, a Fortunat tysiącami umiał tych tekstów światowych, między niemi zaś i takich, których przy kobietach nie śpiewał...

— Wiesz co — zawołał dokończywszy piosenkę Fortunat — prawda, żeś dziś paradną wdział wę-

gierkę, ale humor masz jak ocet siedmiu złodziei! cha! sha!

Skrzywił się zaczepiony, bo i nazwanie taratutki jego węgierką było uwłaczające i wspomnienie złodziei, brzydkie.

Bąknął więc: — Cóż bo znowu? złodziei??

Ponieważ Fortunat nie zważał na to, a Mondygierd coraz się więcej srożył, byłoby może przyszło do jakich nieprzyjemnych przytyków, gdyby wdowa nie odwołała p. Pawła.

Była dlań ze względami szczególnymi. Tylko co odwoławszy go na rozmowę do ogródka, rozpoczęła drugą, chodząc po pokoju i zaszła z nim do bówki.

— Sama nie wiem jak się go pozbyć — szepnęła — nie radabym, ażeby się bardzo rozgaszczał, ja tu obca, a złe języki są wszędzie, na nieszczęście Fortunat się do niego tak przylepił. Uczyni mu jaką uwagę.

— Ja? ja? ale czy przyjmie ją odemnie?

— Wielce pana konsyderuje, przyjmie! — zawołała wdowa. — Bardzo waćpana o to proszę.

Czarownica była, bo p. Paweł najmniejszej nie miał ochoty do interwencji, a odmówić jej nie śmiał.

— Co innego pan — zamknęła wdówka — pan choćbyś u nas siedział ciągle, nigdyby mi to nie zacieżyło!

— Karmelek! — rzekł w duchu p. Paweł

Męztwa mu jakoś przyhyło i wprost wychodząc z hokówki natarł na p. Fortunata.

Nie rzucając gitary, garbus wysunął się z nim na ganek, po którym najprzód gawota zaczął tańcować.

— No, co mi powiesz?

— Dam acanu dobrodziejowi radę przyjacielską, hom Zabielskiego był kolegą i drubem. (Schylił się do ucha). Nie lgnij tak bardzo do Symonowicza, i nie trzymaj go tu długo. Tak życzę!

— Dlaczego? — podchwycił Fortunat.

Mondygierd przybrał postawę poważną. .

Wdawać się w szerokie rozprawy nie chciał.

— Tak życzę — potwierdził.

Na wesołym garbusie tajemnicza ta afirmacya uczyniła wrażenie, chciał się domagać wyjaśnień, ale p. Paweł zaraz za czapkę wziął, pożegnał się prędko i pospieszył do obijanika. Tym razem pan Fortunat go nie odprowadzał. Siadł wyciągnawszy nogi i schylony nad gitarą, głosem płaczącym śpiewał:

Okrutne lo-y. co prześladowiecie!

Ludzie nieludzy, skamieniały świecie.

Gdzie spojrzę wszystko kirem się okrywa.

Wziętas mi serce, skrusz życia ogniwa.

Szczególniej w wyrazie *wzię-taś*, ostatnią sylabę, kładnąc na niej akcent rozpaczliwy p. Fortunat czynił tak ekspresyjną, że odchodzący p. Paweł poczuł ją we własnej piersi.

To „wzięłaś mi serce!“ stosowało się do niego, a choć o kruszeniu ogniw, prawdę powiedziwszy, nie myślał jeszcze, ogarniała go tęsknica, jakby już tę ostateczność przeczuwał.

Do usposobienia smutnego przyczyniała się, trzeba wyznać nie tając, rozdarta nowa jedwabna podszewka. Było to i złą wróżbą i nadzwyczaj nieprzyjemne ciągnęło za sobą następstwa. Jako tako mógł i Kasper załatać, ale chodzić z dręczącą myślą, że nowa taratka tak szkaradnie została skalczona! A nie! Drop niech jedzie na całą noc do Pińska i wiezie zawiniętą w prześcieradło, a Icek niech robi co chce, choćby przyszło nową kupić! Wzięli diabli krowę, niech biorą i cielę! zakończył desperacko.

— Patrz Kasprze! — zawołał wysiadając do stojącego na brzegu — patrz!

— A to co? Jezu Chryste! a toż jakim sposobem? — krzyknął Kasper.

— Już nie pytaj — odparł Paweł — niech Dropia zawołają, na całą noc do Pińska... powiedzić Ickowi, niech robi sobie co chce, powiadam co chce... ażeby mi podszewka była cała.

Gdy przyszło do szczegółowego obejrzenia, szpilkę wyjął starannie Mondygierd i w osobną szufladkę do kantorka ją schował z melancholiczném jakimś westchnieniem.

Przy wieczerzy Kasper był poprostu zirytowany.

— Ja się tam w pańskie sprawy nie wdaję — odezwał się zdejmując wazkę — ale od czasu, jak te baby tu najechały, nie ma u nas ani ładu, ani spokoju...

— Daj no pokój!

— A nie prawda? — spytał Kasper — kłamie? Powie pan, że imaginacya? Ja jegomości znam od małego dziecka, panu się z kobietami nie zadawać, bo z przeproszeniem, pan ma defekt, że one z nim robią co chcą.

— A już ty mi będziesz nauki dawał! co?

— Żadne nauki! Co za nauki? panu to nie pomoże, a że my przez te baby przepadniemy, to już widzę jak na dłoni.

I wyszedł.

Mondygierd sam widział, że groziło niebezpieczeństwo, rozdarła podszewka była jakby ostrzeżeniem anioła stróża. Nazajutrz powziął mocne postanowienie — odkaraskać się od Harasymówki!! Unikać wizyt, zająć się rowami, gospodarstwem, zamknąć w domu i *Tade retro satanas!* nie dawać się żadnym pokusom.

Powiedział sobie prawdy niektóre szorstkie i ostre. Stary a głupi. Fiubździu w głowie! Niech ten szaleje komu pora, a nie ty, stary! Dosyć już tego, bo i Kozłowicze i ciebie lichy weźmie!

Dnia tego puścił się na kilka godzin w pola i do rowów.

Siedział potem nad rejestrami, chodził do szpi-

I jak się pan Paweł ożenił.

chrza, obejrzał stodołę, uporządkował niektóre papiery w biurku. Chodząc tak po szufladkach — bo to są takie dnie i trafunki, sam nie wiedząc jak, napadł na dwie obrączki złote, które był kazał zrobić, gdy się miał żenić z panną Adelą.

Poszedł z niemi do okna.

Były massyw, ze złota dukatowego i błyszczały, błyszczały jakby obietnicami szczęścia. Gdy złotnik mu je oddał, miały na sobie datę, ale tę zaraz w Pińsku. rozgniewawszy się, kazał zgluzować, były wewnątrz czyste i zdaly się czekać, aby na nich coś znowu wyryto.

Popatrzał na nie długo, zawinął w papier i rzucał. Po chwili wziął je znowu, i, ot tak — pomyślał, czyby przypadły na tę rączkę marcypanową?

Drugą włożył na palec własny. kilka razy rękę ku oknu zwrócił, przypatrując się jak to wyglądało i schował.

— Stary, a tego!! — Zamknął.

Postanowienie odkaraskania się od wdowy i Harasymówki było tak mocne, że gdy we trzy dni potem przybył p. Fortunat, p. Paweł spostrzegłszy go zdala, schował się do stodoły i kazał powiedzieć, że go nie ma.

A że stodoła niedaleko była od miejsca, w którym Kasper gościa odprawiał, słyszał sam, gdy powiedział:

— Kłaniajże się panu i prosz go jutro na szczupaka faszerowanego, bo moja siostra ma pilny in-

teres. No, i powiedz, że gości nie ma, bo twój pan ich pono nie lubi. Dobranoc.

Gdy pan Fortunat wyruszył, dobył się z zasieka Mondygierd i wrócił do dworu.

Jechać? nie jechać? Możnaż było uchylbić kobiecie żądającej ratunku? godziłoż się zawieść zaufanie nieboszczyka Zabielskiego, który mu wdowę na śmiertelném łożu polecił? (P. Paweł mówił to sobie powoli).

Wszystko przemawiało za pojechaniem, jednakże p. Paweł chciał, aby rozstrzygał los nie on, przeżegnał się, zawiązał węzeł na chustce, który miał oznaczać — jadę!

Trzy przeciw jednemu — świadczyło to o dobrej woli starego kawalera, tymczasem, gdy końce zmieszawszy, założywszy ręce w tył, chwycił jeden z nich, znalazł węzeł. Wyrocznia kazała jechać do Harasymówki.

Tym razem nie wdział już taratutki, wszelka myśl płocha go opuściła, wziął surdut zrestaurowany, który czuć było mocno jakimś mydłem do wywabiania plam — i ruszył.

Kasprawi się nie tłómaczył.

Zdziwił się, gdy wysiadając z obijanika między łożami i wierzbami, postrzegł tuż przechadzającą się z panną Bernardą piękną wdowę, jakąś niby podrażnioną i niespokojną.

Zbliżyła się ku brzegowi zaraz.

— Pan bo o nas zapominasz — odezwała się —

a ja... ja, doprawdy, więcej niż kiedy tęsknię za nim. My biedne kobieciska, bez męskiej opieki rady sobie dać nie umiemy, a Fortunat mój pocziwy. — Tu ruszyła ramionami. Panna Bernarda ustąpiła nieco na stronę, zabawiając się zrywaniem liści, które kładła na rękę i paliła, uderzając w nie, jak z pistoletów.

— Co mi ten kochany Fortunat narobił — do-dała wdówka zatrzymując w cieniu p. Pawła. — Śmiali się, śpiewali, pili całemi dniami z tym Symonowiczem, byli w jak najserdeczniejszej przy-jaźni, ostatniego dnia, poszli późno od nas pod ręce się pobrawszy; Fortunat kazał zanieść co trzeba do ponczu, jak zwykle do poduszki. Nie wiem czy był za mocny, czy wypili go za wiele... siedli w karty grać. Słyszeliśmy śmiech i śpiewy długo, nagle, jakby się burza zerwała, krzyk, wrzask, łomot, kłótnia i krzeselka druzgoczą. Że jeszcześmy były nieporozbierane, a Bernarda śmiała jest, chwyciła kociubę z sieni i pierwsza wpadła. Co za widok okropny! Symonowicz dusi mojego brata, Fortunat do krwi mu twarz drapie! Bałanowicz szczęściem nie spał, ledwie ich rozbroił, a brat się nie uspokoił, aż Symonowicza za wrota przegnał.

Na noże teraz z sobą!

Wdowa ręce załamała, Paweł tryumfował i choć nie nie mówił wprzód, zawołał:

— A co? a co? nie mówiłem! Ja znam Piotrusia lepiej, przestrzegałem brata acaui dobro-

dziejki, aby mu się nie dawał zbyt zbliżać i konfidencyi z nim unikał! A co? a co?

— O Symonowicza to tam mniejsza — ciągnęła dalej pani Zabielska — ja po nim plakać nie będę, może cobyba Filipina go pożałuje, bo téj się podobał, między nami powiedziawszy, choć to taka trusia, a to taki zabijaka... o Symonowicza mniejsza, ale zaraz pozwą o sumę, a ja zapłacić jój nie mam zkad! — dodała, ręce zalamując wdowa — a procesów się tak boję! tak boję! Symonowiczom należy się, mój dobrodziej, dwadzieścia tysięcy i procent bodaj pięcioletni po sześć od sta!

— Ha! — zawołał p. Paweł — prawda, że dwadzieścia kilka tysięcy złotych piechotą nie chodzą, ale z pomocą Bożą damy na to rady.

Pani Zabielska posłyszawszy to przyrzeczenie, nie zważając na pannę Bernardę, niedaleko strzelającą jeszcze z liści, pochwyciła p. Pawła za rękę i z takim wyrazem wdzięczności spojrzała na niego, że mu serce w piersi stuknęło jak młotem, i gdyby w téj chwili była zażądała od niego Kozłowicz, z rowamiby jej u róg złożył.

— Kochany sąsiedzie — dodała głosem przejętym — wierzaj mi, że w tobie widzę jakby ducha mojego nieboszczyka męża! Tyś był jego przyjacielem! bądź moim, bierz Harasymówkę, interesa, wszystko, ja ci się oddaję w opiekę... Sama zginę z trwogi! Nie mam nikogo.

Co się z Pawłem działo, żaden język nie wy-

powie, zbytek wzruszenia usta mu zamknął. milcząc piękną jej rączkę do ust przyłożył i wyjąknął ledwie dosłyszonym głosem:

— Mnie też acani dobrodziejka bierz na swe usługi, ze wszystkiem co mam! Sługą jej do śmierci być pragnę!

Ani się spostrzegł, jak to votum wyrzekł, wdowie oczy się zaśmiały, podała mu rękę.

— Pan bo jesteś dobry, zacny, poczciwy i ja wam ufam jak nikomu — dodała, zwolna zwracając się ku domowi. — Tylko, zlituj się nie zostawij mnie tak samą na długo... głowę tracę.

Mondygierd już raz puściwszy się tak daleko, uznał potrzebnem uczynić uwagę.

— Ludzkie języki...

— A! cóż znowu! — rozśmiała się Zabielska wesoło — ja jestem wdową, waćpan kawalerem, cóż powiedzieć mogą? że się ku sobie mamy? Ja się za to nie pogniewam, a waćpanu to krzywdy nie uczyni.

Pan Paweł rozśmiał się uszczęśliwiony.

— Pani dobrodziejko — rzekł szybko — gdyby ludzie to o mnie mówili, dalipan... kto wie? alboby nie skłamali, lub mogliby wyprorokować, bo asindzka czarujesz!

Gdy to domawiał, a Zabielska za całą odpowiedź rękę, na której się spierała, pocisnęła trochę, nadeszła blada panua Filipina, z miną smutną i rozmowę tak daleko już zaawansowaną przerwała.

We drzwiach widać było stojącego p. Fortunata, nieubranego, z głową związaną, ręce w kieszeniach, bez téj wesołości, jaka go zawsze odznaczała, melancholicznie spozierającego na przybywających.

— A przecieżeś nas pan raczył odwiedzić, dąlipan myślałem, że już znać nie chcesz!

Siostra pannę mówiła o téj historyi — począł.

— Mój Fortunacie, dajże już pokój — przerwała Zabielska.

— A! przepraszam, ja mu ją sam muszę opowiedzieć — zawołał Fortunat. — Muszę, to nie nie pomoże. Chodź pan ze mną, chodź, bo to trzeba na miejscu... chodź koniecznie.

Siostra napróżno protestowała, chwycił go i pociągnął gwałtem do swojego pokoju, w którym już porządek był przywrócony. Na krzeselkach tylko, na sofie i szybach okna, ślady bitwy stoczonej pozostały.

— Ot jak było — począł Fortunat — to jest pijak, hałaburda, waryat, którego trzeba zamknąć do czubków. Ot jak było. Siadaj no pan tu... tak... Przyszliśmy z nim na poncz i siedzimy jak teraz my. Leżała talia kart. Ja począłem robić rzymski poncz, taki sam jak zawsze. Wypiliśmy po szklance, nie. Dawaj drugą! — woła. — Z duszy serca, pije drugą. Daj trzecią! ho! ho! Ale dałem. Dolał sobie rumu, bo mu była za słabą. — A co? zagramy? woła. Zagramy... czemu nie. Maryasza! — A co mi tam maryasz! to bernadyńska gra, ciągnę faraona. Wysypał talarów garść i począł śpiewać,

ale takie rzeczy, rusińskie pieśni chłopskie, że myśle sobie, jak która posłyszysz z dam to zemdleje. Począłem stawiać i wygrywać. Dał mi z połowę talarów wziąć, a potem jak zacznie łupić! Co postawię, tłucze, co wyciągnę wali... O źle! Patrząc mu na ręce, a ta szelma manipuluje jak największy szuler. Ja go za rękę. Słyszysz! nie żartuj! — To nie żarty! — Szachrujesz! krzyknąłem. — Ten jak ciśnie się do mnie, ja na niego, stół z ponczem i świecami runął, walę go, chwyciliśmy się w pół, jak nie cisnę go o ziemię; żeby była Bernasia nie wpadła, z kociubą, a później Bałanowicz, byłbym go uśmiercił. Taka to jucha!

— To nie on p. Fortunata, ale pan jego! — przerwał Mondygierd.

— A! spodziewam się — zawrzał garbus — na gorzkim jabłko go zbił. No, i co to teraz będzie? — zapytał Fortunat.

— Cóż? chyba pojedynek! — mruknął p. Paweł.

— Ja z tym, co w karty szachruje, bić się nie myślę — odczuwał się garbaty. — Zresztą powiem acanu dobrodziejowi, powietrza w tej pińszczyźnie nie znoszę. Komarów moc straszna. W nocy te baki na błotach! hu! hu! jakby na pogrzeb trąbią. Puhczyki, żaby, węże... Ja tu żyć nie mogę... ja... niech sobie siostry robią co chcą, powracam do Warszawy. To dziez i barbarya!

— A jakże pan kobiety zostawisz same? — spytał p. Paweł.

— To je sobie weź w opiekę — rozśmiał się garbaty. — Dałibóg. Zabielska tylko co słowo: pan Paweł, pan Paweł, ja to widzę, że ona cię zbałamuci! Ty się z nią ożenisz!

Mondygierd rzucił się.

— No! nie aprehenduj tak bardzo! — dodał Fortunat — ja lubię prawdę mówić!! Ona do acana robi czule oczy, a żeby się nie wstydziła, dygnęła by nastawiając rączki... Weź mnie! kobieta pocziwa z kośćciami, tylko tchórz, jeśli nie z miłości ze strachu wyjdzie za niego. A nie będziesz się miał na co skarżyć! słowo daję, bo i żonkę mieć będziesz miłą i kobietę dobrą, a i Harasymówka ci przylega i... mówią że coś warta. Dla mnie, jabym za nią trzy grosze nie dał.

W czasie tego wywnętrzania się pana Fortunata pan Paweł robił różne ruchy denegacyjne, to się śmiał to czerwienił, to rękami machał.

— Daj bo pan pokój żartom! — dorzucił w końcu.

— Ale to nie są wcale żarty — odezwał się Fortunat — ja bo mam nos.

Podedrzwiami odezwał się gruby głos panny Bernardy:

— Pani prosi na kawę!

Wstali więc, Fortunat wyciągnął się, westchnął i chwycił za głowę.

— Jakem tego Symonowicza walił — rzekł — pięścią się sam trąciłem w łeb, i tęgiegom sobie

guza nabił. Proszą na kawę, a jabym wina wolal się napić...

Poszli wszakże na kawę. W bawialnym pokoju całe towarzystwo było zebrane u stolika. Na panie Filipinie, która ostro spoglądała na brata, widać było, że mogła wesołego Symonowicza żałować. Pani Zabielska była zafrasowaną i całą pieczołowitość swą zwróciła na gościa, któremu i cukru dorzucała i śmietanki dolewała i służyła mu a nadskakiwała, nie troszcząc się o innych. Mondygierd wypadkami dnia tego tak był przejęty, tak rozmarzony, że głowę znowu tracił. Pięć czy sześć razy rękę sąsiadki za każdy dowód nowej łaski pocałował, sam w końcu już czuł, że tego było nadto, że to mogło bić w oczy, ale ręka mu się nastreżczała... nie mógł być niegrzecznym.

Gdy nadszedł czas do odjazdu, a p. Paweł się poczał żegnać i już wychodził, Zabielska przystąpiła do niego, podała rękę i odezwała się bez ceremonii:

— Ja bo jeszcze mam do pomówienia z kochanym panem, przejdziemy się razem. Służę...

Pan Fortunat zrobił minę szyderską i został, panna Bernarda się nie ruszyła.

— Hormusiu! — krzyknął ze drzwi brat do odchodzącej. — Weź się do niego obcesowo, po co to zwlekać!! Ja muszę jechać, zostaniecie same... żebym miał was komu zostawić!

Udała jójmość, że nie słyszy.

— Kochany sąsiedzie — odezwała się poważnie — zatém ta suma Symonowiczów!! Zlituj się! Pojedź może do Pińska, dostań choć na siedm prowizyi, ażeby się zbyć człowieka...

Nigdy, nikomu o tém nie wspomniał p. Paweł, ale prawdą a Bogiem, miał w szkatulce okutój pod łóżkiem, czerwonymi złotemi obrączkowemi sztuk pięć tysięcy. Zwało się to jego: „krwawicą“, inaczéj „na złą godzinę“. Te pięć tysięcy, Bóg tylko jeden wie, jak się złożyły, po pięć, po dziesięć, po dwadzieścia. P. Mondygierd dobierał je, umywał, zawijał, miał dla téj krwawicy miłość ojcowską, przywiązanie autora do swego dzieła. Stworzył je z niczego! Nikt z pewnością nie podejrzывał go o sumę tak okragłą, do którój wybrakowane kulfony w liczbie kilkudziesięciu, nie wchodziły. Z téj to krwawicy więcéj niż tysiączek trzeba było poświęcić dla miłości wdowy, to jest piękną ową okragłą całość wyszczerbić, zniszczyć, nadwerekzyć. A do tego łączyła się myśl zabobonna, że gdy się raz rozpocznie nadkasywanie, bywaj zdrów, pójdą dusie jedne za drugimi. Ale pani Zabielska miała już taką potęgę nad tym człowiekiem, taką moc, że gdy się zatroskała o kapitał i procenta, p. Paweł stanął, uśmiechnął się i znowu rękę jéj biorąc w drżące dłonie, odezwał się głosem jasnym i dobitnym:

— Nie trzeba szukać kapitału ni kapitalisty! nie trzeba prosić nikogo i prowizyi płacić. Kiedy

się ma sługę, i mogę to rzec, przyjaciela, ten powinien znaleźć. I znajdzie, mocia dobrodziejko, każdej chwili... we własnej kieszeni...

Wdówka się zarumieniła, aż jeszcze młodszą mu się wydała niż była.

— Ależ bo — odparła niby tęskno i zakłopotana — jakże bo ja tak mogę nadużywać jego dobroci!

— Ja tylko to dodam, że nie ja aćani dobrodzieje usługę uczynię, ale pani mi łaskę, przyjmując ją.

— A potem? ale jakże to panu oddam? — figlarnie zagadnęła wdowa.

— Proszę być spokojną, rachunek ze mną będzie łatwy!

Gdy to mówił stali w obijaniku, z którego głębi podniósł się Stasiuk, rozmowa więc, która mogła doprowadzić do — do oświadczenia nawet ze strony zaanimowanego p. Pawła, na tém się przerwała.

Zabrał się jeszcze raz ręce marcepanowe całować. Szybko rzuciła mu w ucho Zabielska:

— Fortunat się wyrywa, z Symonowiczami trzeba kończyć, zlituj się jutro na obiad. Ja bez pana żyć nie mogę.

Na tém wyrazistém wyznaniu, które całą machiną p. Pawła wstrząsało do gruntu, skończył się ten dzień dlań niezapomniany.

Wprawdzie ostatnie słowo wyrzeczone nie zostało, ale stał na progu, jeden krok dalej, a wszyst-

ko się miało skończyć!! Wszystko, kawalerska swoboda! kawalerskie życie, dyalogi z Kasprem, wczasy w Kozłowiczach, drzemki poobiednie, oszczędności coroczne, dozór nawet nad rowami!

Żenił się z apetytem nieklamanym, z ochotą, z pasją, a mimo to. mimo to. w tej godzinie rozstania z całą świętą pamięcią przeszłością, samotną, smętną, nudną, zrobiło mu się jęć żal. Zwiesił głowę!

Będąc w Harasymówce widział świetne lice swój przyszłości, teraz nice jęć zaczynały mu się objawiać. Szwagier Fortunat tak waleczny i wesół, siostra żony widocznie potrzebująca wyposażenia, Harasymówka zapuszczona, długi na nią i Bałanowicz, którego trzeba było wypędzić, oburzając na siebie całą drobną szlachtę i stan duchowny, z którego podobno pochodził, choć się do tego nie przyznawał!!

Naostatek cóż zrobić z Kasprem, jak się z nim rozstać? a nie rozstając się jak dokazać, żeby go pani Zabielska akceptowała takim jak był, bo odmienić się nie mógł!!

W tych myślach zatopionym był tak pan Paweł, że gdy obijanik do portu zawinął, a wysiadać przyszło, ześliznął się z kładki i upadł.

Kasper, który na wracającego czatował, przybiegł natychmiast, znalazł się i Wasyl pastuch na pod ręczu, podnieśli go pod pachy wzięwszy, ale na nogę jedną niepodobna było stąpić. Była zwichnięta

i bolala straszliwie. Okropna rzecz, a tu nazajutrz stawić się musiał.

Na hałas i wrzawę nadbiegl gumienny, a był człek doświadczony i obmacawszy nogę oświadczył, że to nic innego nie było tylko zwichnięcie. A za-
tém nie czekając posadzono p. Pawła na kłodzie i gumienny podjął się naciągnąć nogę w staw.

Jak się do tego wziął heroicznie, miarkować można, łupnęło w nodze. Pan Paweł wrzasnął, bo-
daj czy w Harasymówce nie było słyhać, zaręczał gumienny, że nogę nastawił jak się należy, ale cho-
dzić na nią!! nie było sposobu.

Przy pomocy Kaspra, który dla chorego stawał się czulym, gumiennego i Stasiuka, zawlókł się piszcząc Mondygierd do dworu, a tu go na łóżku złożyono.

Ażeby zaś nogi chorój nie męczyć, mimo pro-
testacyi Kasper starą brzytwą od nagniotków, but
rozciął i zdjął bez bólu. Noga zaczerwieniona już
brzękła, ale to zdaniem gumieunego niczém nie
było. Miano ją tylko okładać przez całą noc...

Ból był tęgi, i w duszy nieszczęśliwego działało się wielepij.

— Oto tobie konkury! — powtarzał sam w so-
bie — oto tobie koperczaki! oto tobie umizgi!
wizyty i bałamuctwa.

Jeszcze sam na siebie gderał, gdy Kasper wszedł
z listem.

— Posłaniec czeka!

List był, łatwo poznał, od rejenta; podano świecę. Brzmiał jak następuje:

„Kochany panie Pawle

sąsiedzie, dobrodzieju!

„Uproszony przez pana Piotra Symonowicza. abym sprawę jego z wdową Zabielską, twój interwencyi powierzył. *uolens volens* muszę oprymować obiektem nieprzyjemnym.

P. Piotr Symonowicz, w najlepszych intencjach załatwienia interesu z wdową Zabielską, pełen ufności, iż intencye te nie będą źle interpretowane, stawil się w Harasymówce, gdzie przez brata jęjmości w grę wciągnięty, spojony, pobity, zaledwie z życiem uszedł, poniosłszy stratę jak podał do protokołu, w efektach różnych, czasu nocnej awantury postradanych, na przeszło tysiąc złotych. Łączczy się z tém słuszná pretensya o zasadzkę na życie i gardło.

Zważywszy, że Symonowicz ma na Harasymówce sumę rekodajną dwudziestu tysięcy z zaległemi prowizyami, łatwo dowieść, iż pozbywając się kredytora, długi zarazem zbyć się chciano. Kryminalny proces nieuchronny, nie tykając sprawy drugiej o pieniądze, która swoim iść musi porządkiem. O tém wszystkiém zechcesz uwiadomić sąsiadkę, a jeżeli porozumienie możliwe, przy wynagrodzeniu krzywd, mogę służyć za pośrednika“ i t. d.

List był długi, dawał do myślenia. Z chorą nogą, kazawszy stoliczek przystawić do łóżka, pan

Paweł nagryzmolił odpowiedź *evasive*, dwuznaczną, a zarazem i bilecik do wdowy, w którym donosił o nieszczęśliwym wypadku, jaki go spotkał. Dołączył do niego list rejenta Sawicza i solenne zapewnienie, iż byle nogą mógł władać, wszystko się przy pomocy Bożej załatwi.

Znużony i wypadkami dnia i bólem i pisanem, padł wreszcie na łóżko p. Mondygierd z westchnieniem, chcąc spocząć. Spytany o nogę gumieny do dni trzech za możliwość używania jęj nie ręczył, chybaby chciał p. Paweł chodzić o kiju!

O kiju! On! P. Paweł! Teraz gdy rad był się wydawać jak najmłodszym! O ironio losu! O kiju bóstwu swojego serca się przedstawić! Za nic w świecie!

W tych myślach usnął. Nazajutrz gdy się przebudził, noga wskutek naciągania i okładania, była jak kłoda! Ani się ruszyć! Na gwałt, nienawykły do leżenia p. Mondygierd odział się, i w pantoflu przynajmniej próbował się poruszać. Bez kija niepodobna było stąpić.

Kasper nieznużony okładał, według staręj metody, na gorąco. Wino użyte do tego z rozmarynem, po całym domku czuć było.

Bojąc się zasiedzieć, do obiadu zwłóknął się chory i trzeba mu oddać sprawiedliwość, jadł z apetytem, choć tyle miał na głowie i na nodze.

Zdrzemnął się potem w krześle, oparłszy o stół, gdy usłyszał biegnącego Kaspra tak, jak on nigdy

nie biegał. Drzwi otworzył przestraszony i krzyknął:

— Panie, Boże mnie skarż! Z Harasymówki! Słowo daję! Z Harasymówki!

— Ale cóż? co? — ofuknął Mondygierd.

— Pani i ten garbus! Idą oto do dworu.

Paweł porwać się chciał, ale gdzie tam. Syknął tylko i opadł na krzesło.

Kasper w progu stał jak trup. Grobowe panowało milczenie, gdy nagle śmiech Fortunata dał się słyszeć i głos.

— A! mój Boże! cóż to się panu stało! nie mogłam wytrzymać, żeby go nie odwiedzić i nie przekonać się... takem się nastraszyła!

Opierając się o stół, z wielką trudnością dźwignął się na przyjęcie tak wielkiego gościa p. Paweł, twarz jego promieniała.

— Mościa dobrodziejko — zawołał w uniesieniu — warto było choćby złamać nogę, aby takiego szczęścia dostąpić.

Fortunat się za boki wziął ze śmiechu: wdowa przystąpiła z kondolencją. Posadzono ją natychmiast, a Kasper znikł wiedząc jakie obowiązki nań wkładały tak nadzwyczajne okoliczności. Szło o honor domu! Mondygierd opowiadał swą przygodę, gdy p. Fortunat, którego to nudziło, a może ze złośliwą intencją, wyszedł na ganek, zostawując panią Zabielską sam na sam z Pawłem.

Rozmowa się poczęła od listu rejenta.

I jak się pan Paweł ożenił.

— Pluń na to, asani dobrodziejka — rzekł chory — ja, jak tylko noga odejdzie, pojedę do rejeta i wszystko ubiję. To są strachy na lachy. ale i my też za exces popełniony w domu gościnnym nastraszyć potrafimy jegomości.

— A, bylebyś pan wyzdrowiał — zawołała wdowa — ja już będę spokojna. Dosyć spojrzeć na Kozłowicze, żeby mieć ufność w ich gospodarzu! Tak tu wszystko ładnie, czyściuchno! mile...

Westchnęła.

— Szczupluchno — opezwał się p. Paweł.

— Bo też pan tu jeden jesteś, a jak ludzie mówią, podobno poprzysiągłeś na kawalerskie życie.

Mondygierd musiał dostać gorączki. bo ani się opatrzył gdy mu się wyrwało:

— Choćbym i przysiągł, nie dotrzymałbym pono juramentu, poznawszy acanią dobrodziejkę! Ale o takim szczęściu marzyć, nie godzi mi się.

Zarumieniła się Zabielska.

Podawała mu rękę drżącą.

— Nie szczęście by to było, ale pono kłopot dla acana dobrodzieja, gdybym go wzięła za słowo.

— Dobrodziejko moja! Aniele złoty! — zawołał Mondygierd — słowo moje weź i życie bierz, a szczęśliwym będę!

— Słowo i ręka! ale, tst! Słyszę nadchodzącego brata! Tymczasem niech to zostanie między nami.

Ścisnęli się tedy za ręce, i ledwie mieli czas

je rozerwać, gdy wszedł Fortunat, już znowu podspiewujący :

Gołębczków para
Do siebie gruchała...

Nie dał mu dokończyć Kasper, który przyodziawszy Stasiuka, zwykle chodzącego w łapciach, w buty własne (co się nie czyni dla honoru domu!) począł wnosić podwieczorek.

Nigdy jenialniejszym, nieoszacowańszym człowiekiem nie wydał się panu Pawłowi.

Na ogromnej tacy ze srebrną galeryjką czego tam nie było ! Kawa, sucharki, śliwki na rożenkach, tłuczeńce, konfitury, poziomki, szynka, półgęsek, wino, ser, chleb... Co dom miał, wystąpił co się zowie ; srebro wydobywszy na okaz niemal wszystkie jakie w domu było. Pan Fortunat z figlarną miną przystąpił do butelki.

Cha ! cha ! — zawołał — u chorego obowiązek sumienia zdrowie pić ? prawda ! Zdrowie p. Pawła.

— Za pozwoleniem — przerwał Mondygierd — moich najszanowniejszych, najmilszych gości zdrowie... ja piję ! Kasper ! kieliszek !

— A noga ! — zawołał Kasper.

— Niech się dzieje z nią co chce ! Kasper, kieliszek !

— Ja nie pozwalam przerwała wdowa stanowczo — nie pozwalam ! Wypijesz pan gdy będziesz zdrow.

Zmilkł pan Paweł, a Kasper zbladł jak pioru-

nem rażony. Dla niego jasnym już było, że piękne dni w Aranjuez przeszły niepowrotnie.

To — nie pozwalałam! wyrzeczone było takim głosem, z pewnością taką, a przyjęte z pokorą i posłuszeństwem. Nie było już wątpliwości.

— Znają się oni z sobą! — rzekł w duchu Kasper.

Ta pełna znaczenia wizyta, która o przyszłych losach p. Pawła rozstrzygnęła, nie trwała długo. Zaledwie Fortunat napił się i najadł, piękna wdowa podała rękę gospodarzowi, szepnęła mu kilka słów pożegnania i zabrawszy brata, uciekła.

Gdy Kasper wrócił potem do pana, aby zabrać resztki podwieczorku, miał oblicze tak posępne, minę tak zrozpaczoną, chodził tak roztargniony i nieprzytomny, że Mondygierd go pożałował.

— Kasprze, pocziwy ty mój... nie frasuj bo się. Co to gadać, ja wiem, że ty się już domyślasz. Nic się złego nie stanie, nic! ani mnie ani tobie. Nas nic nie rozdzieli, a to kobieta!... to kobieta dla mnie partykularnie z nieba zesłana. Drugiej takiej nie było, nie ma, nie będzie na świecie. Królową być warta.

— A! ja tam się nie spieram, niechby królową sobie była — bąknął Kasper smutnie — byle nie w Kozłowiczach! A no, trudno... na kogo przyjdzie wola Boża nie wykręci się, nie byłaby ta, to druga. A tak!

Ręką w powietrzu machnął.

— Daj Boże szczęście!!

Wszystko się już potem złożyło jak najgładziej. Naprzód p. Fortunat nie czekając zgody z Symonowiczem, wyruszył nazad do Warszawy, gitarę zabrawszy z sobą. Mondygierd nie wydając się jeszcze ze swemi intencjami dla wdowy, jak tylko noga odteęła, ruszył zagadzać pana Piotra. Tu spotkała go niespodzianka. Symonowicz oprócz pieniędzy i indemnizacyi, domagał się, aby mu o rękę panny Filipiny starać było wolno. W pierwszej chwili, posłyszawszy o tém, zakrzyknęła mocno wdowa, iż nigdy w życiu na to nie pozwoli; gdy owa milcząca i blada a nieśmiała panna Filipina wystąpiła odważnie z tém, że ona sobie życzy właśnie Symonowicza, bo jój się podobał. Napróżno jój perswadowano, płakała na tyranie narzekając i Zabielska dozwoić musiała p. Piotrowi bywać u siebie, a panna Filipina odważnie za niego poszła.

Wprzód jednak jeszcze odbył się *privatissime* ślub p. Pawła z jm. panią Hermancyą z Grudzkich, owdowiałą Zabielską, w kościele pojezuickim w Pińsku. Wesela szumnego nie było, jednak dwu Symonowiczów, rejenta a nawet Wydrę prosił na obiad do Kozłowicz Mondygierd. Wszystkie strachy

dawne, wszystkie uprzedzenia przeciwko jarzmu małżeńskiemu, odrzucone i zapomniane zostały. Wdówka objęła panowanie nad p. Pawłem, z którym tak mu dobrze było, że nawet w pierwszych latach trochę o gospodarstwie zapomniiał. Ale się to wkrótce później wynagrodziło i z Harasymówki zrobił Mondygierd, jak zaręczał, złote jabłko.

Nie było nadeń potem gorliwszego do napędzania, aby się wszyscy żenili. Swatał i pośredniczył, dowodząc, że w stanie kawalerskim ani szczęścia na ziemi, ani pewności zbawienia po zgonie osiągnąć nie można.

KONIEC.

W *Gazecie Polskiej* czytamy co następuje:

J. I. Kraszewski, obok talentu, obszernej wiedzy, zdumiewająco obfitej twórczości, niezmordowanej pracy i tylu innych niepospolitych przymiotów, posiada jeszcze dar jeden, bardzo rzadki.

Oto, pomimo nawału zajęć, znajduje on dziwnym sposobem czas na wszystko.

Tak na przykład, otrzymuje mnóstwo korespondencyj od różnych osób z kraju i zagranicy, znanych sobie i nieznanych, w najrozmaitszych kwestiach ogólnych i prywatnych, treści specjalnej i niespecialnej, poważnej i lekkiej, a jednak nie zdarzyło się jeszcze podobno, aby jaki list pozostał bez odpowiedzi. lub żeby na nią długo oczekiwano.

Dowód téj niewyczerpanej uprzejmości Kraszewskiego mamy pod ręką.

Jeden z przyjaciół, w imieniu płci pięknej, zapytał go niedawno listownie co się stało z Kasprem, figurą wprowadzoną do dwóch powieści Kraszewskiego, drukowanych w *Kurjerze Warszawskim* p. t. „Jak się pan Paweł żenił“ i „Jak się pan Paweł ożenił“.

Kraszewski odpisał niezwłocznie pod d. 13 maja 1878 r. z Drezna:

„Ten pan Paweł, pocziwości człeczysko, miał nadzwyczajne szczęście, kochany pan zajmował się jego losem, no — i te piękne panienki, te śliczne kwiatki wiosenne, o których pomyśleć aż miło, choć się jest starym i kaszlącym! A nie tylko Paweł był tak szczęśliwy, i na Kaspra spłynęło też trochę szczęścia tego. O ile wiem, zdaje się, że Kasper idąc w ślady pańskie, pomimo silnej opozycji ze strony p. Pawła, skończył na zaślubieniu panny Doroty, *młodszej* przy pani ex-Zabielskiej, która jednak tak bardzo młodą już nie była, aby małżeństwo z dojrzałym Kasprem wydawało się nieprzyzwoitem. Do zanotowania przy tej okoliczności jest, że gdy pan Paweł starał się Kaspra odwieść od tego przedsięwzięcia, dowodząc mu, że jego własne ożenienie było *wcale co innego*, a Kasper miał uczynić, jak się wyraził, *głupstwo*, pani Zabielska całą siłą i wpływem popierała wydanie panny Doroty. Naturalna rzecz, że dwie takie potęgi, jak pani Zabielskiej ze ślicznymi rączkami i Kaspra z jego zasługami, przemogły egoistyczny opór p. Pawła, który się potem przyznał, że się lękał, aby pocziwy Kasper dla młodej żony nie zaniedbał starego pana.

Biblioteka Raczyńskich

JK 945



JK0945